

**Gnatowski Jan**  
**Z DOLINY ŁEZ**

NA ŚMIERĆ  
WRÓCIĆ!  
Z CIĘŻKICH DNI  
DOCZEKAŁ  
KRA-KRA-KRA  
OSTATNIA MSZA

NA ŚMIERĆ.

Przez tych kilka tygodni było u nas dziwnie duszno i ciężko.  
Prosto  
niezłęście wisiało w powietrzu, czuło się, jak szło ku nam  
krok za krokiem. A  
przebież pobyt nasz w Kijowie nie był od początku ani  
spokojny, ani wesoły. Od  
czasu jak Staś siedział w fortecy, mogłem przywyknąć do  
przestraszonych i  
wybladłych twarzy, do szeptów po kątach, takich, jak przy  
chorym lub

nieboszczyku, do tłumionych płaczów, o których powód nie wolno mi było pytać.

Nie dziwili mnie już nieznajomi, przychodzący do nas ukradkiem o różnych porach dnia i nocy i znikający gdzieś po cichu tylnym wejściem, po tajemniczej naradzie z mamą i panną Felicją, za zamkniętymi drzwiami salonu lub sypialni. Tyle razy widziałem moją matkę śmiertelnie znużoną i znękaną, gdy wracała z całodziennego biegania po kancelaryach i urzędach, że mnie to już ani przestraszało ani nawet smuciło, jak dawniej. W ośmiu latach jest się takim egoistą! Teraz jednak było widocznie coś gorszego, niż przedtem. Wszyscy u nas w domu chodzili jak struci, swoi i obcy. Gdy ktoś nadszedł, zaczynały się szepty, przerywane łzami — ale o co chodziło, nie mogłem się dowiedzieć. Gdy się dopytywałem, zby-

wano mnie jakimś słabym wykrętem, w który nie wierzyłem.

Raz wreszcie powiedziała mi panna Felicja:

— Staś chory, bardzo chory. Módl się za niego gorąco — może cię Bóg wysłucha.

Modliłem się więc i dlatego, że Stasia kochałem, i dlatego, że ostatecznie nic

innego nie miałem do roboty. Nikt na mnie nie zwracał uwagi.

Czasem która z pań

czarno ubranych, jakich tyle wciąż przychodziło teraz do nas, przycisnęła mnie

do piersi, kiwając głową i szepcząc: Biedny, biedny Stefku!  
Dlaczego jednak ja  
miałem być biedny, skoro chorym był mój brat — tego nie  
byłem w stanie  
zrozumieć. Na prawdę tak bardzo biednym się nie czułem,  
choćby dlatego, że  
pierwszy raz w życiu mogłem robić, co mi się tylko podobało.  
W domu cały  
porządek dnia był przywrócony do góry nogami. Żadnych  
stałych godzin obiadu i  
kolacyi, żadnych lekcyj. Leonia, wyprawna panna służąca  
mojej matki, a teraz  
szafarka i zarządczyni naszego miejskiego gospodarstwa,  
chodziła jak  
nieprzytomna z opuchłymi oczyma, nie kłócąc się z  
kucharzem i nie łając  
pokojówki. Panna Felicja nie robiła mi uwag, że się źle  
trzymam i nie poprawiała  
moich francuskich frazesów — kiedy mamy nie było, stała w  
oknie wyglądając jej i  
wzdychając — kiedy mama wracała, nie odchodziła od niej  
ani na chwilę.  
Mama przez te dwa tygodnie zmieniała się nie do poznania.  
Zawsze delikatna i  
wątła, teraz blada była jak воск a przezroczysta jak alabaster,  
oczy tylko  
paliły się, zapadłe głęboko, błędne, napół przy-

tomne, niby gromnice. Wchodząc, rzucała najczęściej pannie  
Felicji i Leonii,

biegnącym na jej spotkanie, jedno słowo, jakby wydarte z gardła: „Daremne, wszystko daremne”, i szła wraz z niemi, słaniając się, do domowego ołtarzyka, przy którym długie godziny spędzała, klęcząc lub leżąc krzyżem.

Czasem, gdy mnie zobaczyła, chwytiała gwałtownie tuląc do piersi i okrywając głowę pocałunkami, które mnie paliły jak ogień.

— Dziecko moje, szeptała, dziecko nieszczęsne, ostatnie... Ty już jeden... Ty mi tylko zostajesz. Ojciec w grobie a brat, Staś mój, najdroższy, rodzony, syn mój... O Jezu, Jezu, Jezu!

I potem odtrącała mnie namiętnym ruchem.

— Nie, ty mi go nie zastąpisz, nigdy, nigdy!

Raz wreszcie wieczorem, wpadł wuj Ksawery.

Lubiłem go bardzo i cieszyłem się ile razy przychodził, bo niedość, że miał

zawsze dla mnie cukierki i jabłka po kieszeniach, ale i zapas dykteryjek,

konceptów i figlów takich jak nikt. I nietylko mnie umiał zabawić ale nawet

Leoncia wiecznie nadaśana, rozchmurzała się, gdy przychodził, nawet panna

Felicya przestawała gderać i mama, zamyślona zawsze i smutna, uśmiechała się na jego widok.

Istotnie, gdzie się zjawiał ze swoją wielką łysiną i nasztorcowanymi wąsikami,

wchodziło z nim jeżeli nie wesele, bo w tych czasach trudno o nie było, to

przynajmniej chwilowe uspokojenie i zapomnienie o gniotących troskach.

Tym razem jednak wuj Ksawery posepny był,

jak noc. Otworzył drzwi pocichu i zatrzymał się na progu, oglądając się w około.

— Kazi niema? — szepnął.

Panna Felicya podbiegła ku niemu, przestraszona..

— Co się stało? — zawołała.

— Kazia nie wróciła? — powtórzył.

— Nie, jeszcze jej nie ma. Ala na miłość Boga, coś jest, pan coś wie? Mówże pan

prędzej!

Przedpokój był wielki i ciemny, tylko mała lampka migotała w kącie. Przytuliłem

się do ściany cichutko, nasłuchując i zapierając oddech w piersiach, żeby się

nie zdradzić, że tu jestem i słyszę.

Wuj Ksawery milczał przez chwilę, jakby mu brakło oddechu.

Wreszcie rękami

rozwiódł i wyjęknął:

— Nieszczęście!

Panna Felicya chwyciła go za ramiona.

— Jezus Marya, — krzyknęła — już?

Wuj pochylił się ku niej i powiedział coś stłumionym głosem, czego nie mogłem

dosłyszeć. Odbiły się o moje uszy dwa wyrazy tylko.

— Podpisany... Pojutrze...

Panna Felicya stała przez chwilę jak skamieniała, zakrywszy twarz rękami.

— A ja nie wierzyłam, spodziewałam się — szepnęła — a teraz... I nic już, żadnej rady, żadnego ratunku? Wuj poruszył głową.  
— Czegoż się nie robiło? — rzekł powoli, bezdźwięcznym głosem. I tu, i w Petersburgu. Od czasu przecie jak w jego sprawie zaszła ta nieszczęsna komplikacya, poruszyliśmy wszystkie sprężyny. Sam myślałem, że uda się — tymczasem...

— Biedna, biedna matka — szepnęła panna Felicya. Stali teraz przy sobie, milcząc. W sąsiednim pokoju słyhać było miarowy stukot ściennego zegara. W tej ciszy zrobiło mi się bardzo straszno i doznałem takiego uczucia, jakby tych dwoje ludzi nieruchomych i milczących, było parą ludzi umarłych. Chciało mi się płukać... ale się wstrzymałem z wielkim wysiłkiem. Tymczasem wuj Ksawery zbliżył się do panny Felicyi tak, że ich głowy prawie się dotykały i zaczął jej coś mówić prędko i cicho. Nie mogłem nic prawie dosłyszeć. Tu i owdzie tylko jakieś pojedyncze słowo dochodziło do mnie. Panna Felicya słuchała z gorączkowym zaciekawieniem..  
— Więc jutro rano, prawda? — szepnęła. I księżna z pewnością...?

— Z wszelką pewnością... Tylko Kazia... żeby przedtem nie wiedziała... Wszystko od tego ostatniego kroku zawisło, a niechby siły nie dopisały... Niech więc nie wie...

— Któżby jej powiedział? — oburzyła się naraz panna Felicya. O to proszę być spokojnym; zresztą i tak nikt...

— W mieście wszyscy wiedzą już, rzekł wuj. Jutro w kościele co żyje...

Panna Felicya zalała się łzami.

— Tak, to jedno zostało, szepnęła urywanym głosem; — jeden Bóg !

Weszli do salonu, a ja w tejże chwili, drugimi drzwiami wpadłem do Leonci, zajętej jakąś robotą w sypialni.

Musiałem być bardzo zmieniony na twarzy, ba Leoncia mimo swojej fluksyi i przygnębienia, zwróciła na mnie uwagę.

— Co ci jest Stefku? spytała, odwracając głowę od szycia; przestraszyłeś się czego, czy co?

— Leonciu, — zacząłem, dławiąc się. — Leonciu... coś złego.. panna Felicya... wuj Ksawery...

I wybuchnąłem płaczem. Leonia uderzyła w dłonie.

— Matko najświętsza, — krzyknęła — pewnie nasz Staś... I wybiegła do salonu.

Tego wieczora nie widziałem już ani Leonci, ani panny Felicyi, ani mamy.

Horpyna, pokojówka, rozebrała mnie i została przy moim łóżku, pókim nie zasnął, opowiadając mi bajki. Opowiadała je bardzo pięknie i była to dla mnie największa nagroda, gdy mi pozwalano jej słuchać; tym razem jednak nie słyszałem ani słowa. Czulem, że coś strasznego się stało, nie wiedziałem tylko co. Ale to wiedziałem, że chodziło o Stasia.

## II.

Ubierałem się na drugi dzień sam jeden w pokoju, nie widząc żywej duszy od rana, kiedy mnie naraz uderzył turkot powozu, zatrzymującego się przed domem. Uliczka, przy której mieszkaliśmy, była ustronną i mało zaludnioną. Wśród ogradzających ją parkanów, rzadko kiedy wóz się przesunął — rzadziej jesz-

cze przejeżdżał zwoszczyk. O powozach nie było mowy. Tem bardziej mnie zajął wspaniały ekwipaż z liberyjną służbą, stojący przed gankiem. Wybiegłem do przedpokoju. Panna Felicja spotykała tam właśnie i prowadziła do salonu starszą damę, w której poznałem księżnę. Widywałem ją nieraz, ale zawsze piechotą, i w czerni. Obecnie, uderzył mnie przedewszystkiem strój jej, dla oka przywykłego do



żałoby niezwykle: suknia popielata i fioletowe kwiaty u kapelusza.

Przypomniałem sobie w tej chwili kolorowe kokardy i wstążki, które kilkakrotnie panna Felicja ubierała mojej matce jej czarne ubranie. Poznawałem

potem zawsze, że mama jedzie na audyencję do generała gubernatora. Oczywiście musiała tam jechać teraz księżna.

Przez kilka minut z salonu i sypialni słychać było gwar urywanej rozmowy i posuwanych sprzętów. Wreszcie drzwi się otwarły i mama wyszła do przedpokoju, oparta na ramieniu księżnej, jeszcze bledsza i bardziej osłabiona niż zwykle.

Panna Felicja biegła za nią, przytrzymując ją i upinając szpilkami fioletową szarfę dokoła czarnego kapelusza.

— Jeszcze chwilka — wołała zadyszana. — Trzeba przecie żeby leżało porządnie.

Gotowe się rozpiąć a wtedy powiedzą, że pani umyślnie w żałobie przyjechała.

Księżna spojrzała na zegarek.

— Mamy dosyć czasu — rzekła. — Generałowa nie siada do śniadania przed dziesiątą, a właśnie w tym momencie chcę ją uchwycić.

Moja matka stała nieruchoma i obojętna, jakby nie słysząc i nie widząc, co się z nią dzieje. Panna Felicja krzątała się koło niej, wspinając na palce swoją

małą figurkę i podskakując swoim zwyczajem. Skończyła wreszcie, wiążąc

wstążki od kapelusza w kokardę u szyi

— No, teraz będzie się trzymać — rzekła, odstępując.

Mama koniec wstążki podniosła z wolna do oczu, a potem skrzyła ją w rękę

nerwowym ruchem.

— I pomyśleć — rzekła do księżnej głuchym, rozbitym głosem — że tam moje dziecko

w kaźni, w nędzy, w oczekiwaniu śmierci, a tu w sercu ból i strach, i rozpacz,

że trzeba iść do nich, do tych... czołgać się przed nimi o litość, o łaskę, o

życie... i do tego wszystkiego brać na siebie kolorowe kokardy.

— Pomyśl pani, że to dla niego, dla ratunku syna — szepnęła księżna, obejmując i przyciskając do siebie swoją matkę.

— Dla Stasia, dla naszego chłopca drogiego — dodała panna Felicya, nachylając się do jej ręki.

Drzwi się zamknęły. Przez chwilę słyszałem kroki na schodach, potem z ulicy

doleciał trzask zamykających się drzwiczek i głuchy turkot karety po błotnistej

ulicy. Potem zrobiło się cicho. Otworzyłem drzwi chcąc wejść do jadalni, kiedy

mnie zawrócił głos panny Felicyi.

Spojrzałem na nią. Siedziała w kącie przedpokoju, z rękami opuszczonymi

bezwładnie, z szklanymi, nieruchomymi oczyma. Ona, taka żywa i kręcąca się bez

wytchnienia! Jej ospowata twarz o twardych

i nieregularnych rysach, wyglądała brzydziej niż zwykle. Nos poczerwieniał i  
zaostrzył się, głowa się trzęsła jak u staruszki i zwolna, tocząc się jedna za  
drugą, spływały po żółtych policzkach wielkie łzy.  
Nie mogę powiedzieć, żebym ją lubił. Nie byłem wówczas w stanie ocenić, ani jej  
przywiązania do nas wszystkich, ani tych gruntownych cnót, które u poczciwej  
starej panny, od trzydziestu lat należącej do naszej rodziny, ukrywały się pod  
powłoką wpadających w oczy słabostek i dziwactw.  
Widziałem tylko tę powłokę  
odstręczającą nieraz a zawsze prawie śmieszna i pamiętałem dobrze, że dla mnie  
panna Felicya była kodeksem przyzwoitości, prostego trzymania się i dobrych  
manier i że myśl o niej łączyła się koniecznie z myślą o gderaniu, o  
gramatycznych regułach Noela i Chapsala i o szalika, owijanym mi na szyi w  
najgorętsze dni letnie. Teraz jednak podbiegłem do niej i przytuliłem głowę,  
obejmując ją serdecznie rękami, tak jak to czyniłem z mamą.  
— Co pannie Felicyi jest? — zawołałem. — Czego panna Felicya płacze?  
Ona mnie z niezwykłą u niej czułością przycisnęła do serca.  
— Czemu? — odpowiedziała przez łzy; — czemu? Ach, bodajbyś zbyt prędko nie  
dowiedział się o tem biedny, biedny mój chłopcze!

Znowu więc miałem być biedny! Dla czego?

— Czy może Stasiowi gorzej? — zapytałem. Panna Felicya zakryła twarz rękami.

— Gorzej, o wiele gorzej, — rzekła przytłumionym głosem.

— Nawet całkiem źle.

Módl się za

niego, Stefku. Bóg czasem wysłuchuje dziecinne modlitwy.

Albo chodź ze mną,  
pójdziemy do kościoła.

Wyszliśmy za chwilę. W kościele modliło się mnóstwo osób,  
prawie jak w

niedzielę. Przed ołtarzem Matki Bożej po prawej stronie aż  
czarno było, tyle pań

w żałobie klęczało obok siebie lub leżało krzyżem. Trzymając  
mnie za rękę,

podeszła tam panna Felicya.

— Klęknij Stefku i módl się, módl się bardzo gorąco za  
biednego Stasia.

Mówiąc to, upadła na kolana, a za chwilę z jękiem głuchym  
rozciągnęła ręce i

położyła się krzyżem na zimnej i wilgotnej posadzce.

Przed ołtarzem Bogarodzicy kończyła się właśnie wotywa.

Ksiądz Osmólski ją

odprawiał, ten sam, o którym słyszałem, że spowiadał  
więźniów w fortecy i

skazanych odprowadzał na śmierć. Był to młody ksiądz,  
szkolny kolega Stasia.

Mama lubiła go bardzo, mogła z nim mówić o synu. Bywał też  
u niej często i

niejeden wieczór zimowy przeszedł mi na słuchaniu jego  
pełnego, metalowego  
głosu, który mi brzmiał w uszach jak muzyka.  
Dziś głos mu nie dopisywał. Urywał się i słabł co chwila, przy  
Ite missa est  
całkiem uwiązał w gardle. Twarz miał też zmienioną i bladą.  
Dziwna rzecz zresztą  
: to samo widziałem u wszystkich znajomych osób, będących  
w kościele, a było ich  
bardzo wiele, prawie wszyscy, i wszyscy jacyś zmieszani,  
niespokojni i smutni.  
Co chwila któraś z pań, podchodząc ścisnęła mnie, pytała z  
cicha o mamę i  
przykładając chustkę do oczu, klękała z boku. Ciotka Aniela,  
sio-

stra mamy, łkała, schylona ku ziemi. Stryjenka Zygmuntowa  
leżała krzyżem obok  
panny Felicji, a tuż przy ołtarzu, w jej ruchomem  
mechanicznym krześle  
zobaczyłem z prawdziwym zdumieniem babcię Justynę,  
najstarszą w naszej rodzinie,  
sparaliżowaną, ślepą i głuchą, nigdy prawie nie opuszczającą  
mieszkania.

Ostatnia ewangelia skończyła się tymczasem. Ksiądz ukląkł  
na stopniach ołtarza.

W kościele zrobiło się bardzo cicho, wszystkie oczy zwróciły  
się ku ołtarzowi.

— Pomódlmy się na intencję Bogu wiadomą. Prośmy Matki  
Najświętszej....

Słowa się urwały i znów było cicho przez chwilę. Naraz od tylnych ławek rozległ się głośny jęk i płacz i w tejże chwili kościół cały zatrzęsł się od łkania. Jak iskra, gdy padnie niespodzianie na wysuszony a palny materiał, wybucha ogromnym płomieniem i odrazu morzem ogni rozlewa się dokoła, tak i z tych serc wielu obciążonych i smutnych, pełnych goryczy i trwogi, wylało się na zewnątrz to wszystko w jednej chwili, co w nich się kryło cierpienia i żalu. Ale w tych czasach cierpieć było wolno, ale nie wolno było cierpienia wyjawiać i skarżyć się na nie. Ksiądz Osmólski zerwał się szybko i zwracając się ku płaczącemu tłumowi, zawołał gromkim głosem:  
— Cicho, na miłość Boga, cicho!  
A potem dobywając wszystkich sił po nad ten huragan jęków i krzyków boleści, pełną piersią zaintonował:  
— Pod Twoją obronę!

I zrobiła się rzecz dziwna. Jęk nie ustał, płacz nie zmilczał, ale i jęk i płacz przeszedł odrazu w śpiew i modlitwę, zlały się z potężnym głosem organu i popłynęły w górę nutą kościelnej pieśni. Tylko, że ta pieśń inną była niż zwykle. Drgały w niej wszystkie łyzy, bardzo długo wtłaczane w głąb duszy przez

ten tłum w żałobie; dźwięczał ból bezbrzeżny jak bezmierną  
była niedola tych  
ludzi, dźwięczała skarga bez nadziei na ziemi i prośba o litość,  
o zmiłowanie,  
o kroplę rosy niebieskiej dla ust spalonych cierpieniem i serc  
wyschłych z  
tęsknoty. „Pod Twoją obronę...”  
I wyciągały się ręce, i podnosiły się oczy pełne łez ku temu  
niebu, w którym  
jedyna była ucieczka i otucha, skoro wszystko zawiodło na  
ziemi. I te wszystkie  
serca obciążone i smutne chyliły się w proch przed Tą, którą  
zwały swą „Panią” i  
z ust drgających bolem, szło wołanie pokorne a gorące  
„Prośbami naszymi nie racz  
gardzić w potrzebach naszych”. Ach, te potrzeby były tak  
wielkie, prośby tak  
naglące, nędze tak nieznośne, a Ta, do której się zwracały  
oczy, usta i serca,  
wszak była Orędowniczką, wszak była Pocieszycielką, wszak  
od tylu wieków była  
Królową tego ludu!  
Wiele lat przeszło od tej chwili Życie zgięło mnie ku ziemi i  
zahartowało serce  
Szron jesieni padł na kwiaty mej młodości i na wspomnienia  
lat dziecinnych,  
warząc jedne, zmiatając inne bez śladu. Widziałem cierpienie i  
ludzi, co z  
cierpienia umierali, patrzyłem na konwulsje konających,  
słyszałem jęki rannych.  
Żaden odgłos ziemi nie zagłuszył w mej pamięci hymnu  
słyszanego w kijowskim  
kościelnie, w tym

dniu pamiętnym, posepnym i ciemnym jak ten, który miał przyjść po nim.

### III.

Wracając do domu, spotkaliśmy na schodach Leońcę.  
Panna Felicja rzuciła się do niej.

— I cóż, zawołała, czy pani przyjechała? Leońcia nie odpowiedziała nic. Chwyła

pannę

Felicję za ramiona i popchnęła ją do jadalni; potem w kącie, pod oknem, urywanym

głosem zaczęła jej coś mówić. Słyszałem tylko wykrzykniki panny Felicji:

— Jezu miłosierny! Jutro! I nawet widzieć się z nim nie dają!

Nawet matce syna

pożegnać! O, nieszczęście! O Boże, Boże!

Wreszcie Leońcia skończyła. Wtedy obie kobiety wybuchły głośnym płaczem i

rzuciły się sobie w objęcia. Ale panna Felicja w tejże chwili przytłumiła

łkanie.

— Ciszej, na Boga, szepnęła; pani marszałkowa gotowa posłyszeć.

Leońcia potrząsała głową i ręką.

— Pani marszałkowa jest w sypialnym pokoju. Przy niej ksiądz prałat i pani

podkomorzyna. Ztąd nie słyhać. A zresztą wszystko jedno. Wie o wszystkim.

— I o tem, że jej syna nie dadzą pożegnać?

— I o tem.



— I jakże to stało się? Czy słyszałaś?

Księżna opowiedziała. Przyjechali, powiada, do pałacu — księżna, że to ma wstęp wolny do tej moskiewicy, więc z naszą panią prosto do jej pokojów, bez anonsowania, boby pewnie nie przyjęła. Generałowa, słyszę, zmieszala się okropnie. Pani Marszałkowej coś tam bąkała niewyraźnie, a potem księżnę bierze na stronę. „Daremność, mówi, i mnie i tej nieszczęśliwej zrobiła przykrość. Rzecz skończona. Mój mąż wczoraj wieczorem wyrok wojennego sądu potwierdził. Mnie jeszcze przedtem, kiedy księżna w tej sprawie przyjeżdżałaś do mnie, zakazał do tego się mieszać. Możeby i chciał co zrobić, ale nie może. On nie cesarz — sam się obawia”. Księżna się pyta: „A gdyby do niego jeszcze szturm przypuścić? Toż to matka — toż jej o życie dziecka chodzi!” Moskiewica na to: nie i nie. Aż wreszcie rozplakała się. „Osądź sama. mówi; jaż przecie nie z kamienia, mnie żal i serce boli, jak patrzę na tę nieszczęśliwą, ale cóż zrobić, cóż zrobić? Nieszczęście! Rady żadnej. Jedno chyba wam już uczynię, choć mąż będzie na mnie wściekły za to: puszcze was do jego kancelaryi przez moje apartamenta. Nie

pomoże to, wiem, ale niech choć nic wam na sumieniu nie zostanie". Tak i zrobiła.

— Więc pani widziała generała?

— A jakże. Widziała. Uklękła przed nim, ona, taka wobec nich dumna. Ale czegoż matka dla dziecka nie zrobi? Księżna mówi, że on był jak z lodu Grzeczny, zimny, obojętny, jakby to nie o życie ludzkie chodziło. O przekłety! Bodajby...

Panna Felicja zakryła jej usta dłonią.

— Cicho, Leonciu, uspokój się, nie przeklinaj, bój się Boga! Mów dalej. Cóż generał?

— A cóż? Podniósł panią, posadził, wody kazał podać i bardzo grzecznie powiedział, że nie robi nic ale to nic zgoła. Ten zwierz w ludzkiej postaci, kat w białych rękawiczkach! I Pan Bóg patrzy na to! Panna Felicja przerwała jej znowu.

— Leonciu, nie bluźnij. Nie dodawaj grzechu do nieszczęścia. Wola Boża. Więc i widzieć się nie pozwolił? Leonia wstrząsnęła głową

— Nie mogę, mówi, mam rozkaz wyraźny. Potem powiada — słyszy pani tego łotra, tego szatana! — widzenie z nim oddziałyoby zgubnie na zdrowie pani, a jemu odebrałyoby spokój i rezygnację, tak potrzebną w jego położeniu. Uważa pani,

panno Felicjo? On dba o zdrowie naszej pani, o spokój  
naszego Stasia... O Jezusie,  
Jezusie!

Panna Felicya pochyliła głowę w milczeniu.

— Kto wie — szepnęła — może było w tem jednak trochę  
słuszności.

Leonia oburzyła się.

— Będzie im panna Felicya jeszcze słuszność przyznawać —  
zawołała. — A jak

Stasia naszego nie stanie, a naszej pani — o Matko

Najświętsza — nie dadzą go

choć raz jeszcze przed śmiercią zobaczyć, pożegnać, to co  
wtedy będzie? Czy nie

będzie to ją do końca życia gryść i szarpać, że jej tego nie  
pozwolili zrobić ?

— Prawda — szepnęła spuszcając głowę panna Felicya  
straszna prawda...

Leonia chciała coś dalej mówić, ale w tej chwili wszedł do  
pokoju ksiądz  
prałat.

— Niech panna Leonia pójdzie do pani marszałkowej —  
rzekł.

Ksiądz prałat Dobszewicz, spowiednik mojej matki i  
przyjaciel, doradca, duchowny

kierownik całej naszej rodziny, był jedną z najbardziej  
znanych a może

najbardziej szanowaną postacią w Kijowie. Jego sucha,  
ascetyczna twarz o surowym

profilu starca i głębokiem, uderzającym chwilami z pod brwi  
krzaczastych, jak

piorun, spojrzeniu, przejmowała wciąż nawet tych, u których  
nie budziła  
sympatii. Święty może trochę więcej na modłę groźnych  
proroków starego zakonu,  
niż wedle pełnego słodczy wzoru Franciszka Salezego lub  
Wincentego a Paulo, ten  
stary ksiądz z głębi żmudzkich borów, imponował raczej, niż  
pociągał. Było w nim  
jednak bardzo wiele i bardzo głębokiego uczucia, tylko że  
przez lat tyle  
stawiając więcej od innych czoło burzy, wgniótł to uczucie w  
głęb duszy i stał  
się podobny do granitu, o który odbijają się daremnie huczając,  
szalejąc morskie  
bałwany i nawałnice. Teraz właśnie musiał na to patrzeć, jak  
przemoc obca,  
przeciw której przez życie całe walczył z cichą wytrwałością  
litewską,  
przykładała siekierkę do dzieła całego tego życia. Od  
dwudziestu lat kapelan,  
profesor, poniekąd moralny przywódca polskiej i katolickiej  
młodzieży na tym  
schyzmatyckim rosyjskim uniwersytecie, stał teraz właśnie  
wobec najcięższej i  
najstraszliwszej chwili życia: wobec wyroku śmierci  
wydanego na jego katedrę w  
uniwersytecie i jego ukochaną uniwersytecką ka-

plię, patrzeć musiał na całe jedno pokolenie swojej  
młodzieży, zagrożone

zagładą lub wygnaniem, gnijące w więzieniach fortecznych i  
kazamatach

Prozorowskiej baszty. A jednak i teraz ten stary ksiądz stał  
nieugięty i

niezachwiany, tylko więcej bruzd miał na czole, tylko  
surowiej i smutniej

patrzyły siwe oczy z pod brwi ściągniętych.

Zaledwie Leońcia wyszła, zwrócił się do panny Felicji,  
całującej jego rękę

— Czyście przygotowały co potrzeba do nabożeństwa?

Pewnie zapomnieliście w tym  
waszym smutku i kłopotcie.

Panna Felicja klasnęła w dłonie.

— Prawda, zawołała. Na śmierć zapomniałam. Ale wszystko  
jest w domu. Tylko

urządzić trzeba. Zaraz się tem zajmę. Proszę okna od ulicy  
zasłonić, żeby kto  
nie podpatrzył i nie doniósł.

Był w tych czasach pełnych klęski i grozy zwyczaj w Kijowie,  
że ilekroć większe

niebezpieczeństwo groziło jednemu z fortecznych więźniów, a  
tem bardziej, jeżeli

którego z nich skazano na śmierć, rodzina i przyjaciele  
niesześciwego zostawali

przez całą dobę i więcej, aż do rozstrzygnięcia sprawy lub do  
wykonania wyroku,

na wspólnej, nieustannej modlitwie. Od wczesnego rana  
zbierano się w kościele,

gdzie wszystkie Msze święte ofiarowane bywały na tę  
intencję. We łzach, krzyżem

leżąc, słuchały nabożeństwa, matki, żony, córki tych, na  
których wydawano

właśnie wy rok śmierci lub Sybiru. Gdy Msze się zakończyły,  
u rodziny w  
pomieszkaniu urządzano pokryjomu ołtarz, przed którym,  
zmieniając się kolejno,  
klękali zna-

jomi i bliżsi, a nawet dalecy i nieznani, złączeni tylko  
braterstwem  
współczucia, które w tych smutnych dniach było jedynym  
jaśniejszym promieniem  
dla serc zbolełych i wspólnym, potężnie wszystkich  
zespalałym węzłem.

Panna Felicja, z pomocą Leońci i ciotki Anieli, ustawiała w  
małym, ciemnym  
gabinieku obok sypialni ołtarzyk. Na białym obrusie,  
pomiędzy sześciu woskowymi  
świecami, jaśniała złota szata Berdyczowskiej Bogarodzicy, a  
przy niej  
poczerniały srebrny relikwiarz, który pradziad miał z sobą pod  
Wiedniem.

Tymczasem drzwi od przedpokoju nie zamykały się. Ciągłe  
ktoś wchodził i, nie  
zatrzymując się, spieszył do improwizowanej kaplicy.

IV.

Na palcach, po cichu wcisnąłem się do sypialni. W swoim  
wielkim fotelu koło  
łóżka siedziała mama. Zdawało się, że śpi, bo oczy miała pół  
przymknięte,  
nieruchome, jakby martwa, bez jednej kropli krwi. Prałat stał  
koło niej,

trzymając w rękach dłoń jej zwisłą bezwładnie na poręczy.  
Babcia podkomorzyna  
siedziała obok nachylona, wpatrując się w tę biedną twarz, z  
której zdawało się,  
że życie uciekło., Leońcia stała w głowach, nacierając jej  
skronie jakimś  
płynem. U kolan klęczała wnuczka babci podkomorzyny,  
kuzynka Anusia, w grubej  
żałobie po ojcu, którego przed trzema miesiącami Murawiew  
powiesił w Wilnie.  
Patrzałem przestraszony, milczący, z rozwartymi szeroko  
oczyma. Rozumiałem już  
wszystko: tyle już

słyszałem i widziałem od przybycia naszego do Kijowa! Staś,  
brat mój jedyny,  
skazany był na śmierć i jutro, jutro już miano wykonać na nim  
wyrok, jak  
przedtem wykonano na Zielińskim, Podlewskim, Rakowskim i  
tylu innych.  
Ksiądz mię zobaczył w tej chwili. Musiała mu jakaś myśl  
wpaść do głowy, bo przez  
minutę stał patrząc na mnie z wahaniem, potem chwycił mnie  
za obie ręce i  
przyciągnął do matki, a raczej poprostu rzucił na jej kolana.  
— Masz pani jeszcze jedno dziecko, pani Kazimiero, rzeki do  
niej. Przyjdź do  
siebie, panuj nad twoim bólem, szanuj życie, bo ono dla niego  
potrzebne.  
Słowa te zbudziły mamę z odrętwienia. Poruszyła rękami  
wyciągniętymi przed

siebie, szukała mnie przez chwilę, jak przez sen, ale kiedy  
płacząc głośno  
przytuliłem się do niej, odepchnęła mnie.  
— To nie on, zawołała rozdzierającym głosem; to nie Staś  
mój! Gdzie tamten,  
gdzie mój pierworodny, najdroższy, jedyny? Puście mnie do  
niego, puście, nie  
trzymajcie! Niech choć mury zobaczę w których go więżą —  
niech zobaczę ludzi,  
którzy go strzegą. Niech mi choć popatrzeć na niego dadzą —  
choć raz jeden do  
serca przycisnąć... O, puście mnie przez litość! Na  
miłosierdzie Boże, uspokój  
się pani, — rzekł ksiądz, wstrzymując ją i sadzając  
szamoczącą się konwulsyjnie  
w fotelu. W Petersburgu, ambasadorowa jeszcze raz miała  
cesarzową błagać o  
łaskę. Pan Ksawery siedzi od rana w biurze telegraficznym —  
może przyniesie lada  
chwila wiadomość....

Mamie wzrok rozjaśnił się.

— Więc macie jeszcze nadzieję? — zawołała — więc jeszcze  
jest ratunek?

— Bóg wielki, — rzekł ksiądz — do ostatniej chwili ufać i  
spodziewać się trzeba.

Mamie głowa opadła znów na piersi.

— Nie, — odparła ponuro — daremno. Serce mi mówi, że  
daremno. Żadnego nie  
ułaskawiono, nie ułaskawią i jego.... Oni go już nie puszczą ze  
szponów swoich.



Wypiją krew ciepłą z pod jego serca, jak kruki. I nie  
uśmiechną się już do mnie  
usta kochane, które w kołysce jeszcze śmiały się, ile razy  
schylałam do nich  
głowę, i zagasną oczy takie jasne, takie śliczne, moje gwiazdy,  
oczy mego  
Stasia... i ja go już nie zobaczę nigdy, nigdy!...  
— Gdybyś go nawet nie zobaczyła na ziemi zobaczysz w  
niebie, gdzie na ciebie  
czekać będzie u Boga, — rzekł ksiądz poważnie.  
Ona głową potrząsała.  
— W niebie — wiem, wiem, ufam w to, ale widzi ksiądz, to  
tak daleko... a żyć  
trzeba będzie i życie takie ciężkie, takie długie... A jak żyć bez  
Stasia?  
Ksiądz nie wie, nie rozumie mnie, ksiądz może mnie oskarża  
o brak wiary, o brak  
rezygnacyi. Ale nie — ja we wszystko wierzę, ja nie buntuję  
się.... Ale ja matka  
a on, on moje dziecko ukochane, moje pierwsze.... I oni mi go  
chcą wziąć, wziąć  
na zawsze. I nawet nie dadzą oczom moim spojrzeć na niego,  
nie dadzą sercu  
przytulić go po raz ostatni! A ja go przecie pod tem sercem,  
nosiłam, ja życie  
moje włożyłam w to dziecko moje i teraz....

Staliśmy wszyscy bez ruchu, tłumiąc łkanie. Ona siedziała  
nieruchoma także, z  
oczyma wpatrzonemi w dal. W ciszy, głos jej bezdźwięczny i  
głuchy rozlegał się

jak jęk rozbitego dzwonu.

— Ksiądz może nie wie, czym dla mnie było to dziecko. Mój Eustachy, kochany, najlepszy — ojcem mógł być dla młodej dziewczyny, gdy mnie wiódł na kobierzec.

Przytem gospodarstwo, interesa, urząd. Gościem był w domu.

Kiedy wpadł na

chwile, rzucał mi przelotną pieszczotę — i znów byłam samą.

Węzła między nami

brakło: nie było dziecka. I szły lata samotne i bardzo smutne.

Więdoło mi życie,

więdoło serce. I myślałam, że już tak zawsze będzie, że na

mojej drodze nigdy już

słońce nie zabłyśnie. Aż wreszcie — Bóg mi dał jego....

Urwała i przez kilka minut milczała, wyczerpana.

Słuchaliśmy, wstrzymując

oddech. Zaczęła znowu.

— Nie spodziewałam się już dzieci; kiedy miał przyjść na

świat, pewni byli

wszyscy, że przyjdzie nieżywy. Kiedy się ocknęłam po długiej

nieprzytomności i

ty sama, ciociu, podałaś mi go do rąk, wierzyć nie chciałam,

że on mój, że żyje.

Cóż dziwnego, że to dziecko, wyglądane tak długo i daremnie,

w końcu poprostu

darowane mi przez Boga, pokochałam goręcej, namiętniej, niż

się zwykle kocha,

niż się może kochać godzi. Tem bardziej, że dziecko to stało

się węzłem między

mną a Eustachym i że przez tyle lat pozostało jedynem...

— ...Od urodzenia Stasia zmieniło się u nas wszystko.

Maleństwo w kolebce

stworzyło w domu

naszym ognisko, rodzinę, małżeńską miłość. Teraz dopiero  
poznałam Eustachego,  
jakim był i wiele był wart. Teraz dopiero i on mnie pokochał.  
Młodsze dziatki  
umierały jedno po drugim, zaraz po urodzeniu. Tem  
potężniej rosło przywiązanie  
do tego jedyne go, którego Bóg nie odbierał. A przytem — jak  
on umiał na to  
przywiązanie zasłużyć!  
Ksiądz skinął głową i ręką po oczach przesunął.  
— Znam go przecie, szepnął miększym, niż zwykle, głosem.  
Uczniem był moim aż do  
chwili... uczniem ukochanym.  
Mama poruszyła się nerwowo.  
— Nie znasz go ksiądz — przynajmniej nie tak, jak ja. Nikt  
nie zna tak dziecka,  
jak matka... Czyś przeczuwał nad nim połowę nocy jego  
dzieciństwa? Czyś  
wpatrując się ze drżeniem na jego twarzyczkę wybladłą od  
choroby lub spieczoną  
gorączką, modlił się do Boga, żeby twoje życie wziął w  
zamian za gasnące w twych  
oczach życie twego dziecka? Czyś śledził za każdym jego  
ruchem, za każdym słowem,  
za budzącą się myślą w jego głowie, za uczuciem,  
rozkwitajacem jak kwiat  
wiosenny w tem małym serduszku? Nie — cudze dzieci  
miałeś tylko księżę; nie mów  
więc, że znasz, że kochasz, jak właśnie zna i kocha matka!

Zamilkła, wyczerpana wybuchem. Ksiądz nie odpowiadał nic  
— tylko znów ujął rękę  
jej w obie dłonie.

Po chwili zaczęła innym, miękkim, przyciszonym głosem:

— Pamiętam, był jeszcze taki malutki, ledwie zaczynał biegać  
i szczebiotać,  
przyszli do nas żołnierze. Wojsko w marszu zatrzymało się na  
odpoczynek. Na  
obiedzie byli oficerowie, na dziedzińcu muzyka, bębny i  
śpiewacy. Maleństwo  
przeraziło się wrzasku, szczęku broni, mundurów — przytuliło  
się do mnie i  
szepcze płacząc: „Mamo, ty mnie im nie oddasz, prawda?” A  
gdym go uspokajała,  
prosił dalej: „Ale przyrzekasz, mamo, obiecujesz? Jak Bożę  
kochasz, nie oddasz  
mię?” Ja obiecywałam i uspokajałam go i śmiałam się, aby go  
uspokoić lepiej, a  
serce ścisnęło mi się strachem i bólem. A jeżeli przyjdzie go  
oddać im kiedyś,  
gdy dorośnie? A jeżeli nie będę mogła dotrzymać obietnicy? I  
przyszło... i  
trzeba było oddać go, i teraz... teraz oni go wezmą całkiem,  
nazawsze odemnie i  
nigdy..

Ksiądz jej przerwał.

— Duszy mu wziąć nie potrafią. Ciało gnębić, to im wolno,  
zabić nawet wolno, ale  
duszę śmierć wyswobodzi. Wróci do niebieskiego Ojca, jak  
motyl, zrzucający

osłony poczwarki, jak orzeł lecący do światła, wróci omyta w  
krwi męczeńskiej —  
po nagrodę.

— A ja — zawołała — a ja co zrobię? A mnie jak żyć bez  
niego?

Ksiądz spojrział na nią surowo.

— Czy jego kochasz, czy siebie w nim? — zapytał. — Żal ci  
go dla ojczyzny, dla  
Boga? To życie tak krótkie, czyste jeszcze i niewinne, mające  
się spalić w ogniu  
ofiary, chciałabyś widzieć zbrudzone nędzami życia, złamane  
zawodami i  
cierpieniem, koń-

czące się bez chwały i pożytku? A może taki byłby los Stasia.  
A teraz...

— A teraz, oni mi go zamęczą, zabiją!

— Bóg ofiar żąda na przebłaganie swego gniewu. Każda  
ofiara, a zwłaszcza  
niewinna, zbliża godzinę łaski i przebaczenia, przeważa szalę  
sprawiedliwości...

Nie żałuj jej, poświęć syna, poświęć serce własne.....

To wola Boża To ofiara dla odkupienia wielu...

Przez chwilę trwało milczenie.

— Wiem o tem, zaczęła wreszcie matka moja cicho. — Wiem,  
że Bóg żąda ofiary  
odemnie, wiem, że trzeba ją przynieść, że bunt daremny. Ale  
ciężko, serce się  
rwie. Chciałoby się powiedzieć: bądź wola Twoja, a nie mogę,  
nie mogę...

— A przecie trzeba — rzekł ksiądz. — Trzeba. Chrześcianką jesteś.

— Jestem, chcę być. chcę się poddać. Ale w tem jednym.. O dziecko mi chodzi — o

Stasia mego!

— On także modli się w tej chwili. Ksiądz Osmólski jest przy nim, jak ja przy

pani. Ale on pewnie się nie buntuje.

— On? Staś mój? O nie! On odważny. On zawsze mówił, że zginąć chce w bitwie, od

moskiewskiej kuli. T teraz, nie w bitwie, nie... ale od kuli.. O Boże, Boże !

— Zwróć się do tego Boga, przed którym on teraz się korzy.

Złącz się z nim. On

zrezygnowany, posłuszny idzie w jasną drogę, ku Bogu.

Chcesz rozłączyć się z

nim na wieki, kobieto słabego serca ? On teraz powtarza słowa modlitwy Pańskiej,

a ty — nie potrafisz go naśladować.

Mówiąc to ukląkł, nie puszczając jej ręki. Klęczeliśmy

wszyscy. W ciszy głuchoj

głos starego księdza zaczął się rozlegać powolny, doniosły.

Towarzyszył mu głos

kobięcy.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... Słowa płynęły jedne za drugimi i

urwały się.

— Bądź wola Twoja — powtórzył ksiądz. Matka moja

pochyliła głowę ku ziemi i

milczała

przez chwilę, oddychając ciężko. Wreszcie podniosła do góry  
twarz bardzo bladą,  
ale dziwnie spokojną.  
— Bądź wola Twoja — rzekła powoli.

V.

Świece się paliły, migocąc żółtymi płomykami i rzucając w  
czarne zakątki pokoju  
błyski swoje niepewne i drżące.  
Noc jeszcze była — ale od okien, przez muślin zapuszczonych  
firanek, przedzierać  
się zaczynała ta niewyraźna szarość, bladawa i smutna, która  
poprzedza późny,  
jesienny poranek. Od czasu do czasu, jedna z kobiet  
klęczących lub leżących  
krzyżem, wstawała z ziemi i sennym, chwiejącym się krokiem  
przesuwała się przez  
pokój pełen cieniów, sama do czarnego cienia podobna. Cicho  
było. Czasem dawał  
się słyszeć szept modlitwy lub przez drzwi, uchylone do  
przyległego salonu,  
dochodził na chwilę szmer półgłosem prowadzonej rozmowy.  
Obudziłem się przed kilku minutami. Spłakany i znużony  
zasnąłem po północy  
niespokojnym snem, w kącie sofy narożnej i teraz, napół  
senny jeszcze i

niezupełnie przytomny, patrzałem na ten dziwny i dziwnie  
posepny obraz. Szukałem  
mamy. Leżała krzyżem, tak jak ją widziałem przed kilku  
godzinami, nimem zasnął.

Koło niej klęczały ciocia Aniela i panna Felicja.  
Tak samo jak wieczorem, nieruchoma w swoim fotelu, z  
twarzą wyschłą jak pergamin  
i zrozwartymi szeroko oczyma bez blasku i życia, babcia  
Justyna siedziała przy  
samym ołtarzu, podobniejsza do woskowej figury, niż do  
żyjącej istoty. Ręce  
tylko, niedotknięte paraliżem, poruszały się wolno,  
mechanicznie przesuając  
rózaniec i od czasu do czasu w ciszy nocnej, głos jej rozbity i  
bezdźwięczny,  
dobywający się z głębi piersi, jakby z podziemnej otchłani,  
rozlegał się po  
pokoju surowymi, smętnymi słowami psalmu. Było coś bardzo  
przejmującego i coś  
strasznozarazem słyszeć tę staruszkę, dla której zagasły  
światła i przestały  
brzmieć wszystkie głosy ziemi, wołającą z prorokiem do  
Pana Zastępów,  
naprzemian o miłosierdzie i o pomstę:  
„Dopókiż Panie będziesz zapominać o mnie i twarz Twą  
odemnie odwrócisz? Dopókiż  
wróg mój będzie się podnosić nademną?”  
„Którego usta pełne są goryczy i zdrady, który zasadzki  
tajemnie czyni z  
możnymi, iżby zamordowali niewinnego?”  
„Ale Pan rozprasza zamiary pogan i myśli narodów potępia.”  
„Albowiem wejrzał z wysokiej świątnicy Swojej, aby  
wysłuchał wzdychania  
więźniów, aby rozwiązał syny pomordowanych.”



„Na słowo Jego czekała dusza moja, nadzieję miała dusza moja w Panu.”

Niestety! Dla Stasia nie było już nadziei, nie było jej przynajmniej na ziemi...

W tych cieniach, słabo rozświetlonych posepnymi błyskami gromnic, zrobiło mi się

naraz okropnie. Wyobraziłem sobie, że te ciemne postacie, pochylone na podłodze,

to szereg trupów, okrytych całunem i że babcia Justyna, ze swoją woskową i

nieruchomą twarzą, to także trup, a modlitwa jej głośna, to jakiś straszny głos

z za grobu. Zerwałem się, szlochając, i poomacku, uderzając o meble i potykając

się, pobiegłem do salonu. We drzwiach zatrzymała mnie Leońcia.

— Panna Felicja tam jest? spytała szeptem.

— Jest... Nie... nie .. wiem... Ja się boję tam... Ja nie chcę...

I czepiałem się, szlochając, jej sukni.

— Niech Stefek mi się zabiera ztąd ze swymi płaczami, syknęła przez zaciśnięte

zęby. Takie nieszczęście, a on się maże. Także czas sobie wybrał!

I odtrącając mnie, zawołała po cichu przez drzwi uchylone na pannę Felicję.

W salonie paliło się kilka świec i lampa na dużym stole, na którym stał dymiący

samowar wraz z przyborami do herbaty. Kilka osób skupiło się razem w przeciwnym

końcu pokoju, dokoła wuja Ksawerego, który widocznie tylko co przyszedł, bo

mokro futro miał jeszcze na sobie i czapkę w ręku.

Panna Felicja podbiegła w tej chwili do niego.

— Co, telegram? zawołała; z Petersburga? Jest nadzieja?  
Wuj Ksawery był bardzo poważny a blady jak płótno, on, z  
którego policzków  
tryskała zwykle krew i wesołość aż biła. Wąsy mu się nawet  
opuściły na dół, a  
ręka trzęsła się, gdy zmięty papier podawał pannie Felicyi, nic  
nie mówiąc.

Ta wyrwała mu go z ręki i przez chwilę próbowała go czytać.

— Nie mogę, zawołała wreszcie. Łzy nie dają.

— Daj mnie, rzekła babcia podkomorzyna.

I po cichu, szeptem, ale wyraźnie przeczytała słów kilka.

Nie pamiętam dziś ich treści — i po co? Dość, że

ambasadorowa, zajmująca się w

Petersburgu uratowaniem Stasia, donosiła swojej przyjaciółce  
księżnej, w

pokrytych słowach, że wszystkie zabiegi chybiły, i że

prywatną audyencyę, o

którą prosiła w tej sprawie, naznaczono jej.. na czwartek po  
południu.

A czwartek to był dziś... I dziś rano miano wykonać wyrok.

Przez długą chwilę trwało milczenie. Tyle łez płynęło już w  
tych dniach

ostatnich, że źródło ich wyschło. Stali wszyscy nieruchomi i  
cisi, oczu nie

podnosząc i konwulsyjnie zaciskając dłonie.

Zegar ścienny zaczął powoli wybijać godzinę.

Wuj Ksawery podniósł nagle głowę, jak człowiek budzący się  
ze snu.

— Szósta, szepnął. Ależ to przecie... o tej godzinie...

— Jezus, Marya! jęknęła panna Felicja; o tej godzinie, w tej chwili...

I nie kończąc, wbiegła do drugiego pokoju i z łkaniem rzuciła się twarzą na ziemię, przed ołtarzem.

Jedni za drugimi — wsunęli się za nią wszyscy. Wuj Ksawery ukląkł przy progu na obydwie kolana, pochylił się tak, że czołem prawie dotykał posadzki i zaczął głośno szlochać.

Dzień się robił mglisty, żałobny, ołowiany. Smugi białego światła szły przez

okna, kłócąc się z żółtym światłem świec woskowych i bladym twarzom nadając

trupią barwę. Klęczeliśmy wszyscy, milcząc. Czasem tylko urywane łkanie, jęk lub

głośniejsze słowo modlitwy przerywało ciszę.

Mama leżała ciągle krzyżem, nieruchoma, jakby umarła.

Nie wiem, jak długo to trwało. Wreszcie skończyło się.

Na ulicy rozległ się turkot, potem słychać było głośne kroki na schodach, w

przedpokoju. Ktoś wszedł i zatrzymał się w jadalnej sali, jakby wahając się.

Z nas nikt się nie ruszył. Klęczeli wszyscy dalej — tylko zrobiło się zupełnie

cicho. Serca poprostu przestały uderzać. Czuli wszyscy, domyślali się wszyscy,

że kroki te znaczą coś strasznego. Zbliżało się, nadchodziło...

Przeznaczenie.

Ale nikt nie miał odwagi wyjść na jego spotkanie.

Czekaliśmy. Drzwi wreszcie otwarły się.

Na progu stał ksiądz Osmólski, do trupa podobny, skłaniający się. Prałat stanął za nim, podtrzymując go.

Mama zerwała się naraz i klęcząc, głowę zwróciła ku wchodzącym.

Z ust, spieczonych gorączką, wydarło się jedno słowo:

— Już?!

Ksiądz Osmólski podszedł do niej, trzęsąc się. W rękach wyciągniętych trzymał

coś i podawał jej. Był to szkaplerz i krzyżyk z medalikami.

— Kazał oddać... matce... bratu... zaczął urywanym głosem.

— Dziękuj Bogu, córko, ozwał się prałat. Bóg cię uczynił godną tego, że dałaś

męczennika ojczyźnie, duszę czystą — niebu. Tam on czeka na ciebie w tej chwili,

modli się dla ciebie o poddanie i odwagę.

Mama przez chwilę klęczała nieruchoma, z ustami przyciśniętymi do szkaplerza.

Byłem tuż przy niej. Przyciągnęła mnie ku sobie i szkaplerz i krzyżyk

przycisnęła do moich ust.

Na szkaplerzu były dwie wilgotne, ciemno brunatne plamy.

— Całuj, czcij, naśladowaj... szepnęła. To krew twego brata, krew Stasia. To za

Polskę, za wiarę...

I znów zrobiło się cicho. I naraz, w ciszy tej rozległ się głos babki Justyny.

Ślepa i głucha, nie brała udziału w tem co ją otaczało i podczas ogólnego

przerażenia, siedziała w swym fotelu nieruchoma i obumarła.  
Teraz stało się z  
nią coś dziwnego. Głowa się podniosła, oczy szkliste i martwe  
rozjaśniły się  
niezwykłym blaskiem, na twarzy drgnęło życie, a głos nabrał  
niebываłej mocy. I  
posłyszeliśmy ją mówiącą słowa Pisma:

"Jam jest zmartwychwstanie i żywot, a kto we mnie wierzy,  
nie umrze na wieki."

— Słyszysz — rzekł prałat. — Syn twój żyje! Zmarł jak  
święty — żyć będzie na  
wieki!

Mama milczała przez chwilę, trzymając twarz w dłoniach.

Wreszcie podniosła głowę

— i zdziwiłem się, widząc ją tak spokojną.

— Wierzę w to — rzekła cicho — wierzę sercem całym i  
dziękuję Bogu. On dał, On

wziął.. Wziął na chwałę Swoją, na ofiarę niewinną... Wola  
Jego święta. Niech się

stanie jak On chce, nie jak ja.

I znów upadła krzyżem. Nikt już więcej nie otworzył ust —  
tylko stary ksiądz

uklął przy ołtarzyku i zaczął mówić głośno:

— Anioł Pański...

WRÓCIĆ!

Kazimierzowi i Felicyi Zaleskim.

Wieczór był listopadowy, posepny, pełen dżdżów i wichrów.  
Gąszcz leśna trzęsła  
się od wściekłych porywów burzy, wśród łamiących się gałęzi  
przelatywały dzikie  
poświsty, jęki i wycia, raz do ryku całych stad dzikiego  
zwierza podobne, to  
znowu zdające się płaczem i rozpaczliwą skargą potępionej  
duszy.  
o drżące szyby wiatr rozszalały uderzał raz po raz strugami  
wody lub garściami  
oberwanych liści i zdawało się chwilami, że jak one, stary  
dwór zesłowieczny ze  
swemi grubemi murami i narożną basztą porwany zostanie  
wichrem i uniesiony w  
powietrze.  
W takie smętne i groźne wieczory jesienne dobrze jest  
siedzieć w kilku przy  
kominku jasno płonącym,  
i opowiadać sobie straszne historye o duchach, o niezwykłych  
wypadkach, o bardzo  
złych albo bardzo nieszczęśliwych ludziach. Było nas czterech  
w wielkiej izbie  
narożnej, dokoła ogromnego komina, na którym palił się cały  
stos drew. Po  
szarych ścianach ślizgały się żółte, niepewne plamy światła,  
rozjaśniając na

chwilę wśród cieniów to stary polski pancerz, to szwedzki hełm lub średniowieczny dzi ryt, to nabijaną klingę wschodnią, to kawał spłowiełej makaty, a na jej tle łeb dzika i rogi jelenie. Służba wysunęła się już cicho. Gospodarz, gawędziarz starej szkoły, skończył właśnie jakąś fantastyczną, a jednak drgającą życiem opowieść z lat swoich młodych. Były w niej i

przygody myśliwskie, i szczęk orężny wojennej wyprawy, i romantyczna walka o bogdankę, i widziadło sybirskiego wygnańca, w godzinie jego śmierci nad Jenissejem ukazujące się matce i narzeczonej na Litwie. Przez długą chwilę panowało milczenie. Byliśmy pod wrażeniem tej dziwnej historii i nie mogliśmy od niej odwrócić myśli. Ciszę przerwał siostrzenicę gospodarza, młody dyplomata, bawiący u niego na urlopie.

— Pierwsze słowa poety w Panu Tadeuszu pozostaną wieczną prawdą, — rzekł. —

Tęsknota za swoimi, miłość ziemi ojczystej, jest ze wszystkich uczuć człowieka jednym z najpotężniejszych.

— I z najdłużej trwających — dodał ksiądz. — Widziałem nieraz u konających:

wszystko ziemskie powoli stawało się im obojętne, zrywały się z kolei wszystkie

nici, wiążące ich z życiem. Ta jedna zostawała do końca.  
— Kilku najbliższych mi było długo na Sybirze — rzekłem —  
opowiadali mi  
straszne, prawie nie do wiary rzeczy o tęsknocie, zjadającej  
jak rdza, mączącej  
umysł i serce.  
— Ja sam patrzyłem raz na to, co tęsknota zrobić może z  
człowieka — zaczął  
sekretarz poselstwa, i urwał, wzdrygając się, jakby go  
przeraziło to  
przypomnienie.  
— Straszna, straszna rzecz — dodał po chwili. — I ja byłem  
świadkiem takiego  
dramatu — rzekł ksiądz.  
— A więc aż dwie historye gotowe, uśmiechnął się gospodarz,  
nalewając nam  
kieliszki. Tak to lubię.

Niema przynajmniej obawy, żeby nam dłużył się wieczór. Ale  
któż zaczyna? Czy ty,  
Fredziu?  
— Może lepiej ksiądz proboszcz zechce zacząć — odparł  
młody człowiek.  
Ksiądz głowę lekko skłonił i milczał przez chwilę.  
— Właściwie jest to tylko kawałek historyi, któremu brak  
rozwiązania — rzekł. —  
Że rozwiązanie nastąpiło, prawie pewny jestem, nie znam go  
jednak. Na  
nieszczęście nic zbyt łatwo mogę go się domyśleć.  
Przerwał — i utkwivszy wzrok w płonących główniach,  
rozzucał je żelaznym



haczykiem, nic nie mówiąc, zamyślony i smutny. Czekaliśmy w milczeniu Wicher tymczasem bił o szyby, trząsł drzwiami parku, huczał i szalał. Wreszcie ksiądz zaczął mówić.

— Dziwne z nas plemię — rzekł powoli. — Gdzie nas niema? Jak te liście, które

wicher roznosi, tak nas los rozniósł po świecie. Wszędzie jesteśmy, a wszędzie i zawsze jednacy, bez korzeni wśród obcych, z pustką, z tęsknotą w sercu, z marzeniem o powrocie...

Są i inni, rozsypani, jak my. Prawda. Ale ci wżyć się umieją w miejsce, zżyć z

ludźmi. Ojczyznę nową tworzą sobie tam, gdzie im dobrze, o dawnej, o matce —

ziemi rodzinnej, mówią czasem, śpiewają, ale ani im źle bez niej, ani im w

głowie wracać. Może są z tem szczęśliwsi, pewnie nawet. Ale darmo: naszym ich naśladować — nie sposób.

W moich wędrówkach kilkoletnich za granicą napatrzyłem się tego do syta. Każdy

inny na obczyźnie może żyć, nieraz mu lepiej, niż wśród swoich — naszemu tak

zawsze, jak roślinie bez słońca i rosy.

— Czy każdemu jednak? — przerwał gospodarz. — Co do inteligencji — zgodzę się chętnie, ale czy chłop, czy rzemieślnik nie potrafi prędko zaaklimatyzować się

na obcym gruncie, przy sprzyjających warunkach? U tych  
poczucie narodowości jest  
tak słabe przecie...

— Tem silniejsze poczucie wspólności religijnej i językowej,  
przywiązanie do  
rodzinnego zakątka — odparł ksiądz żywo. Co do wieśniaków  
zresztą nie będę się  
spierał. Za Oceanem nie byłem, nie wiem. Ale co do  
rzemieślników... Właśnież o  
jednym z nich moja historia.

Poprawił się na krzesło, zapalił swą krótką fajeczkę i tak dalej  
mówił:

— Kilka lat temu zdarzyło mi się być podczas letnich feryi w  
St. Gallen. Może  
panowie nie wiecie nawet, gdzie leży to ludne i bogate  
miasteczko, do którego  
podróżni zaglądają mało, bo nie jest na jednym z głównych  
szlaków Baedekera,  
nie ma w okolicach wielkich gór, urwisk i wodospadów i  
samo, prócz bogatej  
biblioteki dawnego Opactwa, nic naprawdę nie zawiera  
ciekawego. Ja lubię jednak  
ten zabytek Szwajcaryi, dość prozaiczny ze swemi fabrykami,  
ale wesoły i ładny.  
Miasto w kotlinie, czyste, białe, całe w kwiatach i zieleni,  
ludzie pracowici,  
uprzejmi bez nadszkakiwania, nie żerują za turystami i łatwym  
zarobkiem; dokoła  
wszędzie zielone pagórki, lasy szpilkowe, świeże i pachnące,  
widoki, pozbawione  
wspaniałości i grozy, ale pełne wdzięku. Słowem miło tu  
bardzo, zwłaszcza może

dlatego, że nie ma co widzieć i jest się wolnym od pańszczyzny

obowiązkowych wycieczek i oględzin, która przy dłuższym pobycie w Szwajcaryi tak nuży.

— Jeden z moich kolegów z teologicznego wydziału w Insbrucku był właśnie wówczas wikaryuszem przy katedrze w St. Gallen. Przyjechałem go odwiedzić. On gościnny, jak wszyscy Szwajcarowie, zatrzymał mnie przez dni kilka. Wypadło właśnie święto Matki Boskiej. Zaproszono mnie, żebym w katedrze celebrował sumnę.

Po obiedzie mieliśmy zrobić razem wycieczkę za miasto, — ale już z ulicy przyjaciela mego odwołano do chorego. Musiałem iść sam. Pogoda była śliczna, niebo bez chmur, domy i drzewa skąpane w słońcu. Na ulicy ludzi mnóstwo, postrojonych, wesołych, — zwyczajnie w dzień świąteczny, bo katolików w St.

Gallen — prawie połowa. Idę, rozglądam się, uchylam kapelusza, w tem drab jakiś mnie zatrzymuje.

— Przepraszam pana, Hochwürden — bełkoce lichą, ledwie zrozumiałą niemiecczyzną

— ja mam interes i proszę o chwilę rozmowy.

Nie miałem znajomych w St. Gallen i zdało mi się dość dziwnem, żeby ktoś mógł

mieć do mnie interes. Pomiarkowałem się jednak, że może  
potrzebowano księdza i  
zobaczywszy mój długi, czarny surdut, zwrócono się z tem do  
mnie.

— Nie jestem tutejszy, mój panie — rzekłem. — Ztąd o dwa  
kroki zakrystya, tam są  
księza parafialni, do nich proszę się udać.

— Kiedy mi właśnie chodzi nie o tutejszych księży, ale o pana  
— tłumaczył się z  
trudnością mój interlokutor.

— Prosi o wsparcie — pomyślałem sobie i chciałem sięgnąć  
do portmonetki, ale  
zatrzymałem się. Nie mogło o to chodzić.

Był to człowiek w sile wieku, ogromny, barczysty, z twarzą  
gęsto zarosłą,  
twardą, jakby rąbaną w drzewie, ale pocziwą i otwartą.  
Ubrany był świątecznie,  
dostatnio, bardzo czysto i starannie. Wyglądał na dobrze  
mającego się  
rzemieślnika.

— O cóż panu chodzi? — spytałem.

Odprowadził mnie trochę w bok, o kilka kroków od  
przechodzącego tłumu i zaczął  
we mnie wpatrywać się z widocznem wzruszeniem.

— Ksiądz dzisiaj sumę śpiewałeś w katedrze? — spytał  
wreszcie.

Potwierdziłem, coraz mocniej zdziwiony. Zawahał się.

— A... czy to prawda, co mówiono, że pan nie tutejszy... to  
jest nie z

Szwajcaryi, ani z Niemiec, ale...

Nie dokończył. Miał jakiś wyraz na ustach, ale widocznie nie śmiał go wymówić.

— Nie jestem tutejszy — odparłem krótko.

Wyznaję, indagacya ta zaczynała mnie męczyć i gniewać. Nie przychodziło mi na myśl, jakim mógł być jej powód.

— A zkad... z jakiego kraju? jeśli wolno...

— Z Polski — odpowiedziałem krótko, chcąc odchodzić.

Człowiek ręce, którymi mnie przytrzymał, opuścił, poczerwieniał, twarz mu rozjaśniła się i w oczach błysnęło coś miękko i wilgotnie.

— To pan... to ksiądz Polak! — rzekł zwolna w polskim języku.

Był tak wzruszony, że mu trudno było mówić. Zresztą i polska mowa sprawiała mu

już trudności. Znajdował się za granicą lat blisko dwadzieścia, Poaków spotykał

niewielu, więc zapomniał trochę. Przypominał sobie słowa, urywał, szukając ich w

pamięci, a kiedy mu radziłem, aby dla ułatwienia, brakujące wyrazy mówił po

niemiecku, odpowiedział mi poważnie :

— Nie godzi się, proszę księdza, do polskiej mowy mieszać szwabskie paskudztwo.

Szliśmy teraz powoli, ustronną ścieżką przez pola dla uniknięcia miejskiego

ścisku i gwaru. Wypytywałem go o jego losy. Były puste i zwykłe: historia wielu.

Nazywał się Wojciech Bystrzewski, młodziutkim chłopakiem uciekł z warsztatu w

lasy — kilka miesięcy w nich się błąkał, później, po rozsypce,  
przekradł się  
przez kordon. W Galicyi nie dano mu popasać — powlókł się  
dalej. Był przez lat  
kilka w górnej Austryi, potem w Bawaryi — potem znów ku  
rodzinnym kresom wracał  
raz i drugi, zawsze daremnie. Wreszcie tu utknął, ożenił się,  
ma dziecko i  
byłoby mu dobrze, gdyby, gdyby...  
W zielonej altance obok małej piwiarni, na wzgórzu,  
panującym nad St Galten i  
nad całą okolicą, zasiedliśmy przy kuflu czarnego, gęstego  
piwa. Bystrzewski  
oparł się łokciami o stół, szeroko, głowę na ręce opuścił i  
wpatrywał się we  
mnie, milcząc.  
— Dawno ksiądz od nas, ztamtąd? — spytał wreszcie.

Zrozumiałem to jego pytanie. Biedakowi, stęsknionemu za  
ojczyzną, zdawało się  
pewnie, że do mnie, do mojej odzieży przyłgnał jakiś atom  
rodzinnego powietrza.  
Niestety! Sam ja od bardzo dawna — od paru lat nie byłem w  
kraju. A przytem — to  
była inna dzielnica, nie ta, z której on był rodem, do której  
biegł myślą i  
tęsknił.  
Odpowiedziałem mu wymijająco. Nie nalegał. Ale wciąż  
patrzył na mnie, szukając,  
zdawało się, wyrazów.  
— A jakże tam, u nas, jak teraz?... — zaczął znowu.

Mówiłem mu o tem, co się tam działo, co sam słyszałem i  
czytałem w listach, w  
gazetach, o tem, co obchodziło wszystkich, bolało. On słuchał  
bardzo uważnie,  
przerywając mi czasem jakimś pytaniem, prosząc, abym  
powtórzył jakiś wyraz,  
którego nie zrozumiał, lub jakąś myśl wytłumaczył. Uwagi i  
pytania robił trafne  
— widocznie był dość dobrze o sprawach krajowych  
poinformowany.  
Zdziwiło mnie to, tem bardziej, że sam przed, chwilą żalił się  
na brak stosunków  
z rodakami.  
Zapytałem go. Uśmiechnął się i ręką skinął.  
— Ma się tam gazetkę, to w niej człowiek co niedziela  
poślipie, dowie się  
czegoś. Przedtem sprowadzałem ją od nas — ale małym  
wyczytał ciekawego — za  
mądre było dla takiego jak ja biedaka. Wiecem ją rzucił i z  
Prus wypisałem.  
Dobry blat, niema co mówić, pisze o różnych rzeczach a i o  
naszych stronach  
coraz to słówko się znajdzie.

Zamyślił się na chwilę i znów się uśmiechnął.  
— Bo to ksiądz nie wie, nie uwierzy może, ale ja z tej tęsknicy  
za swoimi, tom  
na starość czytać się nauczył po naszymu. I od kogo? Od  
obcych, a trochę od  
własnego dziecka. Dalibóg, że tak. Bo to u nas w domu,  
proszę ja pana, nie do

nauki było. Gdzie! Ojciec chałupinę miał wprawdzie własną  
na przedmieściu w  
Humaniu, i nie źle nam się działo za jego życia, bośmy też nie  
ostatnią hołotą.  
Szlachcicem był i matka słyszę była szlachcianką. Papiery  
mieli wszystkie w  
porządku, tylko że to potem, w tem rozbiciu, poszło, poszło.  
Westchnął i machnął ręką.  
— Pamiętam to dobrze, choć mały jeszcze berbec był ze mnie  
wtedy. Bywało w  
niedzielę ludzie schodzą się do nas po nieszporach, co było z  
naszego  
mieszczaństwa, choć to tam tylko garstka naszych w  
Humaniu. Więc i paru  
gospodarzy z przedmieścia, i Dymnicki, rymarz, i Wańkiewicz,  
co handel miał  
korzenny i organista. Nieraz z sąsiedztwa zajechał ekonom  
albo gorzelnik jaki.  
Ot, zwyczajnie, wedle naszej chudoby. Ale wszystko szlachta:  
siedzą, kieliszkami  
stukają, bez pijatyki jednak, broń Boże! A ojciec prawi im o  
starych historyach,  
o bitwach, w których bywał niegdyś z młodemi Jełowickimi,  
o panach, u których  
sługiwał, ot zwyczajnie jak stary, co dużo widział i znał. Ale,  
że mówił pięknie  
i o pięknych rzeczach, więc słuchali go wszyscy,  
pootwierawszy usta, godzinami  
całemi, całemi wieczorami. Matka, bywało przedzie w kącie  
albo koło wieczerzy  
się krząta, albo po cichu gwarzy z jaką sąsiadką, a starzy jak



obsiedli stół w rogu izby, tak ani się ruszy żaden. Siedzą,  
fajeczki pykają, a  
oczy wytrzeszczone na ojca, jak w tęczę. Ten zaś mówi i  
mówi, nito ksiądz.  
Pamiętam jak dziś.  
Dobre to były czasy, cóż, kiedy się skończyły prędko. Ojciec  
stary już był,  
żeniąc się. Miał też postrzał, który mu się dostał pod  
Daszowem i drugi z  
Kaukazu — więc i zmarło mu się przed czasem. Po śmierci,  
jak zwyczajnie z wdową,  
przyszły kłopoty, procesa, długi. — Ludzie niepoczciwi  
rozdrapali ojcowiznę i  
biedne matczyńsko zostało ze mną, siedmioletnim chłopakiem i  
z mniejszą  
siostrzyczką, jak to mówią, na lodzie.  
Przez rok, dwa kołatało się biedę jako tako, ot, byle żyć.  
Potem i to już nie  
szło. Więc matka musiała oddać mnie na cudze ręce. A mnie  
tak rwało do książki,  
do szkoły — tak rwało. Ale cóż? Nie dało się. A był właśnie w  
Humaniu rymarz,  
znajomy nieboszczyka ojca, rzemieślnik dobry, tylko że  
czasem napijać się  
lubiał. Ten przychodzi do matki i powiada, że mnie weźmie  
do swego warsztatu.  
Warsztat miał on porządny, duży, najlepszy w Humaniu.  
Żydowskim rymarzom chleb  
odbierał. Z całej okolicy, gdzie co było załatać w uprzęży, lub  
nowego zrobić,  
do nikogo nie szli, tylko do Dymnickiego. A właśnie mu  
chłopaka brakło. „Dajcie

mi — mówi — swego Wojtka. Jak w domu będzie u mnie, przyuczy się, przysposobi do fachu. Na człowieka wyjdzie".

I tak się stało. Matce właśnie miejsce klucznicy trafiło się w pańskim domu w Bereźnej, ale chłopca brać nie chcieli. Więc mnie Dymnickiemu oddała.

I naprawdę, nie było mi tak dalece źle. Stary, jak się upił, ściągnął czasem rzemieniem, żona przeklinała do zbytku, czeladnik uszy kręcił, ale dla młodego — co to znaczy ? Chleba nie brakło, ani okrycia ciepłego zimą, fachu nauczyć się mogłem prędko i dobrze, nie tak, jak u innych majstrów, gdzie chłopców odpędzają od warsztatu do domowej posługi. Krzywda mi się nie działa. Dobrzy ludzie byli, niema co mówić i niech im Bóg da światłość wiekuistą, jeśli już odeszli z tego świata — a najpewniej że odeszli, bo kto tam już został z moich... Otóż widzi ksiądz, nie do książki było mi wtedy, choć chłopak był ze mnie, jak to mówią ciekawy do niej. Ale gdzie czas znaleźć. Roboty zawsze huk, nocami nieraz trzeba było przesiadywać, bo majster, choć w święto się upił, nie żartował z warsztatem A potem to i zgłowy wyszła ta chęćka, co innego zaświtało.

Dzieciuch jeszcze byłem, nie wyzwolony, choć już wcale  
nieźle znałem się na  
majsterce, ale wzrost miałem prawie tyli, co dziś, tylko żem  
cienki był, jak  
patyk. Siły zaś, to też starczyło mi na dwóch. W ojca się  
wdałem. Otóż, jak  
przyszedł czas ten gorący, mnie tak i paliło — wysiedzieć nie  
mogłem. Stary  
wstrzymywał, matka płakała: nie pomogło nic. Uciekłem z  
paru innymi chłopakami,  
a wszystkich nas jeden powerbował panicz z okolicy,  
zaprowadził w las, i sam w  
nim został pierwszy ..  
Jak tam było z tym lasem, gadać długo nie będę. Ot — było i  
skończyło, się.  
Gorsze przyszło potem Trzeba było w świat iść, w kraj cudzy,  
między obcych ludzi  
a tu człowiek nie znał ani ich języka,

sam też głupi był, jak zwyczajnie młody, a ani obyczaju —  
goły zupełnie.  
Nie będę ja opowiadać, jakem błąkał się, głodem przymierając  
nieraz, po  
niemieckich krajach. Ot — różnie bywało: więcej pod wozem,  
jak na wozie, ale  
jakoś, Bogu dzięki, wóz kości nie pogruchotał, jak tylu innym  
w koło mnie. I za  
to więcej jeszcze Bogu i Matce Najświętszej dziękuję, że  
zachowałem sumienie  
czyste, uczciwość i wiarę. Namawiali mnie nieraz na zle: nie  
dałem się wciągnąć,

Bóg chronił.

Ale, niema co mówić, rzucaliż mną, rzucali! Com się nawłóczył, czegom nie przebył! I w tem winy własnej było niemało, a jak, zaraz to powiem.

Było to widzi ksiądz dobrodziej, z początku, to się jeszcze nie czuło tak, że

się jest na obczyźnie. Owszem: jak to młodemu smakuje, co nowe, więc się

człowiek gapił na wielkie miasta, na cudze okolice, na ciekawości różne, na cały

ten świat jednym słowem, piękny, wspaniały, o którym i we śnie nie marzyło mi

się, że go zobaczę. Co i mówić: prócz Humania, nic nie widziałem w życiu, a tu w

rok przyszło zobaczyć Kraków, Wiedeń, Monachium. Więc otwierało się oczy i usta

szeroko i ani się myślało o czym innym. Gadali też ludzie w koło nas, że to

krótco potrwa tylko, że wrócimy.

Ale tymczasem rok minął, drugi, a o powrocie nie było już mowy. Wiadomości z

domu żadnej. Posyłałem listy, które koledzy pisali — odpowiedź nie przychodziła.

Czy na poczcie ginęły, czy jaka inna przyczyna była — nie wiedziałem. Więc

niepokój zbierać zaczynał. Może matce co złego się stało, może

kto za moje grzechy ją skrzywdził, może gdzie ją wywieźli, może umarła... Kto to

mógł wiedzieć? W tych czasach wszystko było możliwe, a więcej złego trzeba było spodziewać się, niż dobrego. Więc mnie te myśli w dzień kręcą się koło głowy, jak utrapione muchy i komary, ani ich odpędzić, więc i w nocy zasnąć nie dają.

Już mnie wtedy i wielkie miasta i piękne pałace i kościoły przestały ciekawić i cieszyć. Pokazują mi ludzie: przypatrz się, oglądaj, jakie to piękne! A mnie w

głowie matka, siostra, warsztat Dymnickiego, Humań... I wtedy to zaczęła się ta moja choroba nieszczęsna, tęsknota przeklęta.

Z początku myślałem, że to przejdzie, jak wiadomość dostanę. Kilka lat minęło —

aż wreszcie spotkałem obywatela jednego, pana Świrskiego z pod Humania, który u

Dymnickiego sprawunki robił i bywał często w Bereżnej, gdzie matka służyła. On

mi opowiedział o wszystkim. Tych państwa nie stało, jak mnie, tylko, że im

przyszło ruszyć dalej, niż ja ruszyłem i w przeciwną stronę.

Matka poszła

gdzieindziej służyć, ale żyła i ona i siostra. Mój pan Świrski obiecał, że ją

wynajdzie, list i wiadomość mnie odda, opowie. I dotrzymał obietnicy, poczciwy.

W miesiąc miałem list od matki. Żyło się jej jako tako, chleb był, tylko sił

brakowało. Siostra też podraastała...

I cóż ksiądz powie? Od czasu, jak zacząłem mieć wiadomości od swoich, zrobiło mi

się gorzej, niż przedtem Byłem niby to spokojny o ich życie i los, a serce rwało się boleśniej. Czytam list siostry

i parę krzywych liter, co je matczysko biedne drżąca, niewprawną ręką dopisało dla swego jedynego Wojtusia i naraz tak mnie coś za gardło chwyta i dusi, dusi, aż chciałoby się umrzeć. „Co ci jest? pytają koledzy; cożeś taki blady i zmieniony na twarzy? Możeś chory?” A ja wiem dobrze, jaka to choroba. Nie odpowiadam nic, zęby zaciskam i w kąt jaki się chowam, gdzieby mnie oko ludzkie nie widziało i głos ludzki nie doszedł, to znowu w pole uciekam, daleko, padam na ziemię i gryzę ją zębami i szarpię pazurami, aż się krwawię, i wyję, jak ten wilk zgłodniały. Czasami bywało po godzinie, po drugiej przejdzie to i wraca człowiek do roboty, ale cały zmizerowany, postarzały, jakby z parę lat życia mu przybyło. Wtedy zwłaszcza, jak przyszły łzy. Wypłaczę się, to i zaraz ulży na sercu. Ale płacz nie przychodził na zawołanie. Więc też nieraz i ta bieda nie mijała, tylko wciąż trzymała i dusiła, coraz to gorzej. Więc zrywałem się wówczas, rzucałem wszystko i w świat. Gdzie oczy poniosą. Nieraz, bywało, mam zarobek, poczciwych ludzi w

koło siebie, porządnego majstra: wszystko byłoby dobrze i jak  
tylu innych,  
mógłbym, siedząc na miejscu, w pierze porosnąć i kawałek  
chleba pewny mieć na  
starość. Aż naraz przychodzi ta chandra — i odrazu głowę  
zakręca, rozum odbiera  
— i zdaje się, że byle dalej, to można uciec od niej. Jak gdyby  
uciec można było  
od tego, co jest w sercu naszym...  
Uciekałem tak sam przed sobą nie raz i nie dwa. Pomagało na  
chwilę — potem  
wracało nieszczęście.

Więc mi koledzy mówili: „Zalej robaka. I my przez to  
przechodzili i nam świat  
stawał się niemiły, kiedy nam przed oczyma stanęły łany  
polskiego zboża i  
brzozy, szumiące przy ojcowskiej chacie. Ale to minęło. Nie  
wieszając że się  
dlatego. Namówili i nas do kieliszka — w kieliszku  
utopiliśmy tęsknotę. Pij i  
ty, kiedy nie chcesz marnie zginąć, jak tyłu zginęło”.  
Tak mi oni mówili, a ja słuchałem i żegnałem się, po cichu  
prosząc Boga, żeby  
nie dał poddać się pokusie. Bo, że to pokusa była, to  
rozumiałem dobrze.  
Widziałem przecie tyłu, nietylko z biedaków, jak ja, ale i  
panów, co ze mną  
poszli na obczyznę i kieliszkiem próbowali robaka zalać,  
tęsknotę zagłuszyć, a

tylko sumienie zagłuszyli i życie utopili w tym kieliszku. Ale  
cóż? Coraz mi  
było ciężej i ciężej.  
Aż razu jednego przyszło mi na myśl: A gdybyś spróbował  
choć zbliżyć się do  
swoich? Jak nie do domu, to choć w taki kraj, gdzie po  
naszemu mówią, gdzie od  
twojej Ukrainy niedaleko.  
Byłem wtedy w wielkim warsztacie w Fürth koło Norymbergi.  
Miejsce miałem wyborne  
u doskonałego majstra, cztery do sześciu marek dziennie, i  
staneya a wikt za pół  
darmo. Do roboty się nie. lenię, skóry nie popsuję, kłótni z  
nikim nie zrobię,  
choćby się prosił o to, więc Bóg jakoś dawał szczęście.  
Majster bogacz był, dwie  
kamienice miał i dwie córki, każda jak obrazek. Mnie zaś lubił  
jak syna. Nieraz  
bywało uśmiecha się tylko, patrząc na moją robotę i mówi:  
Rób tak tylko dalej,  
Albert (bo tak mnie już po swojemu przechrzcili), rób tak, jak  
na swoim. Kto  
wie? Ja na zięcia nie szukam bogacza, ale

dobrego człowieka i dzielnego robotnika. Jakby cię która  
chciała, czy Hilda czy  
Súschen, czemu nie? Ani palca bym nie skrzywił". A trzeba  
wiedzieć, że Suschen  
jak Súschen, ale co Hilda, to ta gdzie tylko mnie zobaczyła, to  
zaraz zerk okiem



za mną i raz po raz do warsztatu biegała, z różnemi interesami,  
a zawsze do  
mnie. Coby to tam z tego wyszło, nie wiem; może to tylko na  
wiatr było i gadanie  
starego i zerkanie dziewczyny, a w każdym razie brakło woli  
Bożej. Do tego tylko  
to mówię, że mnie wtedy nie pędziła bieda ani niepowodzenie,  
ino własna dusza.  
I ot, zerwało się w tej biednej mojej duszy — niczem wichry i  
burze. Zerwało  
się, zaczęło mną kręcić jak potępieńcem i jak wąż gryźć serce  
— aż jednego dnia  
odpiąłem fartuch, i poszedłem do majstra pokłonić się o  
jurgielt i abszyt. Stary  
robotę na ziemię upuścił.  
— Rozum straciłeś, krzyknął. Do twoich za kordon dostępu  
już niema, a do Galicyi  
chcesz? Takich, jak ty, nie przyjmą tam. To nie nasza  
niemiecka ziemia, każdemu  
gościnna i rada.  
Cytował mi przykłady, odradzał, zaklinał, żebym się nie gubił  
na darmo. Hilda  
płakała. I ja ocierałem oczy. Ludzi dobrych żal było, Hildę  
bardzo już polubiłem  
, boć dziewczyna była jak ten ptaszek, ale cóż ? Ciągnęło mnie  
do ziemi swej,  
ciągnęło jak kleszczami.  
Poszedłem w drogę. Już to blisko dziesiątek lat minął, jak się  
wałęsałem wśród  
obcych. Więc kiedym na dworcu kolejowym w Krakowie  
polską mowę posłyszał, serce  
mi uderzyło jak młotem. Zostawiłem

manatki i prosto jak stałem, pobiegłem do kościoła, do Panny Maryi, wie ksiądz,  
ten wielki kościół w Rynku. A tam właśnie było wieczorne nabożeństwo.  
Bo to zapomniałem powiedzieć, że kiedym z kraju odchodził na obcą ziemię, wiosna  
kończyła się, czerwiec się zaczynał. A teraz kiedym wracał, znów był czerwiec —  
i wszystko w koło mnie zieleniło się, kwitło, dojrzewało, pachło, jak wtedy.  
Oj, księżuniu, tutaj mówią ludzie, że piękny kraj, i zjeżdżają się z całego  
świata, żeby się na niego gapić. I Niemcy piękne, bogate. Każdy kawałek ziemi  
uprawny, ogrodzony, oczyszczony, przy każdym domu drzewa, w każdym oknie  
kwiatki. Nie tak, jak u nas. I góry piękne są, i rzeki spadające z gór, i  
zaczyska, i pałace... Co i mówić, jak porównywać z naszymi stepami na Ukrainie  
i z piaskami, com je widział na Mazurach. A czemuż jednak, proszę pana, u nas  
inaczej, piękniej zieleni się na polach, czemuż u nas lepiej pachnie trawa i  
kwiat na łące, i burzan stepowy? Tu wyjdiesz, patrzysz; ludzie w koło ciebie  
krzyczą: wie schön, wie schön! I niema co mówić, pięknie, zielono, a czemuż ta  
zieleń nie cieszy serca, nie mówi nic? Tu ledwie granicę przejechał, już mi się

zdawało, że z pola wszystkie kłosa, któremi wiatr szeleścił,  
podnoszą się ku  
mnie i szepcą mi: my swoje, swoje, z polskich ziarn, z  
polskiego znoju. I pachło  
mi inaczej, i gałęzie w lesie inaczej szumiały, jak w młodych  
latach Czemuż to  
tak?

— Ojczyzna — szepnąłem.

— Tak, ojczyzna — powtórzył i zamyślił się, spuściwszy  
głowę.

— A nie tylko w polu — mówił dalej po chwili — ale i w  
mieście. Jeszcze na  
ulicach mniejsza: może mi się dlatego tak zdawało, że to  
swoja mowa, swoi  
ludzie, więc i głaskało po sercu. Ale ot — w kościele tu, wiesz  
pan najlepiej,  
wejdiesz na nabożeństwo, wszystko na swoich miejscach  
siedzi, cicho, porządnie,  
jak dzieci w szkole albo urzędnicy w biurze. Zagrają organy  
— każdy oczy schowa  
w śpiewniku i powoli, przyzwoicie, nie męcząc się wlecze pod  
nosem przepisaną  
pieśń. Skończyło się — i odrazu wszystko hurmem z kościoła.  
Żywa dusza nie  
zostanie porozmawiać w cichości z Bogiem, poskarżyć się,  
popłakać, jak na sercu  
coś cięży. Gdzie! Ledwie organy zmilkną, już kościelny  
kluczami brzęka. Ileż  
razy przechodziłem koło kościoła, kiedy mi tak strasznie źle  
było i tęskno ;

myślę sobie: pomodłę się, może przejdzie. I pewnie ulżyłoby  
— ale cóż? kościół  
był zamknięty, albo pędzili z niego, albo głośno przechadzali  
się, gadając,  
śmiejąc się Anglicy i Amerykanie. Jakże tu modlić się? A  
przytem kościół ten,  
taki tu każdy zimny, pusty, jak kircha. Jakże to u nas inaczej!  
Tam kawałka  
ściany niema próżnej: tu obraz, tam chorągiew, tam firanka,  
gdzieindziej wotum,  
a wszystko widać z serca, wszędzie znać, że ludzie modlili się,  
płakali i  
odeszli z lżejszem sercem, z pociechą...  
Tak i wtedy w Krakowie. Wchodzę ja do kościoła a wtem jak  
hukną organy — jak z  
tysiąca ludzkich piersi wyrwie się pieśń, to aż zdawało się,  
mury drżą, taka ona  
potężna, a przytem taka rzewna, taka prosząca, takim jękiem i  
skargą bijąca w  
niebo, że serce w człowieku zmiękło od razu, i łzy rzuciły się  
z oczu

strumieniami i zrobiło mi się tak słodko, tak dobrze. Pamiętam  
jak dziś: pieśń  
zaczynała się od słów „Dobranoc głowo święta Jezusa  
mojego, dobranoc!”  
Wieczorami ją śpiewają w Krakowie, po nieszporach. Mnie  
się zdało, że to anieli  
do Boga ją niosą na skrzydłach, że gdzieś już blisko nieba.  
Rzuciłem się twarzą

na ziemię, ręce wyciągnąłem w krzyż przed siebie, usta  
przycisnąłem do ziemi  
matki i leżałem, polewając ją łzami, sam nie wiem, jak długo.

Nabożeństwo

skończyło się oddawna, świece pogaszono na ołtarzu i w  
pająkach u czarnego  
sklepienia, tłum rozplątał się powoli, ale po ławkach, w  
ciemnych zakątkach  
kaplic, na kamiennych płytach w koło mnie klęczeli jeszcze  
ludzie zamodleni,  
wzdychający, podnosząc w górę ręce i oczy — i raz po raz  
szepc i jęk  
głośniejszej modlitwy przerywał ciszę kościelnych murów.

Nikt nas ztąd nie  
pędził.

Takie to było pierwsze moje przywitanie z ziemią rodzinną po  
tylu latach.

Myślałem sobie wtedy: już mnie ztąd nikt nie oderwie, od tych  
kościółów naszych,

od tych swoich, poczciwych ludzi. Przyszło jednak inaczej.

Cóż ? Ludzie u nas

poczciwi, ale nie wszyscy, ale ci, co w górze są, ci nie  
rozumieją serca

biedaków.

Nie miałem ja w Krakowie nikogo znajomego, ale nie  
trapiłem się tem zbytnio.

Nikt mnie przecie nie znał w Lincu, w Monachium, w  
Würzburgu, w Fürth — a

przecie znalazłem dobrych ludzi i robotę. A toż byli wszędzie  
obcy, a tu przecie  
swoi...

Przenocowałem na Kleparzu. Nazajutrz pobiegłem pacierz  
zmówić do Panny Maryi i

dalej między ludzi,

roboty szukać. Świadectwa miałem najlepsze, za granicą z  
niemi w mig chleb bym  
dostał, tu nie na wiele mi się przydały. Co kto na mnie  
spojrzy, pogada, wypyta  
— myślę, że już dostanę zarobek — gdzie tam! Ramionami  
tylko rusza i papiery  
oddaje. „My tu swoich mamy dosyć” — powiada. Raz, drugi  
posłyszałem to,  
poszedłem nic nie mówiąc, wreszcie nie wytrzymałem. „A jaż  
nie swój?” — wołam —  
„a jaż z innej krwi, z innej ziemi?” — „A pewnie, że z innej.  
Nie ztąd przecie —  
z za granicy. Dla nas Kraków, Galicya, to swoja ziemia, a wy  
tam z pod Moskala —  
co nas możecie obchodzić? Idźcie do swoich, a naszym chleba  
nie bierzcie”.  
— A przecież ja tam iść nie mogę — powiadam — chciałbym,  
ale nie mogę, nie  
puszczą.  
— A to wracajcie między Szwabów, kiedy wam tam dobrze  
było. Tu nic po was.  
— Ależ ja krew swoją lałem za tę ziemię — krzyczę w  
rozpaczy — a wy mi za to  
spoczynku na niej i kawałka chleba żałujecie ?  
— A nas co to obchodzi? I owszem. Tem gorzej jeszcze dla  
was. Dla tego samego  
was nie weźmiemy. Warchołów nam nie trzeba. Dość już  
przez was i wam podobnych  
nieszczęść.

I tak — warchołem zostałem dla tego, że wszystko porzuciłem i poszedłem z innymi, gdzie wołali. A cóżem ja winien, że źle się powiodło, czy może głupio było obmyślane? Czy to wódz był ze mnie, czy co? Czy kto winien, czy nie winien temu, że stało się nieszczęście, zamiast dobrego — nie mój rozum to sądzić, ale tak myślę, że jeżeli ktoś na tem

nieszczęściu ucierpiał, toć przede wszystkim ja i mnie podobni, a nie ci syci i tłuści panowie, co mnie wyprawiali do Szwabów i obwiniali o ogólną niedolę. I tak — nie udało mi się nic znaleźć, nigdzie przytulić. Było trochę zapasu, to się przejadło, a potem o głodzie musiałem się tułać z kąta w kąt, szukając tego chleba, którego starczyło dla każdego, dla wiedeńskiego Niemca, dla Węgra, dla żyda, tylko nie dla mnie. Cóż? Obcym mnie nazywali... Ale, że mi strasznie żal było odchodzić, więc trzymałem się, miałem nadzieję, szukałem i czekałem. Suchy chleb gryzłem a czekałem. Nie doczekałem się niczego zgnędniałem tylko, wyprzedalem się, na charłaka i Łazarza zszedłem, a wtedy trzeba było znów iść w świat, między obcych, gdzie oczy poniosą.

Ledwie granicę nieszczęsną tę minął, już chleb się znalazł.  
W Oderbergu  
naprzód, potem w Bernie, potem w Salzburgu. Im dalej od  
kraju, tem lepiej szło,  
ale w sercu tem ciężej było. Ot — głupi człowiek, nie ma co i  
mówić. Inny  
plunąłby na wszystko, powiedziałby: „tu mi dobrze, tu mi  
ojczyzna”, o starym  
kraju ojców aniby pomyślał — i doszedłby do czegoś.  
Niemiec pewnieby tak zrobił:  
ja nie mogłem. Chciałem, Bóg wie, że chciałem. Wmawiałem  
w siebie, że to  
głupstwo, słabość, dzieciństwo, że skoro mnie nie chcą na  
swojej ziemi, to i ja  
bez niej się obejdę. Ludzie życzliwi raz wraz mi gadali:  
„Dobrze ci tu, co masz  
dalej darmo szczęścia szukać, zostań, ożeń się, warsztat załóż,  
nie pożalujesz”.  
I pieniądze i kredyt i pomoc wszelka — niczego nie brakło.  
Ale cóż? Serce  
buntowało się, silniejsze było od rozumu. Co powiem

sobie: zostanę i dobrze mi tu będzie! — ono zaczyna rwać się  
i krzyzczeć: „A dom,  
a kraj twój, a kościoły nasze, a pieśni, coś słyszał tam, nad  
Bohem i nad Wisłą,  
a te pola pszeniczne, takie złote, a te dęby zielone i lipy  
pachnące miodem i  
ludzie! Hej, hej, a gdzie ty tu znajdziesz to wszystko,  
człowiecze, i jak ci



obejść się bez tego, jak o tem zapomnieć?" I ot— jedna taka chwila — i znów chwyta człowieka ten ból straszny i znów wyje i rwie się i szaleje w sercu ta burza i znów pcha naprzód w świat ten głos dziwny, o którym śpiewa kozacka piosenka:

„Mandriwcze, najdziesz dołu tam,  
Deś szcze ne buw!"

I pchało mnie też z miejsca na miejsce, z kraju w kraj, na coraz to nowe tułactwo, a wszędzie mi było źle i pusto i tęskno i nigdzie tej doli znaleźć nie mogłem. Oj, boć nigdzie nie było mojej ziemi. Aż wreszcie pchnęło mnie aż do niej.

— Znów pan do Galicyi wróciłeś? — spytałem. Potrząsnął głową.

— Nietylko do Galicyi — odparł — dalej dotarłem. A tak do tego przyszło: Nie miałem długo jakoś listu z domu, aż wreszcie odbieram pismo, cudzą ręką pisane, nie przez siostrę, jak zwykle, ale z nakazu matki — i ta mi donosi, że ciężkie przechodzi smutki, że chora, że mnie pewnie już nie zobaczy i błogosławi przed śmiercią. Więc ja wtedy zapomniałem o wszystkim — i w drogę.

Jak ja tę drogę odbyłem — długo byłoby mówić. Ot —  
odbyłem jakoś. Mniejsza z  
tem, co się przeszło i jak. Najwięcej piechotą, bocznymi  
ścieżkami przebierałem  
się, dopytując się od kołowrotu do kołowrotu, bo i wsi nie  
znałem dobrze, ani  
wiedziałem, gdzie le ży — od większych gościńców i  
miasteczek zdaleka.  
Wieczorkiem, pamiętam, znalazłem się w okolicy Humania, w  
tym lasku podmiejskim,  
co go Greko wem zwa. Nie wycierpiałem — musiałem wpaść  
na chwilę. Miasteczko  
rozbudowało się, zmieniło. Błoto na rynku i na groblach  
nieprzebyte, jak  
dawniej, ale domów nowych niemało i sklepów i zajazdów  
kilka. Więc ja naprzód na  
przedmieście, tam, gdzie stał ojcowski domek z ogródkiem.  
Patrzę, szukam — jest.  
Mało com nie zdradził się, nie krzyknął, nie zapłakał w ulicy.  
Ale byłóż czego  
płakać. Chatę naszą pamiętałem, białą, schludną, aż miło,  
dokoła bzy kwitły i  
wiśnie dojrzewały latem. Teraz rudera została bez płota, z  
połową dachu, z  
powybijanemi szybami, rudera, a w niej żydowstwo.  
Spuściłem głowę i poszedłem  
szukać warsztatu Dymnickiego. Widzę — dom stoi ten sam, w  
nim rymarski sklep,  
ale w sklepie znów żyd. Pytam: co się z Dymnickim stało?  
— A na co wam wiedzieć o nim? — odpowiada żyd, gładząc  
brodę i przypatrując mi  
się ciekawie.  
— Na co ? Ot, znałem go kiedyś i żonę także.

— Nu, co wam przyjdzie ze znajomości z takim kapcanem?  
On stracił wszystko,  
rozpił się i w świat poszedł. Może gdzie siedzi pod kościołem  
i żebrze, to  
łajdak był.  
— A żona ?

— I żona nielepsza Mówili, że na cholere umarła — ale kto  
ich tam wie? takich  
dziadów dowiadywać się, to żaden interes. A wy zkąd ich  
znacie?  
Mruknąłem tylko pod nosem i poszedłem co prędzej. Bałem  
się, żeby mnie kto nie  
poznał i ciężko mi bardzo było na sercu. Proszę mi to  
wytłumaczyć: pan, jako  
uczony na książkach, musisz to lepiej wiedzieć, niż taki, jak  
ja, prostak.  
Dlaczego to człowieka tak ciągnie do tego kąta, gdzie wzrósł,  
do ludzi, których  
znał młodym? Bo że temu tęskno i żal, kto miał dostatki,  
powodzenia, jednym  
słowem, komu w oczy wiatr nie wiał i świeciło słońce, to  
jeszcze nie dziwota.  
Ale bierz pan takiego biedaka, jak ja. Własną chatę ledwie jak  
przez sen  
pamiętam, a potem — co ja naprawdę dobrego zaznałem w  
warsztacie, wśród cudzych  
ludzi, niechby i pocziwych, ale prostych i przywykłych do  
poniewierania  
młodszy! A przecież serce rwało mi się do nich i do tych  
miejsz, gdzie z nimi

żyłem — i choć ten Humań pusty teraz stał się dla mnie jak  
cmentarz, żal z niego  
było odchodzić nocą, och, jak żal!  
Ale nie było czasu żałować. Spieszyłem do matki. Skradałem  
się, kołowałem, jak  
złodziej. Dobiłem się wreszcie. Szedłem przez całą noc, mało  
co spoczywając, a  
serce wciąż mi się tłukło i w uszach huczało :  
— Zastanę ja ją jeszcze, czy nie?  
Oj, zastałem-że, zastałem!  
Zamilkł i objąwszy kolana splecionymi rękami, opuścił ku nim  
głowę i zaczął  
jednostajnie, miarowo

pochylać się przed siebie, jęcząc żałośnie a cicho, tym tonem,  
jakim na Ukrainie  
zawodzą kobiety przy pogrzebach. Nie przerywałem mu,  
rozumiejąc, że doszedł do  
najbardziej dotkliwego momentu w swej smutnej historii.  
— Miałeś ksiądz matkę? — spytał mnie nagle, podnosząc  
głowę. — Chcę mówić,  
pamiętasz ją, żyje?  
Skłoniłem w milczeniu głowę.  
— Bóg mi ją zabrał — rzekłem wreszcie. — Świętą była.  
— A... bardzo... bardzoś ją ksiądz kochał? Znów pomilczałem,  
nim mogłem zdobyć  
się na  
odpowiedź.  
— Po śmierci jej, księdzem zostałem, żeby módz żyć.  
— Rozumiem — odparł, patrząc na mnie — rozumiem.

— Widzisz bo pan, matka moja była prosta kobieta, zupełnie prosta, i każda żona rzemieślnika tutaj sto razy od niej mędrsza i większa pani. Ale ot — serce w niej było, wielkie serce — i nie dla siebie, tylko dla drugich, dla Boga i dla nas. Od kiedy ją pamiętam, nie słyszałem z ust jej złego słowa, nie widziałem jej z założonymi rękami. Od rana do nocy w pracy, w harowaniu ciężkiem — a bez złości, bez przeklinania, jak u innych kobiet zwyczajem bywa, tylko zawsze z uśmiechem na ustach, albo z modlitwą. Niechby za życia ojca, choć i wtedy nie przelewało się u nas, ale później, przez ten rok po jego śmierci, nim nas wyrzucili ludzie źli z własnej chałupy, nie pamiętam nigdy, żeby biedny odszedł nieopatrzony

ciepłą strawą, jałmużną i dobrem słowem. Nie pamiętam też sporu, kłótni w domu, lub z sąsiadami a sąsiadów nie mieliśmy dobrych: sami kacapi byli, złodzieje i pijacy.

Nie mówię tego do księdza, bo każdy ksiądz zawsze bliższy prostego człowieka, ale panowie to nieraz myślą sobie, że taki prostak nie potrafi czuć, jak oni, że go nie boli serce tak głęboko, tak długo, jak ich, że to tylko rozumie, co mu

łopatą do głowy wkładają albo co go obuchem po łbie wali. A to nie jest prawda.

Wyrazić to, co się czuje, to panowie zapewne, że potrafią lepiej i piękniej, ale czuć, to i taki, jak ja, biedak potrafi. Ot i ta miłość matki dla mnie. Dziś

kiedy o tem myślę, trudno mi być spokojnym. Kochała nas oboje, ale, że mnie musiała z domu oddać między ludzi, więcej to mi okazywała, co było w sercu.

Bywało czasem w święto wyprosi się do Humania albo ja do niej skoczę do

Beresznej — co to za radość! Ot — serce pocziwe widać jak na dłoni. Wyjęłaby,

zdaje się, gdyby mogła, i oddałaby. Pędzi biedactwo tę furkę swoją przededniem

do miasta i ledwie ludzie wstają, ona już stuka w okno warsztatu.

— Wychodź, synku, wychodź ! — woła do mnie.

A ja jak się nie rzucę do niej, jak nie schwycę za ręce, za szyję... O świecie

bywało zapominam, gdy ją widzę, tak już ja ją bardzo kochałem...

A czasem znów w niedzielę, ja do niej ruszam. Ale gdzie w niedzielę: w środku

nocy. Co na mnie nałaje majstrowa, co sam Dymnicki uszów ponaciąga: „A nie włócz

się jak mara nocna, a śpij, kiedy ludzie

spią! W drogę o dwie milę o północy chciałby biedz, żeby jego gdzie wilki

zjadły w lesie". A ja nic. Drugim razem jeszcze wcześniej  
wykradam się. spaniu  
przedtem oczywiście ani mowy, ot, skurczy się człowiek na  
swoim barłogu,  
przycupnie aż wszyscy pozasypiają, a potem, nim pierwsze  
kury piąć zaczną —  
pocichutku, boszo rzeczy zebrawszy, skradając się jak kot  
przez izbę, wśród  
spiących — w drogę. Na dworze ciemno czasem, choć oko  
wykol, — gwiazdy tylko  
iskrzą się na niebie i śnieg chrupie pod nogami. Gdzie  
spojrzeć — pusto, cicho,  
biało od śniegu, tylko las czerni się z boku. Człowiek sam w  
stepie. Czasem aż  
skura ścierpnie, zwłaszcza gdyo wilku się pomyśli, albo jak  
trzeba pod wsią koło  
cmentarza przechodzić. Ale co tam. Jak się jest młodym, o nic  
się nie dba.  
Prędzej się tylko biegnie — i jeszcze do zorzy daleko, a ja już  
w Bereźnej.  
Że to niedziela, ludzie śpią dłużej i we wsi, i w oficynach. Psy  
tylko zaczynają  
szczekać jak wbiegnę na dziedziniec, ale co tam psy. Ja pędem  
do okna matczynej  
izdebki.  
Stuk, stuk.  
— Kto tam? — pyta matka.  
— Swój, — wołam — swój, matusiu. Prędzej, bom zmarzł.  
Ale jej nie trzeba naglić do pośpiechu. Już wybiegła, ledwie  
płachtę zarzuciwszy  
na siebie. Ściska, do serca tuli, do stacyjki prowadzi, sama  
prędzej ogień  
rozpala, co najlepszego dostaje dla dziecka... Oj, Boże, Boże.

Urwał i długo milczał z pochyloną, w dłoniach ukrytą twarzą.  
— Bywająż takie chwile — zaczął wreszcie i jakby z namysłem — bywająż chwile, w których człowiekowi tak jasno, tak dobrze, jakby niebo otwierało się przed nim... Ale mija to, mija i nie wraca już, a potem tak ciężko, tak żal, oj, tak żal...

— Otóż, widzi pan, to wszystko stawało mi w oczach, jak żywe, kiedym wtedy zbliżał się do Drewnówki. I myślałem sobie: tak samo nocą biegnę do niej, tak samo rankiem się dostanę, jak kiedyś, kiedym na święta biegł z Humania do Bereźnej, tylko czy mnie, jak wtedy, spotka we drzwiach słodka twarz matczyna? Przywlokłem się wreszcie. Dzień już się robił, ludzie pokazywali się we drzwiach chałup. Pytam: wdowa Bystrzewska jest tu, żyje? A w sercu mi zamiera ze strachu.

Chłop, do którego się zwróciłem, poskrobał się w głowę, namyślał się przez chwilę, wreszcie wybąknął:

— A czort jego wie, czy jest tu u nas taka, czy nie. Ot, baba może będzie lepiej wiedziała. Matrono, Matrono !

— A co tam? — pyta z chaty kobieta. Powtórzyłem pytanie.

— Oj, wiem, wiem — odpowiada — stając we drzwiach i za boki się trzymając. Zaraz



za cerkwią, za stawem, za młynem pierwsza chata. Żyje  
jeszcze nieboraczka, żyje,  
ale już jej mało się należy. A wy zkad?

Nie odpowiedziałem, tylko rzuciłem niewyraźne „spasybi” i  
pognałem naprzód, nie  
czując zmęczenia, ani nóg zbolących. Przybiegam. Chatynka  
nędzna, niebielona,  
drzwi nadłamane i na oścież otwarte.

— Kto tam? — głos jakiś odzywa się ochryply, jęczący.  
Chciałem zawołać: Ja, matusiu złota, serdeczna, ja, syn, twój  
rodzony, coś go  
dziesięć lat nie widziała. Ale wstrzymałem się. Mógł ktoś być,  
posłyszeć.

Zaglądam. Nie ma nikogo, tylko na tapczanie, na słomianym  
barłogu, leży  
staruszka żółta, znędzniała, same kości i skóra.

— Czy to wy, pani Marcinowa? — szepcze. Wtedy ja drzwi  
zamknął i zwałem się  
przy

tapczanie, ręce jej i nogi całując i rycząc z płaczu. Bóg strzegł  
— żem jej tem

nie ubił. Dogasała biedaczka i resztką tylko życia kołatało się  
w niej. Owszem

jednak podniosła się, jakby duch nowy w nią wstąpił.

— Ty, ty — szeptała, szukając mnie rękami i przyciskając do  
siebie. — Mój  
Wojtuś, mój jedyny.

Potem oczy w górę podniosła i ręce złożyła.

— Dziękuję Ci, Panie Boże. Dałeś doczekać, zobaczyć. Ja  
zawsze ufałam,

wierzyłam, że nie umrę, póki ciebie nie zobaczę, nie przeżegnam.

Tak nam przeszła godzina czasu. Matka, po pierwszych kilku chwilach, znów osłabła i ledwie mówić mogła. Ja jej mówiłem o sobie. Słuchała, głową poruszyła, czasem cichutko zapytała o coś, a oczu to już nie spuszczała ze mnie. O siostrze wspomniałem — nie odpowiedziała nic.

A wtem nadeszła Marcinowa, stara szlachcianka z sąsiedniej chałupy, doglądająca matkę w chorobie.

Zobaczywszy obcego człowieka przy chorej, domyśliła się, kim jestem, choć nigdy mnie nie widziała przedtem.

— Jezus Marya — zawołała, klasnąwszy w ręce. — I zkąd pan tu wziąłeś się? A pozwoliliż, wiedzą?

Trzeba było powiedzieć prawdę. Stara głową zaczęła kręcić.

— Oj źle — rzekła smutna, bo lubiła i żałowała biedną matkę.

— Nie ukryje się to. Jak ukryć w tej chałupie, gdzie wszystko na oczach ludziom?

Nie ukryło się też.

Dzień i drugi minął jednak spokojnie. Matka miała się jednako, ni lepiej, ni gorzej. Siedziałem przy niej ciągle. Marcinowa poczciwa nie odstępowała nas też krokiem przez cały dzień, a jak kto zbliżał się i chciał wejść, zatrzymywała na

progu chałupy, aż ja wymknąłem się do bocznej komórki. W nocy za to byliśmy sami z matką — i było nam dobrze razem, oj, byłoż! Ale nie na długo. Troska ciężka przygniatała serce. Za chwilę mogli wpaść po mnie, schwycić — i już byłoby po szczęściu. A przytem siostra... Dowiedziałem się od Marcinowej, że z domu uciekła, żeby wyjść za człowieka obcej narodowości i wiary. Pokochała go, nieszczęsna. Matka nie pozwalała, groziła, że przeklnie. Dziewczyna przez rok wędła i płakała — aż w końcu.. On bogaty był — mówiono, że porządny człowiek, żonę kochał, ptasiego mleka by jej dał — ale cóż? Obcy był, obcemi musiały być i dzieci. Więc

matka uciekła od nich w cudzą stronę — widzieć ich nie chciała, ani pomocy przyjmować — i ot żyła w nędzy, z ręcznej pracy i małej gracyjki, aż sił zbrakło i choroba przyszła. Ale i w chorobie zakazała córce dać znać, gdzie jest i co z nią się dzieje. Ot — smutna historia, a tam, u nas, tysiące podobnych. Tak więc, mówię, przeszło parę dni. Aż wreszcie, jednego ranka Marcinowa wpada zdyszana, przerażona i woła mnie. — Uciekaj prędzej i skryj się w dębinie. Lada chwila przyjdą do ciebie po

papiery. Żyd hycel, arendarz, podpatrzył, że jesteś, że kryjesz się, zmiarkował, co to znaczy i doniósł prosto do stanowe go, a ten uradnika pchnął już tu.

Szczeńciem, starosta poczciwy przetrzymał go w karczmie, potraktował, a do mnie syna przysłał, żebyś uciekał.

Ledwie słyszał. Do matki przypadłem, szepnąłem, żeby się nie straszyla, że

muszę się na czas jakiś oddalić, że wrócę nocą dziś, jutro.

Mówiłem to, sam

sobie nie wierząc. Ona słuchała z szeroko roztwartymi oczyma, ściskając z dziwną u niej siłą moje dłonie.

— Ja już ciebie nie zobaczę — jęknęła wreszcie. — Wojtuś mój, synku jedyny, nie odchodź ty, nie odchodź ..

— Muszę... wrócę — szepnąłem.

— Nie wrócisz... Nie zamkniesz mi oczu. Oj, biednaż śmierć moja będzie, samotna, bez ciebie.

Łzy, po wyschłych policzkach, potoczyły się jedna za drugą.

— Prędeej, prędeej — nagliła Marcinowa. — Ledwie ich nie widać.

— Matko, matusiu jedyna, przeżegnaj ranie, pobłogosław — wyjęczałem przez łzy.

— Pan Jezus... niech będzie... z tobą... Matka Boska... ja nic... prócz tego krzyżyka... nie mam... On — niech cię chroni... strzeże .  
powraca.

Ręka jej opadła — raz jeszcze usta do niej przyłożyłem...  
wybiegłem...

Znów umilkł i przez jakiś czas oddychał ciężko. Wieczór  
zapadał. Od gór słały  
się szerokie cienie po nad doliną, otulając ją szaremi mgłami.

Tylko na  
przeciwległych szczytach złociło się czerwonymi i liliowymi  
odbłyskami  
zachodzące słońce.

On zaczął znowu mówić.

— Tydzień błąkałem się w lesie. Marcinowa nocą przybiegła  
czasem przynieść mi  
trochę strawy i wiadomość, której żądniejszy byłem, niż jadła.

Niestety — dobrej  
nie dostałem. Chatę szpiegowano, czekając na mój powrót,  
którego matka, od mego  
odejścia na pół tylko przytomna, nie przestawała się domagać.

Wreszcie raz wpadł  
uradnik do chaty i zaczął na spytki brać Marcinowę. Ale ta  
odżegnywała się tylko  
od niego. Nie знаła mnie przedtem, widziała parę razy, potem  
poszedłem i nie  
wróciłem — więcej nie wiedziała nic. Żandarm groził,  
krzyczał, nie pomogło.

Wtedy rzucił się do mojej matki.

— Ależ ta kobieta umiera, — krzyknęła Marcinowa,  
odciągając go — chcecie ją  
dobić chyba!

— Wy wszyscy umierać gotowi, a buntowników ukrywacie —  
wrzasnął, odepchnął babę

i zaczął matkę szarpać, pytając o mnie.  
Staruszka przez chwilę milczała, jak nieprzytomna, nie zdając  
sobie sprawy, co z  
nią się dzieje. Naraz, jakby się w jej biednej, siwej głowie  
rozjaśniło.  
Spojrzała na mundur ze świecącymi guzikami — na czerwoną,  
brodatą twarz z czapką  
białą na głowie i krzyknęła przeraźliwie o ratunek.  
— Oni mi go biorą, Wojtusia mego, oni go porwać chcą! Nie  
dam go, nie dam!  
Ludzie ratujcie, ratujcie !  
Krew rzuciła się jej ustami i piana. Upadła na posłanie, wijąc  
się w konwulsjach  
Żandarm przestraszony cofnął się i uciekł — ale w parę  
godzin matka moja biedna  
skoniała z mojem imieniem na ustach, wzywając mnie,  
błagając, żeby mnie  
sprowadzić.  
Ludzie stali w koło jej barłogu, szeptali, płakali, przeklinali z  
cicha. Po mnie  
nikt nie odważył się pójść. Zresztą w lesie, w dzień, gdzieby  
mnie odnalazł.  
Później dopiero, nocą, kiedy z wilkami wymknąłem się z lasu  
i zacząłem krążyć  
koło wsi, Marcinowa dopadła mnie, płacząc. Więc  
przesiedziałem noc przy  
kostniejącem ciele, chciałem zostać i w dzień i na pogrzeb  
pójść za trumną, ale  
ludzie wyprosili to u mnie, zem się ukrył. Mnie już nie  
chodziło o nic, ale  
myślę: ona, biedaczka, tak się bała dla mnie tego złapania...  
tak prosiła, żebym  
był ostrożny. Wolę jej spełnić.

I wróciłem.

Tylko przedtem jeszcze zaszedłem po nocy na cmentarz w Machnówce, gdzie ją zawieźli — i z mogiły świeżej wziąłem grudkę ziemi. Ot, tu ją mam, na piersiach.

Nie leżyć mnie przy niej, przy mateczce kochanej, nie leżeć w ziemi swojej, ale gdziekolwiek mnie zakopią, ta grudka ze mną w dół pójdzie, zostanie.

Była znów chwila milczenia. Przerwałem ją wreszcie. — Wróciłeś pan do Niemiec, czy tu zaraz przyszedłeś, — spytałem.

— I tu i tam włóczyłem się — odparł, w ziemię patrząc. — Ale czarne to dni były dla mnie, czarne.

— Pan myślisz może, że teraz, kiedym już nikogo nie miał wśród swoich, nie powinno mnie już było tam ciągnąć? Zapewne! I ja tak przypuszczałem odchodząc.

Serce się krajało, świat cały, zdawało się, całunem grobowym okryty, ale

przynajmniej choć jedno w głowie się kręci, niby pociecha: tej mary przeklętej,

tej tęsknoty, gorszej, niż śmierć, tej już nie doświadczysz.

Minęła i nie wróci.

Nie ma do kogo tęsknić.

A tymczasem, co pan powiesz na to, ledwiem trochę odpoczął po tej ciężkiej

wędrówce i do pracy się zabrał, wróciła, i jak wróciła i

Przedtem tęsknił

człowiek i było źle, okropnie, ale błysła przy tem nadzieja  
jakaś. Myślało się:  
trzeba przetrwać, trzeba żyć, bo bo jest dla kogo żyć, bo tam  
za tobą tęsknią i  
płaczą, jak ty ich zobaczysz!" I krzepiłem się tą myślą, i nie  
poddawałem się  
trosce niepocziwej. A teraz ona wsiadła na mnie i gniotła, i  
gniotła, i byłem  
jak ten człowiek, co idzie przed siebie w ciemnościach

zupełnych i nie ma ani jednego promyczka, któryby je  
rozjaśnił.

Tam, zkad jestem, na Ukrainie, opowiadają wiedźmach  
kijowskich, że jak zmora  
siada człowiekowi na głowę, na kark i pędzą go w świat bez  
ustanku, bez  
miłosierdzia, pojąc się tymczasem krwią jego ciepłą z rany  
otwartej, aż padnie  
bez sił i zginie.

Ze mną było tak samo. I mnie zmora jak wiedźma przygniotła  
swem brzemieniem, i  
otwarła mi serce i ssała z niego całą krew, całe życie. Aż  
padłem wreszcie.

Zacząłem pić.

Ach, księżo, straszna to, piekielna iście moc w tym trunku.

Człowiek

zropaczony, z sercem, pełnem bolu, i jadu, i nienawiści,  
gotów, zdaje się,  
petłę na szyję sobie zarzucić albo drugiemu łeb rozbić.

Chwyta pełną czarę,



wychyla, po niej druga — i naraz mija wszystko. Smutek  
podział się gdzieś,  
troska gnieść przestała. Przed chwilą Łazarz byłeś, życie  
niosłeś jak ciężar i  
mękę. — Teraz bogacz z ciebie, pan, król. Świat cały śmieje ci  
się, leży u  
twoich nóg. Ot, ułuda dyabelska poprostu, ale jaka w niej siła!  
I cóż dziwić się, że ludzie bardzo znużeni i bardzo  
nieszczęśliwi, uciekają się  
do tego kubka trucizny, żeby znaleźć ostatnie swe szczęście w  
życiu —  
zapomnienie.  
— Kubek Lete — szepnąłem bardzo cicho.  
— Oj, piłemże ja z tego kubka, piłem, żeby zapisać ból mój i  
rozpacz serdeczną —  
piłem bez ustanku, bo ledwiem wytrzeźwił się po nocy przy  
butelce, ból wracał,  
tępy, głuchy, ale straszniejszy,

niż przedtem. Więc znów go trzeba było przytłumiać. Aż  
wreszcie stargały się  
siły, zatracił się wstyd, szacunek ludzki i środek zdobycia  
chleba. I zginąłbym  
ostatecznie, gdyby mi Bóg nie zesłał Anioła Stróża.  
Ach, panie, gdybyś wiedział, co to za kobieta i ile uczyniła dla  
mnie,  
nieszczęśnika, com myślał, że Bóg już o mnie zapomniał.  
Byłem na dnie przepaści,  
gdy mnie spotkała, gdy rękę mi podała i serce otworzyła dla  
mnie, podniosła,

uzdrowiła, uświęciła. Promień słońca wpadł z niebios do  
ciemnej próżni mego  
serca, rozjaśnił, napełnił je promień łaski Bożej, miłosierdzia  
w upadku,  
pociechy w niedoli. I przyszło mi z nią zdrowie, dobrobyt,  
szczęście rodzinne i  
spokój, przyszło dziecko wreszcie. Wszystko mi dała, czego  
dusza moja mogła  
zapragnąć... prócz jednego tylko.  
Znów zamyślił się, ale rzecz dziwna, posępniej, niż przedtem,  
choć słowa jego  
były słowami szczęśliwego człowieka.  
— Masz pan jeszcze godzinę czasu? — zapytał mnie naraz. —  
Zaprowadzę pana do  
żony, synem się pochwałę.  
Poszliśmy. Poza rzeczka Steinach i gmachami Opactwa, na  
końcu Altstadt, w tylnej  
części trzeciego piętra, starego, wąskiego domu było  
mieszkanko, z dwóch  
pokoików złożone, bardzo skromne, ale jasne, czyste i miłe.  
W oknach stały  
doniczki, pełne kwiatów wśród świeżych firanek, z  
czerwonemi fontaziami, na  
ścianach wisiały oleodruki, przeważnie religijnej treści —  
pomiędzy Błog.  
Mikołajem z Fluë i S. Notburga licha litografia z niemieckim  
podpisem

przedstawiała Kościuszkę. Na pułeczce i stoliku leżało kilka  
książek. Mebelki

plecione, porządne i całe, uszykowane były z pewnem  
staraniem o komfort — w  
drugim pokoju wysoko wypiętrzone pościele, szafy, kufry,  
odzież na szaragach,  
znamionowały dostatek. W kącie sypialni, na stoliku  
urządzony był domowy  
ołtarzyk, środkowe miejsce, pomiędzy kilku krzyżykami i  
posążkami, zajmował  
obrazek Częstochowskiej Bogarodzicy, przed którym paliła  
się czerwona lampka.  
Znać było we wszystkim rękę kobiety porządnej, roztropnej,  
kochającej domowe  
ognisko i bojącej się Boga.  
Trzydziestoletnia, przystojna i rosła Szwajcarka, z błękitnymi  
oczyma i dobrym,  
szczerym, a przytem jakby trochę smętnym uśmiechem, była  
niewątpliwie tem  
wszystkiem. Bardziej, niż w mieszkaniu, widać to było w  
cieplem a cichem  
powitaniu męża, w radości, z którą mnie przyjęła, jako ziomka  
Wojciecha i jako  
człowieka, który mu przyniósł pociechę i wspomnienie  
ojczyzny. Cała gruntowna  
uczciwość i niezmierna delikatność uczucia, jaka cechuje  
mieszkańców Alp,  
uwydatniała się w tem jej interesowaniu gorącym i  
serdecznem Polską i  
wszystkiem, co z nią wiązało męża.  
— Nasz mały umie po polsku — rzekła mi z dumą zaraz na  
wstępie. — I ja staram  
się, pracuję, trochę się nauczyłam, ale na nieszczęście zaraz  
zapominam. Taka  
już niemądra moja głowa.

— Język polski bardzo trudny jest dla cudzoziemców —  
odparłem.

— Tak, ale ja nie jestem cudzoziemką. I dlatego mi to  
przykro. Tak kocham kraj  
mego Alberta, tak chciałabym go poznać! Ale cóż? Rozmówić  
się z ziomkami męża w  
ich języku — nie mogę.  
Byłem z nią po kilku minutach tak, jakbym ją znał od wielu  
lat. Bystrzewski  
musiał pójść na chwilę, wezwany przez pryncypała w jakimś  
interesie,  
niecierpiącym zwłoki. Zostaliśmy sami.  
Opowiedziała mi, że się poznali przed dziewięciu laty.  
Bystrzewski przywędrował  
tu wtedy właśnie z Bawaryi, ale był w najsmutniejszym stanie,  
zarówno fizycznie,  
jak duchowo. Roboty mu wprawdzie nie brakło, bo  
rzemieślnik był z niego  
doskonały — ale co zarobił w dzień, puszczał w nocy. Nie  
hulał — Boże uchroni!  
Siedział tylko w knajpie i pił wódkę najmocniejszą kieliszek  
za kieliszkiem, aż  
z nóg się zwałił. Wytrzeźwiwszy się, szedł zrana do warsztatu,  
jakby nic. Robota  
nie cierpiała, ale reputacyi szkodziło to bardzo. Uważano go  
za nałogowego  
pijaka, usuwano się od niego.  
— Wtedy go poznałam — mówiła mi pani Wojciechowa,  
patrząc przez okno w

zamyśleniu na skrawek nieba ponad dachami i kominami,  
rozjaśniony wschodzącym  
księżycem. — Mój ojciec był werkführerem w fabryce pana  
Weckerlina, w której  
pracował Albert, a ja byłam jeszcze młodziutką i głupiutką  
Bürgel Künzli, i ani  
mi się śniło o moim przyszłym w szwalni ciotki Trudy  
Staempfer. Razu jednego  
było u ojca kilku znajomych i zgadało się o czeladzi  
fabrycznej. W rozmowie  
ojciec wspomniał Alberta i powiada, że w człowieku tym tkwi

jakaś tajemnica. Pracowity, zdolny, spokojny, ale przytem na  
wszystko obojętny i  
jedyną rozrywką Jego — ten nałóg nieszczęsny. Inni mówili  
to samo, żalowali go,  
aż wreszcie ktoś rzucił te słowa: „tęsknota za ojczyzną”, jako  
rozwiązanie  
zagadki Inni głowami skinęli, potwierdzając i dziwiąc się, że  
im to wcześniej  
nie przyszło na myśl.  
Ja kręciłam się tymczasem w sąsiedniej kuchence,  
przygotowując chleb wieczorny i  
słyszałam każde słowo. Znałam Alberta. Spotkaliśmy się kilka  
razy na ulicy i w  
kościelce, a kiedy zaszedł w interesie do mego ojca,  
zamieniłam z nim słów kilka.  
Zwrócił moją uwagę swoją poważną i smutną twarzą.  
Domyślałam się odrazu, że  
jakiś ból ciężki musi mu gryść serce, a dowiedziawszy się o  
tem, że wygnaniec,

zrozumiałam go i żałowałam serdecznie. Zrobiło mi się też  
dziwnie smutno, gdy w  
dalszym ciągu rozmowy musiałam o tem słyszeć, jak  
biedakowi nałóg jego popsuł  
opinię w fabryce, u przełożonych i kolegów, i jak blisko mu  
już do utraty  
miejsca.

Nazajutrz było święto. Skoczyłam raniutko do kościoła na  
Segenmesse. U nas, jak  
ksiądz wie, zaraz po nabożeństwie wszyscy wychodzą i aż do  
następnej mszy  
kościół pusty bywa zupełnie. Nie wiem, czemu zostałam  
chwilę dłużej, kończąc  
koronkę. Kiedy już wszystko uciszyło się, podnoszę głowę,  
patrzę — jest ktoś  
prócz mnie w kościele. Jakiś wysoki mężczyzna wyszedł z  
ławki i klęknął przed  
ołtarzem Matki Boskiej. U nas to nie jest w zwyczaju, myślę  
więc: cudzoziemiec;  
przypatruję się: to Albert.

Serce mi ścisnęło się boleśnie. Ten biedak, proszący  
Bogarodzicy o pociechę w  
swem tułactwie, o ratunek w upadku — tak mi się zdał  
godzien współczucia!  
Zaczęłam modlić się za nim i w jego intencji i postanowiłam  
trwać z nim razem na  
wspólnej modlitwie, aż on ją skończy. On tymczasem modlił  
się, modlił,  
nieruchomy, z głową ukrytą w dłoniach i już zaczęto dzwonić  
na drugą mszę, kiedy

powstał Spotkaliśmy się w przedsionku. Skłonił mi się, ja mc  
podałam wodę  
święconą i spojrzałam na niego.  
Twarz miał jakąś jasną i spokojną, jak nigdy| przedtem.  
Powiedziałam mu więc, że  
cieszę się, widząc go weselszym, niż zwykle.  
— Pomodliłem się dziś dobrze, a dawno nie byłem w kościele  
— odparł mi szczerze.  
Poszliśmy razem, rozmawiając. Od słowa do słowa,  
wyspowiadał mi się ze  
wszystkiego. Sama nie wiem, jak to się stało: znaliśmy się tak  
mało. Mówił mi  
później, że serce miał takie pełne, tak potrzebował przed kimś  
się wywnętrzyć,  
ale nie miał nikogo, a ja, powiadał, tak pocziwie na niego  
patrzałam.  
Jak tam ja patrzałam, nie wiem, ale to pewne, że litość miałam  
w sercu bardzo  
wielką. I wtedy po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że tego  
człowieka,  
upadającego z tęsknoty i osamotnienia, może podnieść i  
uratować serce kochające,  
zdolne mu zastąpić daleką ojczyznę i rodzinę. I pomyślałam  
sobie, że dla  
kobiety, dla chrześcijanki, byłoby to zadanie piękne i pociecha  
niemała stać się  
tą dźwignią w łamiącym się życiu, dać nieszczęśliwemu  
szczęście, ocalić od zguby  
jego duszę. A gdym, myśląc o tem,

spojrzała na idącego obok mnie człowieka, w jego dobre,  
szczerze, smutne oczy,  
spuściłam wzrok ku ziemi i zdało mi się, że czyniąc to  
wszystko dla niego,  
mogłabym znaleźć szczęście i dla siebie.  
I cóż księdzu więcej powiedzieć? Historia nasza prosta.  
Alberta pierwsza ta  
nasza rozmowa zbliżyła do mnie bardzo — przyniosła mu  
pociechę. Starał się znów  
spotkać ze mną, słuchał moich rad i nie chodził do szynku,  
chyba na piwo.  
Dawałam mu do czytania książki z czytelni katolickiego  
Gesellenvereinu, na moją  
prośbę zapisał się sam do tego stowarzyszenia, które taką jest  
pomocą i ochroną  
dla naszych rzemieślników. Z początku ani on, ani ja, nie  
myśleliśmy o niczem  
więcej. Powoli, powoli... i to przyszło.  
Mój ojciec nie chciał długo słyszeć o wydaniu mnie za  
Alberta. Miał miejsce  
doходne, mir u ludzi, ambicyi trochę — wolałby wyżej  
szukać mężów dla córek,  
niż niżej. Alberta nazywał przybłądą, nie dowierzał poprawie,  
bał się powrotu do  
nałogu, a bardziej jeszcze do ojczyzny. „Co z tobą będzie  
wtedy, co z nami —  
mawiał — kiedy on ciebie kiedyś ztąd zabierze na tę północ  
daleką, między dzicz  
azyatycką, wilki i niedźwiedzie”. Matka też na tę myśl  
płakała. Ale było nas  
cztery siostry niewydane, prócz braci, a ja uparłam się, że za  
innego nie pójdę.



Więc wreszcie zgodzili się rodzice i ot za dwa miesiące na  
Wszystkich Świętych

będzie dziewięć lat, jak ślub braliśmy.

— I jesteś pani szczęśliwą? — spytałem.

Przez chwilę milczała, patrząc przez okno w srebrzystą smugę  
księżycowego  
światła.

— W niebie tylko jest szczęście — odrzekła powoli — tu, na  
ziemi, kto może  
nazwać się szczęśliwym? Ale że dużo szczęścia znalazłam, że  
trochę jego może

dałam memu Albertowi — to pewne. Zresztą — łyzy i  
uśmiechy, z tego się życie  
splata, mówi nasz poeta.

— A on... czy wytrwał, czy nadzieja nie zawiodła panią ?  
Znów milczała przez chwilę, ale już nie patrzyła w księżyc,  
tylko głowa jej  
opuściła się nisko na piersi.

— Niech mi pani wybaczy niedyskretne pytanie — dodałem  
pośpiesznie. — Słowa moje  
mogły panią zadrasnąć.

Podniosła głowę.

— Nie — odrzekła — wcale nie. Ani mnie dotknęło pytanie,  
ani się waham  
odpowiedzieć. Prawda nie może przecie wstydzic — a choć  
boli czasem trochę —  
trudno, rady nie ma i szkody niewiele. Ja tylko namyślałam się  
i rozważałam  
sobie, jak księdzu odpowiedzieć, abys wiedział całą prawdę,  
bez własnych moich

mimowolnych dodatków i wyobrażeń.

— Pytasz mnie ksiądz, czy on wytrwał ? Ogółem wzięwszy tak, były jednak przerwy, upadki. A czy nadzieje zawiodły? Nie, nie zawiodły. Co ludzkie, doskonałem być nie może — a on człowiekiem był, i człowiekiem bardzo nieszczęśliwym. Ja wiedziałam o tem przecie i nie marzyłam zrobić z niego świętego : chciałam tylko uratować jego duszę. A w tem Bóg dopomógł i pobłogosławił. Z początku szło wszystko dobrze. Albert pracował niezmordowanie, zarabiał coraz więcej, w domu do-

statek był i wesele. Ludzie zaczynali mi zazdrościć, choć przed ślubem ruszali ramionami. I o tej tęsknocie swojej, zdawało się, zapomniał. Ja mu zresztą za oszczędzone pieniądze wciąż coś kupiłam, co mu kraj przypomniało: książkę, obrazek. On mnie wtedy ścisnął ze łzą w oku, ale nie była to łza smutku.

Aż naraz zaczęło być inaczej.

Pierwsza matka to spostrzegła.

— Uważaj, Bürgel, — mówi do mnie, — twój Albert znów głowę zwiesił, jak dawniej, i chodzi ulicą nie patrząc na nikogo, jakby struty. Zeby, broń Boże, złe dawniejsze nie wróciło.

Ja w pierwszych czasach nie zwracałam na to uwagi. Trudnoż  
ciągle śmiać się,  
zwłaszcza przy ciężkiej robocie. Przytem on w domu  
przewycięzał się jeszcze.  
Ale niedługo to trwało. Zaczął i w domu chodzić posepny, jak  
noc, z oczami  
szklanymi, głuchy na wszystko i obojętny. Ani się z nim  
dogadać było, ani tem  
mniej go rozerwać. Siedzi, bywało milcząc przy stole,  
wróciwszy wieczorem z  
roboty, jedzenia nie tknie, kufel swój duszkiem wypróżni i ani  
słowa. W ziemię  
tylko patrzy. Potem zerwie się naraz, czapkę schwyci i ucieka.  
Ja w takich  
razach wiem, że perswadować, gniewać się, płakać, złe tylko  
powiększa — więc nie  
mówiłam nic, starałam się dogodzić mu we wszystkim, żeby  
nie miał powodu do  
skargi, żeby mu w domu dobrze było. Ale jak wyszedł, jak nie  
wracał aż późno w  
nocy, zasnąć nie mogłam, płakałam, modliłam się. Kruszył się  
przecie i w proch  
rozbijał w moich oczach cały gmach moich nadziei, mojego  
szczęścia.

Raz klęczałam w nocy przed ołtarzykiem, kiedy powrócił  
wcześniej, niż zazwyczaj.  
Nie posłyszałam jego kroków. Naraz upadł koło mnie na  
kolana i głośno  
szlochając, zaczął całować moje ręce, przepraszać. Płakałam z  
nim razem. Był tak

bardzo nieszczęśliwym...

Parę miesięcy trwał spokój — potem znów przyszło na niego to nieszczęście.

Chodził jak potępieniec, ale już nie włóczył się po szynkach, nie pił — tylko

bląkał się po zaułkach, jak szalony. Drżałam, żeby naprawdę nie oszalał. Wtedy znikł.

— Uciekł do kraju? — przerwałam. Wstrząsnęła głową.

— Nie wiem i wątpię żeby kto dowiedział się od niego.

Domyślam się jednak, że

próbował wrócić. Nie było go cztery miesiące a ja tymczasem... Ale mniejsza o

mnie. Co on nieszczęsny przejść musiał! Wreszcie wrócił.

Cień został z niego.

Słaniał się chodząc, wzrok miał błędny, siły żadnej. Do szpitala chcieli go

oddawać: nie pozwoliłam. Odkarmiłam, wzmocniłam ciało, starałam się, jak mogłam, rany duszy zagoić.

A wówczas Bóg miłosierny dał namdziecko.

— I ono przykuło już ojca do domu?

— Zgadłeś pan. Odtąd wrócił spokój, przynajmniej co najgorsze minęło. Albert mój

już nigdy więcej nie uciekał, kiedy go teraz ta tęsknota schwyci, idzie włóczyć

się po górach godzinami — czasem dniami całymi; ja sama go wyprawiam, wiedząc,

że mu to sprawia ulgę, usprawiedliwiam nieobecność jego w fabryce i czekam

spokojnie; wiem, że wróci. Innym

razem zamyka się w drugiej izdebce i leży długie godziny, jak umarli. Ja tu na palcach się krzątam, żeby mu nie przeszkadzać, dziecko wynoszę do sąsiadów, potem jak miarkuję, że atak przeszedł, posyłam mu syna, żeby go sprowadził do mnie. I wtedy on przychodzi spokojniejszy. Tak żyjemy od lat siedmiu.

— A nie obawiasz się pani, że on kiedyś, odszedłszy, nie wróci może?

Drżenie ją przeszło całą. Podniosła oczy na krucyfiks, wiszący na ścianie i

wpatrywała się w postać Chrystusa, jakby modląc się myślą.

— Bóg wielki — rzekła wreszcie. — Jemu ufam. A potem jest dziecko.

Ujrzałem je za chwilę. Pan Wojciech przyprowadził syna, po którego zaszedł do

babki i z widoczną durną prezentował mi swego jedynaka.

Ochrzczono go Tadeuszem

na pamiątkę Kościuszki: tak matka chciała Dzieciak był śliczny, z pocziwemi

oczami ojca, z zewnym matczynym uśmiechem, ale rzecz dziwna! Syn tych dwojga

ludzi roślących i silnych wąły był, delikatny jak roślinka młoda.

Rodzice rozpadali się też nad nim, oczy ich biegły za nim, gdziekolwiek się

ruszył. Ojciec pokazywał mi jego elementarze i książki z kolorowanymi obrazkami

i chwalił się znowu, że go ostatecznie mały jego Tadzio czytać dobrze nauczył.

Matka opowiadała z radośnym uśmiechem, jak jest pobożny, jak ołtarzyk ubiera w

kwiaty i codziennie rano i wieczór odmawia głośno wspólną domową modlitwę.

Spędziłem z temi pocziwymi ludźmi cały wieczór bardzo miłe i uściskałem serdecznie ich dłonie, zegna-

jąc i obiecując napisać z kraju, gdy wrócę. Wróciłem po roku i niedługo po

powrocie napisałem do St. Gallen, Nie dostałem odpowiedzi.

Napisałem po raz

drugi list polecony: odesłano mi go w parę tygodni z urzędowym dopiskiem:

„Adresat w St. Gallen nieznany”.

Co się stało z Wojciechem Bystrzewskim, co z jego pocziwą żoną i Tadzim ? Nie

wiem. Ale ilekroć myślę o nich, serce ściska mi się boleśnie.

Może los rzucił

ich gdzieś, może wrócił do ojczyzny wygnańca...

Może... Nie sądzę jednak.

Zdaje mi się raczej, że już to ciche, miłe, chrześcijańskie gniazdko rodzinne

zmiotł i zniszczył wichler przeciwny, że nadzieje biednej, szlachetnej Búrgel

zawiodły w końcu, po latach, i że liść oderwany od ojczystego drzewa, znów się

gdzieś tuła po szerokich gościńcach świata, unoszony burzą, co tyle już innych

rozniosła.

Proboszcz skończył swoją powieść i znów siedzieliśmy w milczeniu dokoła

płonącego ognia w kominie, słuchając świstu wiatrów i jęku  
własnych naszych  
myśli. Każdemu z nas nasuwały się wspomnienia podobnych  
przeżytych i  
zasłyszanych historyj, nikt jednak nie odzywał się z niemi, ani  
robił uwag nad  
losami Wojciecha Bystrzewskiego. Tylko nie wiem jak innym,  
przypuszczam jednak,  
że im także, jak mnie, kręciło się po głowie i gryzło w sercu  
pytanie: Dlaczego?  
Słowa ostatnie księdza o liściach, oderwanych z drzewa i  
unoszonych burzą,  
brzmiały jeszcze w naszych uszach. Dlaczego te liście nie  
zielenieją na drzewie  
i z soków ich nie rodzą się pączki nowe,

dlaczego więdną daremnie, deptane przez tłum bezmyślny,  
lub gniją w

błotnistych kałużach? Dlaczego? Dlaczego ?

W ciszy posepnej, przerywanej szumem drzew i łoskotem  
burzy, rozległ się głos  
pana Alfreda.

— Historii twojej, księżo proboszczu, brakuje zakończenia —  
mówił. — Szczególnym

trafem zakończenie jest mi znane, lepiej może jednak byłoby o  
niem nie wiedzieć.

Ksiądz głową potrząsał i ramionami ruszył.

— Wolę najgorszą pewność od przypuszczeń — rzekł smutno.

— A więc dobrze, słuchamy cię, Fredziu — dodał gospodarz.

Pan Alfred odrzucił niedopalony papieros i tak zaczął:

— Przed trzema laty byłem, jak panowie wiecie, sekretarzem  
naszego poselstwa w  
Dreźnie. Ze zaś personal nasz był mały, pełniłem  
równocześnie obowiązki  
kanclerza i konsula i kilka godzin dziennie zmuszony byłem  
poświęcać funkcjom,  
przywiązanym do tego urzędu, bardzo często wcale  
nieprzyjemnym. Wprowadzały mnie  
one w styczność ciągłą z miejscową policją i mnóstwem  
włóczęgów, z istnemi  
szumowinami naszego państwa, wyrzuconemi losem lub  
własną winą z jego granic.  
Razu jednego — w styczniu — bal był w rezydencji.  
O odbyliśmy już cercle monarsze,  
król Albert rozmawiał dłużej z moim szefem, poczem i mnie  
kilkoma słowami  
zaszczycił; królowa Karola rozpytywała mnie o Wiedeń,  
księciu Jerzemu  
wspomniałem coś

o arcyksiężnie Maryi Józefie, jego ulubionej córce... Wreszcie  
skończyła się ta  
oficyalna pańszczyzna — i mogliśmy ruszyć się po  
wspaniałych salach, pełnych  
światła, zwierciadeł, adamaszków, brylantów, złotem szytych  
mundurów i gwiazd  
orderowych. Po godzinie uczułem się znużony tym blaskiem i  
gwarem i poszedłem  
odetchnąć w jednym z bocznych salonów.  
Spotkał mnie tam i zaciągnął do gawędy prezydent policji,  
miły i gładki



człowiek, z którym żyłem dość blisko.  
Mówiliśmy o spodziewanych zmianach w ciele  
dyplomatycznym, o dworskich nowinach  
i miejskich plotkach, o najnowszym toaście cesarza Wilhelma,  
o ostatnim wybryku  
francuskich radykałów, kiedy naraz prezydent przerwał mi.  
przypomniawszy coś.

— Przepraszam pana najmocniej — zawołał — że aż tu go  
nudzę urzędowymi  
interesami, choć ani czas, ani miejsce po temu... Mam jednak  
małą sprawę — pewne  
indywiduum dość podejrzane w aresztach policyjnych.

Człowieka tego przytrzymano  
za włóczęgostwo, ale obawiam się, między nami mówiąc,  
czegoś gorszego. Do  
wschodniej granicy, uważasz pan, chciał się koniecznie  
dostać, a tam obecnie w  
Spaleń dwór się znajduje. Któż wie, co w tem tkwi. Myśmy  
jednak nic z niego  
wydobyć nie mogli, choć ja sam go przesłuchiwałem. Nic nie  
chce mówić, tylko  
wciąż odwołuje się na austriacki konsulat.

— Ma jakie papiery, dowodzące przynależności do nas? —  
spytałem.

— Żadnych — powiada, że zgubił. Pan to już wie — zwykła  
zwrotka tych nicponiów.

W każdym

razie jednak może pan pozwoli przysłać go sobie — zgoda? A  
kiedy? Jutro może,  
żeby czasu nie tracić — dobrze?

Wróciliśmy do przerwanej rozmowy i za chwilę prezydent  
rozvodził przedemną swe  
ubolewania nad wzrostem socjalizmu w Saksonii.  
Nazajutrz koło południa urzędnik manipulacyjny konsulatu  
wszedł do mego biura i  
oznajmił mi, że z policyi przysłano pod strażą jakiegoś  
więźnia. Przypomniałem  
sobie wczorajszą rozmowę, która mi wyleciała z pamięci i  
kazałem wprowadzić  
więźnia samego, zostawiając policyantów w przedpokoju.  
Człowiek był może nietyle stary wiekiem, ale tak sterany  
życiem, że wyglądał na  
lat sześćdziesiąt. Postawę miał ogromną, rozrosłą, ale szedł  
schylony, z głową  
wsiadłą w ramiona wychudłe i oczami, ponuro i bezmyślnie  
wpatrzonemi w ziemię.  
Odziany był w łachmany, palce odmrożone przeglądały przez  
strzępki obuwia, włosy  
i broda na pół siwe, zwichrzone i pokręcone w kudły kosmate,  
zakrywały twarz  
wybladłą i znędzniałą.  
Spytałem go po niemiecku, kim jest i skąd — w języku  
biurokratycznym nazywamy to  
„generaliami." On nic nie odpowiadał.  
— Sam przecie żądałeś, aby cię tu przeprowadzono, a teraz  
nie chcesz nic mówić —  
zawołałem zniecierpliwiony.  
Podniósł głowę i zwrócił do mnie oczy, rozwarte szeroko i  
świecące gorączką.  
— Polak jestem — wyjęknał głucho.

Dopytywałem go o szczegóły. Zdawało się, że waży odpowiedź w myślach.

— Na co to wszystko się przyda — rzekł wreszcie posepnie.

— Ot, nie będę udawał,

prawdę powiem. Skłamałem w policyi, żeby się tu dostać, myślałem, że i tu

wyklamię się jakoś, że mnie konsulat choć bliżej kraju mego odstawi. Ale to było

wczoraj, onegdaj. Teraz rozwaga przyszła, namyśliłem się.

Oszukać nie potrafię.

Inni to umieją, ja — nie. A zresztą — co mi tam już, wszystko jedno!

Ręką machnął i w bok splunął.

Gdybym nawet nie miał żadnej znajomości ludzi — a

kilkuletnie moje obowiązki

nadały mi pod tym względem trochę doświadczenia — nie

mógłbym wątpić ani chwili,

że stoję wobec bardzo wielkiej niedoli, której, czy zawiniona,

czy nie, należała

się litość a jeśli możliwe, i pomoc.

Postanowiłem przede wszystkim wydobyć z tego człowieka jego historię. Na to

trzeba było trafić w jakąś serdeczną strunę.

— Ja jestem także Polakiem — przemówiłem do niego

własnym językiem. — Proszę

mówić ze mną otwarcie i szczerze, nie, jak z urzędnikiem, ale

jak się mówi z

rodakiem. Może uda mi się pomódz, a w każdym razie nie

zaszkodzę, nie zdradzę.

Na martwej twarzy nędzarza błysk jakiś przeleciał, ożywiła się na chwilę.

— To pan Polak ? — powtórzył za mną. — Nie myślałem, nie przypuściłbym. A zkad?

Wdałem się z nim w rozmowę, w sposób zupełnie poufały i  
nie licujący z powagą i  
dystynkcyą

mego stanowiska. Gdyby mnie w tej chwili widział mój  
wykwintny kolega,  
szczypczykami i przez rękawiczki dotykający ludzi poniżej  
barona, a przynajmniej  
Rittera von, radca legacyjny, hrabia Flausenreich, dostałby z  
przerażenia  
sercowego ataku i powtarzałby przez dwa miesiące pod  
sekretem we wszystkich  
salonach, że „diese Polen sind eigentlich alle Demagogen und  
Revolutionare”. Ale  
hrabia Flausenreich o tej porze, jak codziennie, odbywał  
dwugodzinną swą  
tualetę, przy pomocy dwóch służących, dwunastu słoiczków z  
farbami i perfumami,  
niezliczonych grzebyczków, pilniczków, sznurówek,  
poduszeczek i innych tajnych  
dodatków i uzupełnień jego nadwerężonej przez wiek osoby.  
Byłem więc z tej  
strony spokojny i mogłem rozmawiać z moim aresztantem bez  
obawy,  
Ten jednak, po chwili ożywienia, wpadł znów w poprzednią  
martwość i odpowiadał  
niechętnie, półsłówkami.  
— Co po tem wszystkim — mruknął. Nic mi już nie pomoże.  
Niech tam ze mną robią,  
co chcą — może już niedaleko do końca.

Dopiero po długich usiłowaniach wydobyłem z niego wszystko.

Był to Wojciech Bystrzewski.

Dziecko jedyne umarło mu niedługo jakoś zapewne po bytności księdza w St.

Gallen. Żona chorować zaczęła — w nim obudziła się z całą furją dawna, przez lat kilka uśmierzona i tłumiona tęsknota. Porzucił wszystko, żonę oddał na opiekę rodziny jej i w świat poszedł, bez powrotu tym razem.

Siłą nieprzepartą ciągnęło go do swoich, gdy nici głównej, z ogniskiem rodzinnem na obczyźnie wiążącej, zabrakło. Pędził do granicy, przedzierał się przez nią, włóczył wśród miejsc znajomych i ludzi nieznanym, uciekał, wracał. Tak z kąta w kąt rzucały przypadkami losu, błąkał się lata całe, bez zarobku, bez chleba, włóczęga bezdomny, zapijając nędzę i zgryzotę, gdy kieliszka się dorwał. Żonie znaku życia nie dawał o sobie, sam stracił energię, i wolę, i siłę do pracy, do życia.

Mówił mi o tem wszystkim najszczerzej.

Pytałem go, czego by chciał, czem możnaby go wesprzeć, co dla jego ratunku

uczynić? Ręką tylko machnął i potrząsł głową.

— Niczem — rzekł ponuro. — Niema dla mnie ratunku.

Dawniej | był może, pewnie

nawet, że był. Gdybym mógł wrócić przed dziesięciu,  
dwunastu laty... Człowiekiem  
bym został, nie zszedłbym na bydlę. A i potem.. Ot, dziecko  
Bóg wziął — ono mnie  
trzymało; gdyby żyło, możebym przywykł, zapomniał.  
— A żona ? — spytałem. Westchnął ponuro.  
— Żonę Bóg mi dał świętą kobietę. Ale cóż ? Kochałem ją,  
szanowałem, a jednak —  
nie starczyła mi za wszystko. Życie jej zmarnowałem, a swego  
uratować nie dałem.  
Biedaczka — ona za to by własne poświęciła... Wiedziałem o  
tem, a jednak...  
Musiałem ją porzucić i uciekać, musiałem. Ten dyabeł, co  
mnie w sercu szarpie,  
silniejszy był od niej.  
Więcej nie mogłem nic wydostać z niego. Dałem więc  
biedakowi jałmużnę i z  
dyspozycyjnych

funduszków konsulatu i z własnej kieszeni, co mogłem, i  
wyprawiłem. Pieniądzy nie  
chciał brać w pierwszej chwili, potem, gdy nalegałem,  
uśmiechnął się posepnie,  
ramionami ruszając, i schował je w łachman jakiś.  
— Przyda się — szepnął. — Zimą wódka grzeje. Obiecałem  
mu, że w jego sprawie  
zobaczę się  
z prezydentem i naradzę, co dla niego dałoby się zrobić.  
— Niech się pan tam nie fatyguje o to — odparł obojętnie. —  
Za późno już zrobić  
co dla mnie. Ja przepadły człowiek.

Głową mi kiwnął, czapkę oberwaną nasadził i oddychając ciężko, otworzył drzwi.

Na progu odwrócił się do mnie.

— Ot, gdyby pan był łaskaw i chciał mi w czym pomódz, o jedno poproszę...

— Mówcie — odrzekłem prędko. — Chętnie zrobię, jeśli możliwe.

— Czy możliwe, nie wiem, bo to kraj, jak widzę, luterski, ale przecie jest może

jaki ksiądz mojej wiary. Ja u spowiedzi dawno nie byłem, a Bóg wie, czy wiele

tam życia we mnie zostało. Księdza chciałbym mieć.

Upewniłem go, że zaraz napiszę o tem do prezydenta i że jego życzenie zostanie

spełnione. Rzucił mi: „Bóg zapłać!” i znów, zdawało się, twarz mu rozjaśniła się

na chwilę. Potem odszedł.

Nie widziałem go już więcej — raz tylko.

Tego samego dnia posłałem urzędowy komunikat do policyjnego prezydyum, a

równocześnie prywatny list do prezydenta, uspakajając jego obawy co

do biednego włóczęgi, opisując jego losy i prosząc o najłagodniejsze z nim

obchodzenie się i względność. Poprosiłem też zacnego księdza Buka, proboszcza

przy dworskim kościele i spowiednika polskiej kolonii w Dreźnie, aby mego

protegowanego odwiedził w więzieniu i udzielił mu religijnych pociech w tym

języku ojczystym, za którym tak mu było tęskno.  
Chciałem sam widzieć się z prezydentem w tej sprawie i  
poprzeć list mój ustnem  
wstawieniem się za moim nieszczęśliwym rodakiem — ale nie  
dało się to zaraz  
wykonać. W służbie naszej, wiecie panowie, jak się jest — nie  
zawsze może  
zajętym — ale rozerwanym. A to był czas właśnie recepcyj,  
obiadów, rautów,  
koncertów i balów. Więc dopiero w kilka dni później  
spotkałem się z prezydentem  
na jakimś wieczorze.  
— Wiesz pan, co się stało z tym pańskim protegowanym,  
któregoś mi polecił tak  
gorąco? — zawołał, witając się ze mną.  
Nawiasem mówiąc, z wielu głupstw, popełnianych w  
towarzystwie i uznanych przez  
światowy kodeks, nie znam większego, nad takie pytanie.  
Oczywiście, nic nie  
odpowiedziałem.  
— Otóż ten włóczęga musiał być przecie ptaszkiem nielada —  
ciągnął po przerwie  
prezydent. — Wyobraź, pan sobie, zaczął prosić się do  
szpitala. Kazałem go tam  
przenieść. W drodze, sam już nie wiem, jakim sposobem, ten  
łotr drzwiczki  
powozu, zamknięte na klucz, otworzył, strażników pięścią  
ogłuszył i wymknął się  
i szukaj wiatra w polu. W Dreźnie już go niema.



Wyznaję, że składając moją kondolencję prezydentowi,  
miałem w głębi serca  
uczucie pewnej ulgi. Ten biedak był przynajmniej wolny.  
Niewiele to, ale coś  
przecie.

Nie przyszło mi wtedy na myśl, że raz jeszcze los mnie z nim  
sprowadzi.

Niedługo potem dostałem urlop, żeby kraj i rodzinę  
odwiedzić. Stryjowi wiadomo,  
że za Tarnopolem, nad samą prawie granicą, mam majątek, do  
którego raz na parę  
lat dojeżdżam dla jakiej takiej kontroli, żeby przynajmniej nie  
wszystko się  
rozwaląło od razu i żeby mnie nie kradli więcej, niż można  
przyzwoicie przyznać  
przed ludźmi. Otóż, nacieszywszy się siostrami i kuzynkami,  
odłożywszy trzy razy  
wyjazd „na ogólne żądanie”, wyrwałem się wreszcie z miłych  
więzów Zahorowa i z  
uroczej gościnności Brzeżyniec, żeby ruszyć raz do mojej  
podolskiej pustyni, w  
Hawrykowie.

Siedziałem już tam trzy dni, miałem jedną awanturę z rządcą,  
który moim kosztem  
majątek robił i przygotowywał hrabiowski tytuł dla dzieci,  
spekulując na  
odległość Hawrykowa do Drezna; drugą z nadleśniczym,  
który do spółki z  
tarnopolskimi żydkami urządził formalne przedsiębiorstwo  
akcyjne dla trzebień  
Hawrykowskich lasów; trzecią z kucharzem, który zapewne  
dla poparcia interesów

obu tych panów, obiadam swymi robił formalne zamachy na  
moje życie, jednym  
słowem, miałem czas przejść już przez wszystkie wrażenia,  
jakiemi wieś ojczysta  
częstuje na wstępie swoich właścicieli po dłuższym

oddaleniu, kiedy jednego ranku wpada do mnie mój strzelec z  
wystraszoną miną.

Wiecie panowie, że strzelec to u mnie lux a non lucendo, bo  
nigdy nie poluję.

Takie to już moje kalectwo. Siedzę tedy sobie w szlafroku w  
mojej sypialni, kawę

piję i przeglądam nadeszłe właśnie z poczty gazety, aż tu we  
drzwiach pokazuje

się twarz mego Jurka, cała blada.

— Cóż tam znowu, pytam niechętnie, bo mi przerwał w  
najciekawszym miejscu.

— Niestety stało się, proszę pana — woła, zadychając się.

— Cóż tam znowu za nieszczęście — powiadam — pali się,  
czy co ?

— Nie, ale jakiś człowiek nieżywy.

Człowiek nieżywy nie jest ostatecznie żadną osobliwością —  
w tonie jednak mego

Jurka mieściło się więcej, niż w słowach. Zerwałem się tedy i  
wychodzę. W

sieniach stoi cała kupka dworskich ludzi dokoła leśniczego,  
który opowiada coś,

rozmachując rękami.

— Zbliżam się ja więc powoli, ostrożnie, — ciągnął swe  
opowiadanie mój

Hałajdowski — przyglądam: wyraźnie coś wielkiego czernieje  
na śniegu. Myślę  
sobie: coby to być mogło? Gdyby tak w Stryjskiem, w  
Kołomyjskiem, myślałbym, że  
niedźwiedź, ale do nas przecie maruszka by nie zapędził.  
Dzik? także chyba nie.  
Cóż więc? Podchodzę bliżej: Jezus, Marya! człowiek. Trzęsę  
go — a on już  
skostniał dawno, jak kłoda, i zęby mu świecą wyszczerzone z  
pod lodowych sopli,  
które okryły go w nocy całego. Trup

jednym słowem, trup, i to Bóg wie od kiedy, może od  
tygodnia i więcej.

— A jakże go pan leśniczy znalazł — odzywa się kucharz —  
czy leżał rozciągnięty  
?

— Boże chroń! Siedział sobie pięknie pod drzewem i patrzył  
w stronę Zbrucza,  
gdzie granica idzie. A ślepia miał takie otwarte, straszne,  
szkliste, aż we mnie  
zadygotało wszystko, gdym w nie spojrział.

— I tam go pan zostawił?

— A jakże. Nie można inaczej. Ja to wiem przecie. Komisya  
musi obejrzeć,  
protokół zrobić — potem dopiero pochować można.

— Pewnie, że tak — wtrącił ekonom. Bóg jego wie, co za  
człowiek, z kąd, jaką  
śmiercią zginął. Zbadać trzeba.

— Może morderstwo...

Przeszkodziłem dalszej rozmowie, wchodząc do sieni. Za chwilę małymi sankami jechałem z Hałajdowskim na miejsce graniczne, w którym znalazł trupa.

Nie. Choćbym sto lat żył, nigdy go nie zapomnę, nieszczęśnika, w straszliwej, ostatniej jego postaci, w tej, w jakiej stanął na sąd swego Stwórcy. Te same łachmany okrywały go, w których przed niewielu dniami przywłókł się do mnie w Dreźnie. Nogi tylko prawie bose były i pod grubą warstwą błota i lodu, krwią skrzepłą i strupami okryte. Siedział oparty o drzewo, z twarzą zwróconą w tę stronę, do której rwał się i tęsknił przez życie całe. Prawą rękę schowaną miał w zanadrzu i zaciśniętą silnie.

Wyjąłem z niej pakiecik i rozwinąwszy, złożyłem napowrót i wsunąłem w dłoń skostniałą, aby poszedł do grobu z umarłym. W pakieciku był stary szkaplerz, medalik zaśniedziały, pukiel jasnych dziecinnych wdosów i osobno zwinięta, w proszek rozsypana odrobina czarnej ziemi.

Z CIĘŻKICH DNI.

Wspomnienie szkolne.

Pani Zofii Starzyńskiej.

Mówiono o tem od roku Pamiętam jak dziś: pierwszą  
pogłoskę przyniósł do klasy  
Włodek Kobierski. Jako syn marszałka szlachty, był on  
między nami pewną powagą,  
choć ojca jego od paru lat usunięto z urzędu. On przynosił  
nam zwykle  
najciekawsze nowiny, zasłyszane w domu, wierzyliśmy w nie  
święcie, choć  
śmieliśmy się przytem — niewdzięczni! — z naszego  
informatora i jego uroczystej  
pozy, a opowiadania o stosunkach ojca z Moskalami nieraz  
nas gorszyły i  
gniewały.  
Tego dnia wpadł zadyszany, pięć minut przed dzwonkiem,  
choć zazwyczaj się  
spaźniał. Od progu klasy zaczął nam robić tajemnicze znaki za  
plecami  
nadziratela.  
Oczy kolegów zwróciły się ku niemu ze wszystkich stron,  
pytające niespokojne.  
Dni te pełne były jeszcze straszliwych wspomnień niedawnej  
burzy — nowe klęski  
przychodziły bez ustanku, gorszych jeszcze obawiano się,  
oczekiwano co chwila.  
Żyło się w podnieceniu ciągłym, w strachu, w gorączce. I my,  
choć bardzo młodzi,

odczuwaliśmy i rozumieli to, co się działo w koło nas.  
Zamiast myśleć o piłce,  
cukierkach lub koniku, zamiast płatać figle studenckie i  
rozpalać się do  
amerykańskich awantur myśliwskich Coopera i Meyne  
Reade'a, myśmy wsłuchiwali się  
ukradkiem w rozmowy starszych i powta-

rzali szeptem gorączkowym, z dodatkami dziecinnej  
wyobraźni, najświeższe wieści  
o prześladowczych ukazach, o zsyłkach, o zamykaniu  
kościółów, o coraz to  
sroższym ucisku w szkołach.  
I teraz nikomu z nas nie przyszło na myśl, że Władek  
Kobierski zechce nam może  
opowiedzieć o kupionym mu przez ojca koniu albo o  
doskonale zapowiadającej się  
ślizgawce. Co nas to wówczas obchodziło? Czy nam dawano  
być dziećmi?  
— Cóż tam się stało? Co zrobili? Kogo znowu wywieźli?  
Gadaj prędzej, nim Nus  
wróci?  
Pytania te krzyżowały się przytłumione, kipiące ciekawością,  
w chwili gdy  
nadzirek wyszedł na korytarz, aby krzyknąć na włóczących  
się tam uczniów i  
zapędzić ich do klas. Był to wysoki, ospowaty jegomość, z  
fioletowym nosem,  
błękitnymi okularami w srebrnej oprawie i rudymi  
faworytami, sterczącymi jak

dwie szczotki. Ubierał się w mocno wyszarzany wicemundurowy frak, ze złotymi niegdyś guzikami, i co drugie słowo powtarzał moskiewskim obyczajem „nus!” Ztąd pochodził jego przydomek. Korzystając z nieobecności szkolnego cerbera, Władek przechylił się na pół przez swoją ławkę, usta z dwóch stron przysłonił, żeby go lepiej słyszano i zaczął szeptać półgłosem, urywanymi zdaniami.

— Religia będzie po moskiewsku.

— Jezus Marya! — wydobyło się naraz ze wszystkich ust.

— Cicho tam — krzyknął z korytarza Nus. Przycichliśmy na chwilę ale z ponad naszych zeszytów mieliśmy wszyscy oczy podniesione na Władka.

Ten schował się na chwilę, potem powoli zaczął znów podnosić się, patrząc w stronę drzwi otwartych i palec trzymając na ustach. W naszej klasie byliśmy wyjątkowo szczęśliwi. Mieliśmy wśród nas tylko trzech. Moskali i ci, szczerze czy nie, ale z nami trzymali. Szpiega nie było ani jednego.

Władek szeptał dalej.

— Księdza kapelana mają wywieść, bo nie chciał przystać na moskiewski katechizm.

I to jeszcze!

Księdza kapelana Wierzejskiego — w Galicyi powiedzianoby: katechety — nie

bardzo, co prawda, lubiliśmy. Był to człowiek już niemłody,  
wyschły jak trzaska  
i łysy jak kolano. Miał też chorobę wątroby i od czasu do  
czasu jego pergaminowa  
twarz robiła się żółta, jak szafran, a humor stawał się  
zgryźliwy i ciężki, jak  
piołun. Mówił pięknie. Nieraz zasłuchiwaliliśmy się i  
wpatrywali jak w tęczę w tę  
brzydką, przekrzywioną postać, która rozjaśniała się dziwnym  
ogniem, gdy  
odbiegając od książki i przedmiotu, zaczynał nam opowiadać  
o bohaterach  
chrześcijańskiej cnoty i ofiary, albo szerokimi promiennymi  
rysami rozwijał przed  
nami obrazy z wielkiej karty dziejów. Nieraz jednak bywało  
inaczej. Ksiądz  
przychodził rozstrojony, chory — zaczynał pytać i to nie  
ostatniej lekcji, ale  
gdzieś z przed kilku miesięcy; za najmniejsze słowo  
nieumiane krzyczał i łajał,  
gorzej jeszcze: nie zważając na wiek i klasę, targał za  
czuprynę, rwał za uszy i  
drżącą ręką nabazgrawszy złowrogie hieroglify, z kartką  
odsyłał do kancelaryi

na obrachunek z panem inspektorem. Trudnoż go było lubić.  
Tylu z nas i tyle razy  
dostało w skórę od niego lub z jego przyczyny!  
Miał przytem szczególny zwyczaj. Kiedy który z nas lekcji  
nie umiał, brał go za  
ucho i do otwartej książki twarz mu prawie przytykał:



— Co to jest, czytaj — wołał nakazująco.

Chłopak bąkał płaczliwym głosem tytuł podręcznika:  
katechizm, historia biblijna  
albo kościelna.

— A dalej, dalej — wołał ksiądz, szarpiąc ucho nielitościwie.

— Dla... uczniów gimnazjalnych.... wyznania... rzymsko...  
katolickiego .. —

kończył już z płaczem delikwent.

— Aha, aha, rzymsko-katolickiego, to jedno. A po jakimuż to  
pisane, po jakimu  
?

— Aha, po polsku, to drugie. To ty hultają tego się nie  
uczysz? Katolickiej

wiary? I po polsku? To wolisz może tak? (Mówiąc to,  
wskazywał palcem rosyjskie

napisy na mapie wiszącej nad katedrą.) A może lepiej jeszcze  
tam? (I znów palec

jego zwracał się w stronę auli, gdzie niewielka garstka  
uczniów należących do

panującej narodowości słuchała wykładów swojej religii.) Tak  
wolisz? Tam wolisz?

I myślisz może, żeś wart być katolikiem — Polakiem?

Każdemu z zapytań towarzyszyło bolesne targnięcie za ucho  
lub boleśniejsze

uderzenie trzcina. Nazywaliśmy to pytkami księdza Cytryny.

Tym razem jednak mieliśmy jasne puczucie, że bez tego  
srogiego księdza Cytryny

byłoby źle, i naraz nielubiony kapelan urósł w naszym pojęciu.  
Jakby

nam ktoś w jednej chwili oczy otworzył, zrozumieliśmy co  
znaczyły owe bolesne  
pytania, które jednym wyciskały tyle łez, drugich tak często  
pobudzały do  
śmiechu. Pod jego dziwaczną i szorstką skorupą,  
zrozumieliśmy starego księdza i  
po raz pierwszy uderzyły ku niemu nasze młode serca. I kiedy  
przyszedł  
nazajutrz, żółty i skwaszony, nie zważaliśmy na nic i  
zapominając o porządku i  
karności, rzuciliśmy się do niego wszyscy, chwytając go za  
ręce i całując.

Zrozumiał. Oczy mu się zwilżyły. Stał przez chwilę  
nieruchomy, potem odsunął nas  
z lekka od siebie.

— Dosyć, dosyć już, dzieci moje — rzekł drżącym trochę  
głosem. — Idźcie na  
miejsca. I... bądźcie spokojni na teraz. Jeszcze wszystko  
zostało, jak było.

Ale... módlcie się, módlcie.

I zaczął jak zwykle pacierz. Ale skończywszy, zamiast  
przeżegnać się dodał:

— Teraz jeszcze na wiadomą intencję pomódlmy się do  
Matki Najświętszej,

Pocieszycielki strapionych: Pod Twoją obronę...

Odtąd mówiliśmy we wszystkich klasach tę dodatkową  
modlitwę przy każdej lekcji

religii — ale nikt z nas nie pytał, na jaką intencję ją mówimy.

\*\*\*

— Jak ty myślisz, Stefek — zapytał mnie raz mój najlepszy  
przyjaciół, Julek

Sieradzki — zostanie nasz Cytryna, czy nie?

Siedzieliśmy we trzech z Julkiem i Jasiem Kiersztowtem w ogródku małego dworku, w którym moja matka zamieszkała od czasu, gdy zacząłem chodzić do szkół. Od owego dnia, w którym Władek przyniósł nam złą wiadomość o księdzu Wierzejskim, upłynęła już większa część roku — przeszły szczęśliwie egzamina, przeszły i wakacje. Jesień była późna, ale ciepła jeszcze i bardzo pogodna. W powietrzu pachniało resztkami kwiatów, wśród żółtych liści czerwieniały dojrzałe jabłka, mieniły się śliwki błękitne i purpurowe, od drzewa do drzewa ciągnęły się, srebrem lśniące w słońcu, włókna pajęczyny. Byliśmy już w szóstej klasie — ale tylko Jaś miał w całej pełni poczucie powagi i wyższości. Mnie trzeba było o tem przypominać, a co Julek, to z tego był jeszcze zupełny trzpiot, gorszy od pierwszoklasistów. Nie miałem czasu odpowiedzieć Julkowi. Uczynił to za mnie Jaś i to przybrawszy swą najbardziej urzędową i sztywną minę. — Przedewszystkiem pozwól sobie powiedzieć, mój Jasiu — zaczął — że mógłbyś już raz dać pokój temu niesmacznemu przyzwyczajeniu. Julek zrobił pociesznie żalowaną minę. — Już zaczyna — jęczał, zwracając się do mnie i krzywiąc się niemiłosiernie. —

Co ja tobie zrobiłem człowiecze, że mnie znowu chcesz  
kazaniem traktować? Czy  
myślisz, że to smaczna potrawa, co?  
— A czy ty myślisz o tem, że już nie jesteś w proformie i że  
czas dać pokój  
błazeństwowom?  
— Myślę, dalibóg myślę. Co dzień postanawiam sobie, że  
będę starał się mieć  
rozum.

— I co pięć minut, nie, co pięć sekund głupstwo pałę.  
— Mea culpa, mój Jasiu — tłumaczył się, mrugając do mnie i  
szturkając w bok  
Julek. — Już się poprawię. Księdza kapelana kocham, szanuję  
— ale Cytryna —  
Cytryną. Jakżeż ją nazywać ni ztąd ni zowąd Wierzejskim?  
Gdybyś choć na  
pierwszych parę tygodni pozwolił przezwać go Pomarańczą  
— człowiek  
przyzwyczaiłby się łatwiej.  
— Łobuz z ciebie niepoprawny — ofuknął z gniewem już Jaś.  
— A sam przecież  
gardłowałeś za tem, żeby księdza nie przezywać.  
— Gardłowałem, gardłowałem. Ja zawsze do gardłowania  
pierwszy. Mam oczy zresztą  
i widzę, że ksiądz Moskałom kością w gardle stanął —  
jakżebym był przeciw niemu  
?  
— A widzisz! A Moskałom chodzi właśnie o to, żeby nas  
przeciw niemu buntować —  
rzekł udobruchany już Kiersztowtt.

— Pewnie, że chodzi — odparł z zapalem i zupełnie seryo Julek. — Uważaliście, co mówił na historyi Jewstafij Gawryłowicz o despotyzmie i okrucieństwie

katolickiego kleru? Wprost na niego mierzył.

— A Zdziś Broniewicz opowiadał mi dziś rano, że u nich w siódmej Wasil Nikitin otwarcie i gwałtownie księdza kapelana zaczepiał, mówił o jego znęcaniu się nad młodzieżą i w imię „humannosti” wzywał uczniów, aby mu się opierali i skarżyli na niego przed dyrektorem.

— Padlec! — krzyknął Julek.

— Pewnie że padlec — potwierdził poważnie \_ pomyśl jednak tylko, czy my sami nie daliśmy

powodu Moskałom do takiego gadania, drażniąc księdza, nie ucząc mu się i skarżąc z racją i bez racji na jego grubiaństwa i surowość.

Julek skrzywił się i za ucho schwycił.

— Oj, bez racji! — jęknął. — Bodaj to prawda. Ciekawy jestem, jaka to racja była posyłać mnie tyle razy z kartkami do Leontija Siergiejewicza?

Gadaj co chcesz,

ksiądz zacny człowiek, najlepszy dowód, że Moskale go nie cierpią i gryzą — ale

mógłby mieć lżejszą rękę! I gdyby choć sam — ale co tych piątek i dziesiątek,

które przez niego dostawałem w kancelaryi, to niech mu Pan Bóg nie pamięta !

Sprawiedliwość kazała mi się wmieszać do rozmowy.  
— Już to przyznaj, Julku mój — rzekłem — żeś wszystko  
robił, co mogłeś żeby  
starego wyprowadzić z cierpliwości. Przypomnij no sobie  
tylko, jakieś mu  
powiesił na sznurku cytrynę nad katedrą, albo wtedy, kiedyś  
miał lekcję wydawać  
i za plecami małpowałeś wszystkie jego ruchy.  
— A nie kładliście się wszyscy od śmiechu?  
— Kładliśmy się — i ciebie, pamiętasz, położyli, choć  
przypuszczam, żeś wtedy  
nie śmiał się. A może i to było niesprawiedliwie?  
Julek się zniecierpliwił. Zdarzało mu się to zwykle, gdy już  
nie miał  
argumentów.  
— Et, dalibyście mi już raz pokój — sarknął. Uczepilibyście  
się mnie jak pijawki  
ze swoim kocha-

nym Cytryną, przepraszam, kapelanem, i żyć nie dajecie. A  
tymczasem ja jeszcze  
odpowiedzi nie mam. Zostaje nasza Pomarańcza, czy nie?  
— Pewnie że nie — odparł z namysłem Jaś. — Nie wiesz to  
co gadają? W M. i w G.  
już uczą od początku roku po moskiewsku, z S. kapelana  
wywieźli. I tego nie  
zostawia, bądź spokojny!  
— A on z pewnością nie zgodzi się po moskiewsku uczyć?  
Oburzyliśmy się obaj.  
— Co ty gadasz — zawołał Jaś, czerwieniejąc cały. — Ksiądz  
Wierzejski! Nie znasz

go chyba...

— A przecież tyle razy słyszałeś od niego: „Wolisz tu? Wolisz tam?” Może nie? —

zapytałem, uśmiechając się.

— Tak, tak, pewnie — rzeki Julek, — Ale bo to widzicie, jeżeli go zabiorą i wywiozą, to, to...

— To co?

— To naprawdę żal mi będzie bardzo poczciwego, kochanego Cytryny.

Nastała chwila milczenia. Przerwał ją głos Władka.

— Stefek jest? W ogrodzie? Jest z nim kto?

Wpadł jak zwykle spocony, z rozpiętym mundurze, który choć nowy, miał już plamę

na czerwonym kołnierzu i jeden złoty guzik napół oderwany.

— Mam wam coś okropnie ważnego powiedzieć, wołał od proga, swoim zwyczajem. —

Ale — dodał ciszej — nikt nie podsłucha?

— Bądź spokojny — odparłem, witając się z nim i sadzając go między nami. — Cóż to takiego?

Władek odetchnął głębiej, potem zaczął mówić przytłumionym głosem, nachylony ku nam.

— Wiecie, że mój ojciec musi bywać w moskiewskim towarzystwie, choć marszałkiem już nie jest, ale zrozumiecie dobrze.... Stanowisko jego wybitne, oczy mają na niego zwrócone i w razie czego... Zrobił znaczący gest.

— Wiemy, wiemy — przerwał Jaś, którego irytowało, ile razy Władek podkreślał stanowisko i wpływ ojca, a zdarzało się to istotnie nadto często.

— Otóż wyobraźcie sobie — był wczoraj jakiś wieczór u prokuratora. Imieniny czy tam dyabli wiedzą co. Ojciec przychodzi, widzi — Moskali jak mrowia. Są i nasi.

Dyrektor, Leontij Siergiejewicz, Wasilij Nikitin...

— Jednym słowem cała gimnazjalna psiarnia — przerwał Julek.

— Cicho, uważaj co mówisz — syknął Władek, oglądając się.

— Gotów jeszcze kto

podszuchać. Otóż wyobraźcie sobie, ojciec siedzi przy preferansie vis-a-vis z

dyrektorem. Oczywiście, próbuje gawędzić, śmiać się, żartować...

— Błaznować — wtrącił bardzo cicho niepocziwy Julek, którego uciszyłem w tejże chwili mocnym szturkańcem w bok.

— Ale dyrektor zły, milczący, ani sposób wydusić co z niego.

— Tem lepiej, bo i po co ? — mruknął Jaś.

— Po co? Jako po co? No, choćby i dla mnie. Zawsze to, rozumiecie, stosunki potrzebne...

— Dyabła tam potrzebne stosunki z Moskalami, przerwał znów Julek.

— Jeśli mi będziesz ciągle przeszkadzać, nie powiem nic więcej, rzucę wszystko i pójdę! — krzyknął Władek, zaczerwieniony jak piwonia



Uspokoilem go jak mogłem, a Julkowi zagroziłem że mu nie dam odpisać rosyjskiej kompozycyi, po którą przyszedł, jeśli nie będzie cicho siedział. To pomogło.

Władek ciągnął dalej.

— Mówiłem więc, że dyrektor był zły. Ale jak zły! Co ojciec zacznie mówić, on

tylko kiwa i mruży po swojemu jak w szkole!

— Mu-u-u — naśladował Julek.

— Znowu ? — upomniałem go surowo.

— Już siedzę cicho, już mnie nie ma — tłumaczył się, ręce składając błagalnie i udając, że chce płakać.

— Pod koniec party i pyta wreszcie ojciec: „O co chodzi Waszemu

Prewoschoditielstwu? Dla czego tak źle „raspołożony?” Ten zaś, wyobraźcie sobie,

niewiele myśląc odpowiada, że Ja was poczienniejszy

Bolesławie Henrykowiczu

szanuję wysoko, ale nie weźcie mi tego za złe, wasi Polacy, to naród łaski

carskiej nie warty, rewolucyoniści jeden w drugiego i

niezapomniany Michał

Mikołajewicz Murawiew miał rację, mówiąc jeszcze w

Wilnie, że z nimi dojść do

czegoś można tylko „szytkom da knutom”.

— A to bestya — przerwał Jaś. — I cóż ojciec na to?

— Trzasnął go w papę, co ? — zawołał Julek.

— Zwaryowaliście chyba. Udał, że się śmieje i w żart to obrócił, mówiąc, że

chyba nie wszyscy. Co wam się zdaje? Z Moskałem sprawa:  
Mus!

— A to.. — zaczął Julek, ale pod krzyżowym ogniem moich  
spojrzeń i Jasia,  
zamilkł, odwrócił się tylko i splunął.

— Myślicie, że go ułagodził. Gdzie zaś ! Dostał tylko nowy  
komplement, że kto z  
Polaków dobry, niech odrazu uczciwie stanie się Moskałem i  
prawosławnym, a  
reszta warta tego tylko, aby ją w harmatę nabić i wystrzelić.

— Miał za swoją grzeczność — szepnął Julek.

— Wtedy ojciec już nie wytrzymał, obraził się i... —

Nareszcie — rzekł Julek. —

I co ?

— I odszedł, nic nie odpowiedział.

— A... tak!

— Wtem, wyobraźcie sobie, zbliża się do niego swoim  
drobnym krokiem po cichutku,  
ze słodziutkim uśmiechem...

— Leontij Siergiejewicz, oczywiście, najczcigodniejszy i  
miodopłynny inspektor,  
alias Lis bez ogona — dokończył Julek.

— Oczywiście, że on. Zbliża się i bierze go na stronę.

„Najdroższy Bolesławie  
Henrykowiczu, powiada, wy jesteście tak zacni, tak rozumni,  
tak dla nas  
życzliwi...”

— Reszty duserów Lisa bez ogona domyślamy się —  
zauważył Julek — opuszczaj i idź  
dalej.

— Jak będziesz ciągle przeszkadzać, to całkiem nie pójdę —  
obruszy! się  
Kobierski.

— No, no, nie gniewaj się i prosequere! — ułagadzał go poważny Jaś.

— Otoż Leontij Siergiejewicz tak mówi dalej: „Wy nie raczcie się gniewać,

najszanowniejszy Bolesławie Henrykowiczu, na naszego przezacnego Spiridyona

Timofiejewicza. Oni teraz podrażnieni bardzo i słusznie.

Pomyślcie tylko, teraz

świeżo, z powodu trzydziestolecia służby, spodziewali się z pewnością Anny na

szyję a wiecie co dostali? Włodzimierza, głupiego

Włodzimierza i to na pętelce.

To gorzej jak nic, hańba, wstyd. Dyrektor z Mińska dostał Annę, a dyrektor

grodzieński Stanisława drugiej klasy. A wiecie kto dostał

Włodzimierza razem z

Jego Przewoschoditielstwom? Tfu, powiedzieć paskudnie — stołonaczalnik w

kancelaryi kuratora naukowego okręgu".

— To to dlatego nam nie kazali winszować dyrektorowi, kiedy order nadszedł —

wtrącił Julek.

— A dlatego. Słuchajcie dalej Leontija Siergiejewicza Cała ta przykrość i zła

dola pana dyrektora z czego pochodzi? Z księdza

Wierzejskiego. Kto temu winien?

Ksiądz

— Ksiądz? — powtórzyliśmy we trzech ze zdziwieniem.

— To samo zapytał i ojciec, a ten mu odpowiada, że nikt inny tylko ksiądz, bo

nie chce zaprowadzić moskiewskiego języka przy nauce religii, tłumacząc się, że nie ma rozkazu nie tylko od biskupa, ale nawet od ministra. Na to ojciec: To niechby minister wydał rozkaz!" „A, bój się Boga, batuszka, odpowiada Lis; też to o to właśnie chodzi, żeby to się zrobiło tak... samo... rozumiecie, bez nakazów, bez

presyi, ot tak, z ciepłego serca dla matuszki Rassii. I widzicie — tak to się zrobiło w Mińsku. Tam sławny ksiądz! On i kazania w kościele po rosyjsku mówi. Ot dyrektor i szczęśliwy, że ma takiego młodca! Za niego to on i Annę dostał na szyję. A nasz, biedniaczka! i kuje i kuje swego popa - ani rusz. Nie ma rozkazu, powiada Ale jaki tu rozkaz! To przecie wiadomo, że życzenie jest i wysokoprewoschoditelstwa kuratora i samego ministra i nawet najmiłościwszego naszego batuszki gasudaria. A nam co, rabom Bożym i carskim? Słuchać i tyle. I on, pop przeklęty, nie chce. Na piśmie chce rozporządzenie dostać, isz jewo!" — Tak się aż rozsierdził miódopłynny Lis bez ogona? — Jakbym go słyszał i widział, słuchając ojca. Otóż teraz przychodzi węzeł sprawy „Pomóżcie nam, mówi, przezacny Bolesławie Henrykowiczu. Wdzięczny wam

będzie Jego przewoschoditelstwo do śmierci, a w razie potrzeby, interesu...  
rozumiecie. Ręka rękę myje. Generał-gubernatorowi dołoży się..."

— Padlec! — krzyknął Julek po raz drugi.

— Czegoż chciał? — spytał Jaś.

— „Idźcie, mówi, do tego księdza i przedłóżcie mu, wytłumaczcie, niech siebie nie gubi i nam nie szkodzi. Nie zechce po dobrej woli, to będzie musiał, a nie, to pójdzie i to nie tam, gdzie zechce, o nie, dalej, dalej. Więc po cóż certować się, bałamucić? To kwestya kilku miesięcy. Tak, czy tak, język państwowy musi być wprowadzony do nauki religii, czy kto chce, czy nie. Polskiemu w szkole musi być położony koniec. Więc on nic nie uratuje, niczemu nie

przeszkodzi A jeżeli sam, dobrowolnie przyjmie wykład rosyjski i wileńskie podręczniki — to upoważniony jestem zapewnić mu złoty krzyż na szyję, albo Stanisława, do wyboru, no i „pasobie" roczne pięćset, sześćset, jakby się targował to i tysiąc rubli. A co, nie pięknie?"

— Prawdziwie po moskiewsku — zawołał Julek.

— Cóż ojciec na to ? — spytałem.

— A cóż, poszedł dziś rano do księdza.

— Poszedł?

— I wrócił z niczem. Jeszcze go Cytryna wyłajał, choć, jak to mówią, posłów nie

ścinają, ani wieszają. I cóż ztąd, mówi, że jak mnie nie stanie,  
znajdzie się  
jakiś łajdak, sprzedawczyk, co za judaszowy grosz odda na  
pastwę język ojczysty  
i sumienie tych dzieci? Zawsze byli i są zbrodniarze na  
świecie. Ale, powiada  
ojciec, jak księdza zabiorą, przyjdzie gorszy. — Tem cięższy  
będzie miał  
rachunek przed Bogiem. — Ja za siebie tylko odpowiadam  
Bogu przyrzekłem, że dla  
Jego chwały na dobrych synów rodzinnej ich ziemi  
wychowam te dzieci, nie złamię  
przysięgi. Mogą mnie przemocą zabrać, zamknąć, zgnieść —  
sumienia wziąć sobie  
nie dam, nie dam religii na narzędzie moskwicenia i schyzmy.  
— Brawo! kochany, zacny ksiądz kapelan — zawołaliśmy  
razem.  
— Kochany i zacny, pewnie — zauważył Władek — ale co  
będzie z nim, co z nami,  
gdy go zabiorą ?  
Siedzieliśmy tego wieczora bardzo długo razem w ogrodzie,  
aż zrobiło się  
zupełnie ciemno i wśród

gąszczu drzew zaczęły się przedzierać czerwonawe, jak  
odbłysek łuny pożarnej,  
promienie wschodzącego księżyca. Mówiliśmy o tem samem,  
o czem równocześnie z  
nami musiały myśleć i mówić tysiące polskiej młodzieży: o  
jutrze groźnem i złem,

jakie czekało nas wszystkich, a przede wszystkim naszą szkołę.

Ksiądz Cytryna, zmienił się tymczasem zupełnie. Przede wszystkim w wykładzie. Zamiast dogmatyki przechodził dzieje pierwszych chrześcian, malował ciepłym, barwnym słowem katakumby i krwią zbryzgane pretorya, albo też opowiadał godzinami całemi o cywilizacyjnych i apostołskich zagonach naszego narodu na pobrażach Dźwiny i Dniepru. Od czasu do czasu jednak padało z ust jego jakieś słowo napół tylko wyraźne, które my rozumieliśmy doskonale: jakaś przerośnia, aluzya, porównanie, w których czytaliśmy: męczeństwo unii, Sybir, roty, katorga. I serca nam bić zaczynały, i w oczach zaczynało się palić, a ksiądz urywał i mówił znów o tem, jak chrześcianie śmiercią cichą Rzym zwyciężali i jak z krwi męczeńskiej schodził posiew wyznawców krzyża na świat cały. Zmienił się też ksiądz i w stosunku do nas. Nawet w pierwszej klasie nie brał za uszy, nie łajał, nie zapisywał pałek i dwójek. Czasem zachnął się ze starego przyzwyczajenia, ale zaraz się mitygował. — Niedługo mi już między wami, dzieci moje — mawiał. — Zmuszałem was do pracy, giałem, nie za-

łując, do obowiązku, poki był czas. Teraz skończyło się. Już mi nie siać więcej w głowach waszych, jeno przez krótką chwilę jeszcze — w sercach. Nie będę już więc dawnym złym, ostrym i kwaśnym profesorem; chcę żebyście pamiętali o swoim starym księdzu, jako o tym który was kochał i dobry był. I był dobry, bardzo dobry dla nas. Chodziliśmy do niego teraz do mieszkania prawie codziennie. Dawał nam wszystkim krzyżyki, różańce, książeczki. Starszym, zaufanym dawał czasami te ostatnie ukradkiem, grożąc palcem na nosie i szepcząc: „Tylko cicho z tem!” Na pierwszej kartce brakowało: „Dozwoleno cenzuroju”. Ach! jak myśmy go teraz kochali A tymczasem dni szły za dniami. Zima tego roku zaczęła się wcześniej. Pamiętam jak dziś na dzień Zaduszny spadły śniegi ogromne, tak, że trzeba było drogę sobie przez zaspy torować, przechodząc ulicą. Lekcyi przez pierwsze dwa dni listopada, dla katolickiej większości uczniów świąteczne, nie przerywano. Odpadły tylko godziny religii. Nazajutrz ksiądz miał u nas pierwszą lekcję o dziewiątej. Byliśmy zebrani przed dzwonkiem, wiedząc, że nie cierpiał opóźnień, kiedy do klasy wszedł Nus i zajął miejsce na katedrze. Zdarzało się to zawsze, ile razy który z nauczycieli nie przyszedł na lekcję.



— Co się księdzu stało? Czy chory? — przebiegł szept między nami.

— Ciszej tam, panowie, ciszej proszę — rozległa się gromka komenda nadziratela.

Nas jednak niepokój ogarnął. Choć chorowity bardzo, ksiądz nie opuszczał nigdy swoich godzin.

— Lekcyi religii i tak macie mało, a one jedne uczą was tego, co najważniejsze, najświętsze w życiu — mawiał — one jedne mogą być dla was dźwignią i otuchą w dalszem życiu, w jego pokusach i niebezpieczeństwach. A potem, toż przecie jedyne godziny, w których wasz język słyszycie, mówicie, uczycie się nim.

Musiało być więc coś niezwykłego, skoro nie przyszedł.

Niezwykłym było i to, że

Nus, zajmując profesorskie miejsce, nie wspomniał o przyczynie zastępstwa.

Czynił to przecie zawsze.

Gubiliśmy się w domysłach i szeptom nie było końca.

Zaledwie jednak

rozpoczęliśmy czytanie głośne. Gogola, które z rozkazu Nusa zapelnąć miało

godzinę, gdy drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Z korytarza przez chwilę doszedł nas gwar głośnej, podniesionym tonem

prowadzonej rozmowy. Poznaliśmy głos księdza i Leontija Siergiejewicza,

inspektora. Urywki mogliśmy zrozumieć.

— Raz jeszcze ostrzegam pana przed następstwami jego kroku  
— zaczął drżącym z  
podrażnienia tonem inspektor. — Jewo prewoschoditielstwo  
Spiridyon Timofiejewicz  
zabrania panu, polecił mi wstrzymać, niedopuszczyć zetknięcia  
się z nimi...  
— Jakiem prawem? — rozległ się głos księdza, stanowczy ale  
spokojny. — Gdzie  
rozporządzenie? Wzywają mnie do Wilna ? Dobrze, pojedę,  
Ale nim pojedę, jakim  
prawem śmie pan dyrektor wstrzymywać mnie w spełnianiu  
obowiązków, które  
przecież

sam rząd mi powierzył? Jestem nauczycielem, mam tu  
godzinę — moją rzeczą ją  
odbyć — i odbędę.  
— Ale to bunt, to obraza naczalstwa!  
— Nie, to wykonywanie prawa, jakie mi naczalstwo dało.  
— Ależ pan wiesz dobrze, że dalej nie będziesz kapelanem...  
— Jeszcze nim jestem... i dlatego właśnie, że jutro już nie  
będę, chcę i muszę  
pożegnać moje dzieci. A pan, spróbuj wstrzymać mnie, jeśli  
potrafisz!  
Mówiąc to, ksiądz Wierzejski był już w klasie. Powstaliśmy,  
nawet Nus zerwał się  
machinalnie z katedry. Ksiądz podszedł do niej i zajął swe  
miejsce, lekkim,  
trochę pogardliwym ruchem usuwając nadziratiela.  
— Możesz pan sobie odejść — rzekł mu sucho.

Nus osowiały wzrok rzucił na inspektora, pytając. Ten ramionami tylko ruszył i kułaki zacisnął z widoczną wściekłością.  
— Na waszą odpowiedzialność — mruknął — na waszą...  
I skinąwszy na Nusa, wyszedł z nim razem, drzwi zatraskując za sobą.  
Ksiądz siedział przez chwilę, patrząc na nas. Myśmy oddech w piersiach zaparli.  
— Słyszeliście moją rozmowę z inspektorem — zaczął wreszcie powoli. — Nie chcieli mnie do was dopuścić, pożegnać was...  
Wielkie westchnienie, jak jęk, dobyło się z kilkudziesięciu młodych piersi, przeleciało przez klasę, i ucichło.

— Innych klas, reszty naszej młodzieży w tym zakładzie pożegnać nie będę mógł, wiem o tem. Nie dadzą. W nocy przyszła sztafeta z Wilna po mnie ..  
— Jezus Marya! — jęknęliśmy znowu.  
— Cicho! Spokojni bądźcie. Nie ma czego się roztkliwiać. Zresztą, co po mnie?  
Pionek jestem w ręku Bożem. Tu czy tam, w kraju czy na Sybirze, wszędzie mogę Boga chwalić — a pracować nie pozwolą, mogę zawsze modlić się za was.  
Pamiętajcie, co mówi Mickiewicz w scenie więziennej „Dziadów”? Kiersztowtt, tobie świeżo dałem do czytania! Cóż, milczysz ?  
Ale najpierwszy uczeń w klasie pozostał dłużnym odpowiedzi.  
Stał jeszcze chwilę

z głową spuszczoną, na raz przypadł do ławki, zakrywając  
twarz rękami i zaczął  
głośno, zanosząc się szlochać.

Wstrzymywany dotąd, głośny płacz i jęk nappełnił klasę.  
Ksiądz przerwał go, podnosząc głos w zwykłym swym  
spokojnym, trochę żartobliwym  
tonie. Ale głos mu drżał.

— A toż co znowu? Łzy, szlochanie? A to pięknie. I to szósta,  
taka zawsze

poważna? I kto? Żeby ten smarkacz Julek, albo Ignas Bolski,  
ale Kiersztowtt, i

Stefek, i Luniewicz, senior nasz? Bójcie się Boga! I czegoż?

Że już was stary

Cytryna za uszy brać nie będzie? A może boicie się dla mnie  
północnych mrozów?

Jest czego!

Płacz się znów podniósł. Rzuciliśmy się do niego, całując jego  
ręce. On nas po

kolei ścisnął za głowy i po ojcowsku przytulił do piersi,  
potem cofnął się.

— Dość tego, zawołał; bo i ze mnie babę zrobicie. Straszne z  
was mazgaje. Ale ja

wiem, o co wam chodzi. mnie mniejsza. Co ja? Niewiele  
mogłem wam zrobić

dobrego, choć Bóg wie, że chciałem, i w ogóle mało na mnie  
zależy. Ale o co

innego chodzi, co innego was straszy — i słusznie.

Siadł na katedrze znowu i rękami wsparł drżącą głowę.

— Tak jest, moje dzieci. Ciężkie przyjdą na was chwile.

Słyszeliście o tem, co

się stało w Mińsku? Was to teraz czeka. Mnie dziś do Wilna wiozą a z Wilna przychodzi na moje miejsce.....  
.....Nie pierwszy raz mówię o tem, ale mówiąc raz ostatni, chciałbym, aby to się wryło w wasze serca. Wszystko, co ludzkie, musi być niedoskonałe, bardzo łatwo może być złe. To, co Boże, tego człowiek zepsuć nie potrafi — to zawsze jest wielkie i święte, ale ci, co tych świętych rzeczy dotykają, mogą się dotykać niegodnie. Cóż stąd, że naczynie liche, gdy napój w niem zawarty czysty jest, życiodajny? Ideały nasze, wiara, miłość Boga, prawo Boże i ta miłość ojczyzny, która jest tylko spełnieniem jednego z Bożych przykazań, szerzej pojętem uczczeniem ojca i matki — czyż mamy je mniej kochać i czcić dla tego, że ludzie mali i źli noszą je na ustach, jak my je nosimy w sercu? Zły człowiek siebie tylko znieważa, nie chorągiew Chrystusa, którego niegodnym jest sługą, tak samo, jak siebie tylko ośmiesza krzykacz uliczny z pijanym wrzaskiem rzucający w koło siebie wielkie hasła wolności i ojczyzny. O tem, dzieci moje, pamiętajcie dobrze teraz. A i o tem

jeszcze, Dotąd nie wszystko tutaj, w szkole, było rozdźwiękiem i zaprzeczeniem

tęgo, czego was uczył dom pocziwy, co katolickie, polskie  
ognisko rodzinne  
wszczepiało w wasze dusze. Obcy ludzie próbowali w was  
wpajać obce myśli, obce  
uczucia, błotem i szyderstwem obrzucać przeszłość, wiarę,  
naród, gasić w sercach  
świętą iskrę Bożą. Wszystko łączyło się i pracowało w tym  
celu koło was. Ale był  
jeden wyjątek, jeden punkt oparcia dla was, jedna godzina, w  
której uczono was  
całkiem czego innego. Owszem. Na tej lekcji religii  
słyszeliście, że to, co  
wykładał profesor historyi i to, o czym pisał podręcznik  
literatury, to były  
nieraz fałszy i oszczerstwa. Słyszeliście pod osłoną, aleście to  
rozumieli tak  
dobrze, jakie są. obowiązki wasze w tych czasach, tak  
twardych, w warunkach tak  
trudnych. Jednem słowem był ktoś kto, was prowadził i bronił.  
Teraz będzie  
inaczej. Będziecie owcami bez pasterza, owszem ze złym  
pasterzem może \*), ale  
nad wami Pasterz, który jest w niebiesiech i jego zastępca na  
ziemi Ojciec  
święty. Tęgo się trzymajcie i słuchajcie a nie zbłądzicie.  
Urwał, opanowany wzruszeniem, potem głosem silniejszym i  
jakby natchniony dalej  
mówił.  
— Będą was starali się złamać prześladowaniem, i to będzie  
mniejsze, ale co  
gorsze, będą się starali skrzywdzić was ułudą i kłamstwem,  
pochlebianiem

---

\*) Dyecezye wileńska i mińska były wówczas pod rządami uzurpatorów Żylinskiego i Seńczykowskiego, którzy władzę swą otrzymali i spełniali z ramienia rządu mimo zakazu i cenzur Stolicy świętej.

waszym zmysłom i waszej młodzieńczej pysze,  
wyzyskiwaniem na fałsz i na złe  
najpiękniejszych godeł i haseł. Powiedzą wam, że wiara wasza  
to ciemnota, że  
wasza moralność i obyczaj ojców, objawy fanatyzmu — i oni,  
oni wystąpią jako  
obrońcy wolności, postępu! Tak: wolności i postępu - złego !  
Dotąd to już było,  
ale jak mogłem i umiałem, wstrzymywałem złe, tłumaczyłem,  
prostowałem myśli i  
sądy. Dziś samym wam walczyć potrzeba, samym prawdę od  
fałszu, ziarno od plew  
rozdzielić, przy wierze i ojczyźnie stać, wrogowi, kłamstwa i  
chytrości pełnemu  
wrogowi, nie dać się.  
Znów przerwał i ciężko oddychał przez chwilę.  
— Nie jeden, ach niejeden z was zachwieje się, da się porwać  
kłamliwym ułudom,  
może całkiem się zwichnie. Prawda Boża — ta zostanie,  
bramy piekieł nie przemogą  
jej, ale z was, biednych pozbawionych steru, iluż zbłąkać się i  
upaść może? Ilu  
opłatają zmysłom zastawione sidła, ilu obalamuci fałszywa,  
bezbożna nauka! Tych  
mi żal, za tymi serce boli.

Nie tylko dla Boga, dla wiary swej zginą, zginą i dla ojczyzny  
matki. Choćby  
należeli do niej zewnętrznie, bez miłości i ofiary, której źródło  
w wierze,  
czemże dla niej będą, co zrobią dobrego, co zostawią po  
sobie? A ja was tak  
strzegłem, tak prosiłem Boga, aby ani jednej z dusz waszych  
nie dał mi  
uronić..... A teraz..... skończyło się, skończyło.  
Zamilknął znów na chwilę, wyczerpany. Myśmy słuchli go,  
wpatrzeni weń przez łzy,  
jak w tęczę.

— Wam jednym powiedzieć mogę to ostatnie słowo  
pożegnania i przestrogi. Z  
kolegami waszymi, z innymi klasami pożegnać mi się nie  
dadzą. Dzwonek za chwilę  
i nam przerwie — Powiedzcież wszystkim, powtórzcie  
dosłownie, zapamiętajcie  
sami.....  
Ostatnie słowo moje: trwajcie! Nie rwać się przeciw przemocy  
w bezsilnym  
zapędzie, bo to zguba daremna, a nas tak mało i każdy  
potrzebny, ale i nie  
upadlać się, nie płaszczyć, kompromisów z sumieniem nie  
robić, przed ofiarą,  
upokorzeniem, stratą największą, kiedy Bóg zażąda i śmiercią  
— nie cofać się, bo  
grzech byłby i wstyd. Pracować, cierpieć i milczeć, a zawsze i  
ciągle modlić się



i trwać, trwać ! Bóg dobry! Bóg mocny! Lepszy i mocniejszy niż ludzie. W Nim ufność, w Nim siła! I w Nim też pociecha ... Tej, wiem, że potrzeba nam w tej chwili, aleja wierzę mocno, że Ten, co kazał przyjść do siebie obciążonym i smutnym, nie odmówi swej pociechy i wam, biednym piskłętom, wyrzucanym przemocą z gniazda. On będzie wam światłem i dźwignią na tych smutnych drogach, którymi iść będziecie — bez przewodnika. On was sam poprowadzi... a ja.... gdziekolwiek będę i póki stare serce moje bić będzie — ja o to nie przestanę się modlić i nie zapomnę was nigdy, nigdy — Łkania nasze zagłuszyły cichnące słowa księdza Zbiliśmy się koło niego, żegnając go, ściskając. Gdybyśmy mogli, zrobilibyśmy wał w okóło niego z naszych ciał, z naszych serc. On już nie ukrywał i nie wstrzymywał rozrzewnienia swego. Płakał, ściskając nas po kolei i błogosławiąc.

— Dzieci moje, dzieci kochane, jedyne — szeptał. A przytem kolejno każdemu jeszcze rzucał ostatnie słowo upomnienia.

— Ty, Julku mój, poważnym bądź - nad sobą panuj. Nam nie wolno być dziećmi. Ty Adamie, hamuj swój charakter gwałtowny, pamiętaj, że grę namiętności naszych

wyzyskuje wróg na swoją korzyść. Władek niech się zbytniej  
poufałości z  
Moskalami strzeże. Grzecznym być dobrze i trzeba, ale  
zdaleka. Tadek niech czyta  
więcej i chroni język swój od skażenia, a Kazimierz niech  
chroni się zbytków i  
długów, bo my bardzo biedni i z każdego źle wydanego grosza  
rachunek przed  
Bogiem zdać będzie trzeba. Jaś i Łuniewicz — ci, niech  
strzegą się złej wiedzy i  
zatrutych jej źródeł. Niech pamiętają, że prawdziwa nauka jak  
każda prawda, z  
Bogiem jest i w Bogu. I wy wszyscy, wszyscy pamiętajcie to,  
zastosujcie.... Tyle  
razy to mówiłem, teraz chciałem w tych kilku słowach  
powtórzyć, wyryć wam w  
pamięci, ale nie czas już, nie czas...  
— Będziemy pamiętać wszyscy, będziemy — zawołaliśmy.  
Staremu twarz rozjaśniła się.  
— To i lżej mi was żegnać będzie. Lżej będzie samotnemu się  
znaleść daleko, gdy  
pomyślę, że coś zejdzie z ziarn, com siał w wasze głowy i  
serca. Ale mniejsza o  
mnie — byle was Bóg chronił, prowadził, błogosławił...  
Dzwonek się rozległ — i w tejże chwili w otwartych drzwiach  
pokazał się sam we  
własnej osobie Jewo Prewoschoditelstwo, rzeczywisty radca  
stanu, Spi-

rydyon Timofiejewicz Czistozubow, dyrektor gimnazjum,  
wraz z Leontijem

Siergiejewiczem Perechreszczenką, inspektorem. Dyrektor nachmurzony był i groźny, jak olimpijski Jowisz, inspektor uśmiechał się jadowniczo. Ksiądz spojrzał na nich i skinął lekko głową.  
— No, to już czas — rzekł. — Dzieci, bądźcie zdrowe. Do widzenia, jeśli nie na ziemi, to w niebie. I pamiętajcie: Z Bogiem, z Bogiem! Ręką drżącą krzyż kreślił nad naszymi głowami i już wychodził. Nie wiem, jak to się zrobiło, ale w jednej chwili, jak staliśmy, padliśmy wszyscy na kolana, schylając głowy pod tym krzyżem.  
— Co to jest? Wstać! Co to.... — wrzasnął inspektor. Ale my nie wstawaliśmy z kolan. Ksiądz szedł powoli korytarzem szkolnym ku wyjściu. We drzwiach otwartych młodzież wybiegająca z klas tłoczyła się i tak samo jak my, bez porozumienia się, prawie mimowoli klękała przed nim. On nad nią wyciągał ręce drżące, błogosławiąc ją krzyżem świętym.

\*\*\*

Wywieziony w trzy dni potem z Wilna, w lat dziesiątek później ksiądz Wierzejski zmarł na wygnaniu w Wyszniwołogodzku, w pobliżu Lodowatego Oceanu.

Śniatynka—Lwów.  
Sierpień .

DOCZEKAŁ!

(Z dawnych wspomnień).

Pani Maryi z Młodnickich Wolskiej.

Wsi cicha, wsi zielona w gąszczu kwiecistych sadów i łąk  
srebrzystych rosą, w  
lśniącym wieńcu stawów i czarnego sitowia, wsi moja  
rodzinna, gdzie jesteś i co  
stało się z tobą? Czy jak dawniej pachną miodem lip twoje  
futury, do których  
konno pędziłem tak chętnie za lat moich młodych, brnąc w  
wyższych odemnie  
trawach i burzanach i schylając głowę na łeb wiernego konia,  
aby mnie zdała nie  
dostrzegła pogoń, wysłana przez nauczyciela? Czy kwitną na  
wiosnę bzy i  
czeremchy dokoła ogrodzenia cerkwi i przy Ilkowej chacie;  
czy pamiętają jeszcze  
ludzie stuletniego pasiecznika Matwija, od którego dzieckiem  
słyszałem tyle  
krwawych historyj o bajdamakach i humańskiej rzezi, czy żyje  
stary Oleksa, co  
mnie na konia podsadzał i poczciwy Maksym, który lichego  
strzelca ukradkiem  
przed dworską służbą podprowadzał na kaczki w  
Iwangrodzkich błotach? — Czy  
dokoła starego dworu świerki i modrzewie, dziadowską ręką  
sadzone, szumią bez

przerwy swą pieśń żalobną tym, co odeszli i nie wrócą: czy w  
pustych,  
zamkniętych izbach, pełnych niegdyś wesołego gwaru, z por-

tretów butwiejących po ścianach, w noc księżycową nie  
schodzą blade mary i nie  
przesuwają się cicho i smętnie w tym domu śmierci i  
zapomnianych wspomnień? W  
gzemsach głównego ganku, wśród powojów i wina, uwiły  
sobie gniazda jaskółki —  
pamiętam, wiosna była wtedy — czy i one odleciały od  
gniazda w dal obcą i  
nieznaną, odleciały jak ja — bez powrotu?  
Tyle lat już minęło od tej chwili, tyle trosk i bólów przerznęło  
jak rdza serce,  
tyle burz i wichrów życia zgięło głowę ku ziemi, że chwilami  
tylko stajesz  
przedemną żywa, jak cię znałem w dni wiosny, wsi moja  
najdroższa, rodzona!  
Stajesz jak żywa w blaskach słonecznych, które świeciły mej  
młodości, stajesz z  
drzewami i ludźmi, których znałem od dziecka i nie  
przestałem kochać w chmurnych  
dniach jesieni. Ale przez chwilę tylko zielenisz mi się w  
oczach i pachniesz  
majem. Oto już mgła cię zasuwa i znikasz, i nic już nie widzę  
przed sobą, tylko  
pusto mi bardzo i smutno i źle, i czuję, jak łzy płyną i płyną...  
\*\*\*

Od kiedy myślą sięgnąć potrafię, wspomnienie S.....ki łączy  
się u mnie zawsze

z postacią poczciwego pana sowietnika w jego szafirowym fraku ze złotymi guzikami, w białej chustce na szyi i niemożliwie wysokich kołnierzykach, zakrywających do połowy siwe faworyty, z twarzą zawsze starannie wygoloną, zaschłą i zwiędłą, jak rośliny w jego herbaryum. Pamiętam go jak dziś w tym odświętnym stroju pod białym pudermantlem od prochu i w czapeczce ze

złotą gwiazdką na głowie, jadącego co niedziela na mszę o milę do Teplickiej kaplicy własną parą koni, które mu na stajni ojciec mój trzymać pozwalał i żółtą bryczką, niemiłosiernie trząsącą, o której urzymywał, że ma wyborne resory i przedziwnie niesie, choć nikt ani kawałka resoru w niej nigdy nie widział i ani kwadransa nie potrafił w niej wysiedzieć. Musiał już być dobrze stary wtedy, bo blisko dwadzieścia lat przed styczniowym powstaniem przybył do S.....ki jako nauczyciel mego starszego brata, a przedtem przez ćwierć wieku spełniał obowiązki profesora gimnazjalnego w Winnicy i Kamieńcu. Z tych to czasów pozostał mu złoty krzyż zasługi za „bezporoczną” służbę, kilka srebrnych i brązowych medalów, list pochwalny i wreszcie tytuł sowietnika. Odznaczeniami i

służbą rządową szczyił się niepomalu, ale nadewszystko tytułem.

Moja matka, którą moskiewski wyraz niemile dotykał, próbowała zmienić na polski i zaczęła raz starego tytułować radcą.

Zaprotestował bardzo ceremonialnie i z największą attencyą, jak zawsze, ale zaprotestował.

— Pani deputatowo dobrodziejko — mówił, kłaniając się i rozkładając rękami —

doktor pigułki i proszki zapisuje i jeszcze inne rzeczy robi, o których gwoli

przyzwoitości wobec niewiast wspominać się nie godzi, i także tytułują go

konsyliarzem, vulgo radcą. A toż dla mnie byłby despekt dopiero, dla mnie, co

tyle lat przebyłem w służbie urzędowej, mam rangę, dekoracye, pensyę emerytalną,

żeby mię tak samo

tytułować, jak z uczczeniem należnem pani dobrodziejki, pierwszego lepszego tircyka z medycyny.

Słabostką jego była nietylko ambicya z własnego tytułu, ale nadawanie tytułów

innym. Człowieka bez tytułów nie rozumiał; gdy był w towarzystwie, nie miał

spokoju, dopóki nie dowiedział się o godnościach każdego z zebranych i nie

wymienił ich po kolei i z naciskiem, nie zwalając wcale, czy są mile noszącym je

dygnitarzom, czy nie. W ten sposób irytował do wściekłej pasji dwóch naszych sąsiadów, starych i majątnych obywateli, a gorących patryotów, którzy, jak wówczas cała szlachta, musieli za młodu odbyć służbę rządową wedle ukazów cara Mikołaja, tytułując jednego „panem praporszczykiem”, drugiego „panem gubernialnym sekretarzem”, a były to dwie najniższe rangi w hierarchii wojskowej i cywilnej.

Z moim ojcem kłopot miał niemały, ten ostatni bowiem nie posiadał ani rangi rządowej, ani obywatelskiego urzędu; kręcił się długo i męczył, unikając mówienia do niego wprost, w drugiej osobie, aż wreszcie wyszperał, że raz, kiedyś, mój ojciec brał udział w jakiejś deputacji nie wiadomo do kogo. Odtąd stał się u sówietnika „panem deputatem,” moja matka „deputatową” i już tego staremu nikt nie potrafił wybić z głowy i z ust, tak samo jak własnego munduru, urzędu i krzyża.

Nawet istotna przykrość, nawet niebezpieczeństwo nie były w stanie zachwiać go w jego opiniach i przyzwyczajeniach.

Po wypadkach w Warszawie mój ojciec zwrócił raz jego uwagę, że pokazywanie się co niedziela w ko-



ściele z rządowemi dekoracyami i w mundurze jest niewłaściwe i może wywołać niechęć, a nawet szykany.

Stary ruszył ramionami z największym zdumieniem.

— Dlaczego? — spytał naiwnie.

— Ależ bo.... to ostatecznie rządowa liberya....

Sowiec oburzył się.

— Dwadzieścia lat — zaczął uroczyście, bijąc się w piersi wskazującym palcem

prawej ręki — dwadzieścia lat służyłem wiarą, prawdą, nie żałując trudu i głowy

i ręki, smaraczom oleju do głowy napędzając modo charitativo i modo

auctoritativo, przykrości wszelakie znosząc i od władz i od zapominającej o czci

starszym należnej i o dobrych obyczajach młodzieży szkolnej...

— Wiemy, wiemy o tem — potwierdzał mój ojciec, uśmiechając się na wspomnienie

niezliczonych figłów studenckich, których tradycya przylgnęła z winnickich i

kamienieckich czasów do zbyt łagodnego sowiec.

— Wiecie ? To dobrze że wiecie; ale czy wiecie, dla kogo to robiłem? Czy wiecie,

komu ja tak służyłem ?

— No, jużci temu, czyj mundur sowiec nosiłeś.

Stary zaśmiał się i palec w górę podniósł:

— Aha, akurat, kulą w płot, mości dobrodzieju, to jest nie kulą w płot, bo to

nie stosuje się do szanownej osoby czcigodnego pana deputata, ale to znaczy, że

tym razem zawiódł go trafny jego dowcip

Komu, komu.... Z przeproszeniem godności pańskiej, komu służy Wasyl?

— Komu? oczywiście że mnie.

— Aha, oczywiście. A jakby nie było oczywiście? co się zawsze mówi z uczczeniem honoru czcigodnego pana deputata. Czy naprawdę Wasyl panu służy? Czy on nie służy żonie i dzieciom, czy on do chaty nie zanosí tego, co złapie w kredensie i co zarobi na pokojach? Jakby jego nie stało, pan doputat znajdzie sobie innego kozaka na jego miejsce, ale w Wasylowej chacie — tam nie znajdą. Komuż on służy, i komu potrzebny, i co znaczy ta liberya dla niego? Czy to, że panu fajkę zapalał i na koźle z panem jeździł, czy że rodzinę od pańszczyzny uwolnił i chleb jej zapewnił?

— No, zapewne, dobrześ to pan wyprowadził, ale....

— Aha, dobrze wyprowadziłem, uważajże teraz, (sowiećnik w zapale zapominał o tytułach i o zwykłych ceremoniach i tykał każdego) Wasyl i ja, to niby jedno. I to liberya, i to liberya. On, cham głupi, nie rozumie, i albo lokajstwem się pyszni, albo jak w pierze porośnie, będzie może kiedyś wstydzíł się ucziwej pracy. Ale moja liberya, to, uważasz, praca, to obowiązek tylu lat, to ziarno, o, rzucane, rozumiesz.... Język, no, cudzy, ale pod tą skorupą, myśl swoja,

cel... no, już pewnie nie taki, jak Artemija Mitrofanowicza,  
pamiętasz go ?  
tego, co go nam po Skarbickim przysłali na dyrektora w roku.  
Stary uśmiechnął się i zażył tabaki.

— Tak, tak, dla kogo liberya, a dla mnie obywatelski mundur,  
i nie zdejmę, o!  
nie zdejmę... Tak i do trumny w nim się położę. Bóg niech  
mnie w nim sądzi, czym  
dla nich pracował, czy dla swoich!  
Mój ojciec uściśnął mu rękę i nie było już więcej mowy o tem.  
Na nieszczęście  
nie wszyscy starego rozumieli. W domu, gdy ojciec mój się  
odwrócił, docinano i  
dokuczano sowietnikowi. Na wakacjach zwłaszcza, gdy do  
drugiego brata,  
wracającego z warszawskich szkół, zebrało się kilku młodych  
chłopców z  
sąsiedztwa, nie dawali mundurowi spokoju. W Tepliku, gdy  
wychodził z kaplicy,  
sykano za nim i przezywano go moskalem.  
Stary irytował się, odgryzał, łajał smarkaczów, czasem w  
gniewie podnosił,  
grożąc z daleka, swoją staroświecką laską z gałką pozłacaną  
— i nie ustępował.  
Zdarzyło się raz, że do mego brata, gimnazjalisty, przyjechał  
jego kolega, Zdziś  
Skręcki, straszny gorączka, rwący się na moskali , choćby z  
gołemi rękami, jak  
oni wszyscy zresztą wśród ówczesnej młodzieży szkolnej.  
Wtenczas już zamiast

mundurku świtkę chłopską nosił na wakacjach. Rok później po rozbiciu oddziału, w którym był, chłopci zamęczyli go na śmierć pod Dubińcami. Mundur sowietnika korcił go od dawna. Jednego razu, gdy nikogo ze starszych nie było, zbliżył się do emerytowanego profesora i zagadnął go z udaną naiwnością:

— Dlaczego pan sowietnik nie chodzi w niedzielę do tutejszej cerkwi, zamiast jeździć do kościoła? To przecież o tyle bliżej i konie nie męczyłyby się po złej drodze.

Sowietnik był bardzo pobożny. Nie zrozumiał w pierwszej chwili i oburzył się na chłopaka za jego nieświadomość.

— Czego was dziś w tych waszych szkołach uczą! — zawołał.

— To ty nie wiesz, że do cerkwi chodzą schyzmatycy, a my, katolicy, mamy obowiązek bywać na nabożeństwach własnej wiary, nie cudzej?

— A ja myślałem, że kto nosi mundur i orderzy moskiewskie, to tak jak schyzmatyk.

Stary poczerwieniał, potem zatrzęsł się cały i rzucił ku niewczesnemu

żartownisiowi z takim wzrokiem, jakby go chciał zmiażdżyć; potem jednak cofnął się, twarz odwrócił i ukrył ją w dłoniach.

Mój brat, świadek tej sceny, podbiegł do niego.

— Niech pan nie zważa na tego głupca i nie gniewa się! — zawołał.

— Ja... nie gniewam się... — wyjąkał sowietnik — tylko boli mnie... boli.

Zdziś, któremu zrobiło się przykro i wstyd, zbliżył się teraz, próbując

przepraszać i udobruchać starego. Ten ręką tylko machnął.

— Nie masz co tłumaczyć się — rzekł. — Nie ly pierwszy, nie ty ostatni. Młodzi

jesteście, to i szumi wam w głowie. Wiadomo — iuventus!

Ale żebyście mieli naukę

i nie byli drugi raz niesprawiedliwi, zważcie teraz, co wam powiem. Powiem wam o

tym mundurze, który was tak drażni.

— Prosimy, prosimy pana sowietnika! — zawołali, kontenci, że stary ułagodził się

i nie grozi skargą do rodziców.

— Trzydzieści lat temu, nie było was jeszcze na świecie, boście smarkacze, bez

ublżenia waszej godności siedmioklasistów. Za moich czasów było tylko sześć

klas, ale nikt z szóstej nie odsyłałby emerytowanego profesora do cerkwi. Sed

transeat hoc. Otóż do tego prowadzę, że wy nie macie pojęcia o tych czasach,

kiedy tu zmieniło się wszystko, ale naprawdę wszystko. To uważacie tak było, jak

wtedy, kiedy Szumski, ten koło nas, zbankrutował i jego majątek zajęli

wierzyciele, a potem sprowadził się tam garbaty Buniewicz, nowy nabywca. Nie

zostało w domu nic, prócz murów, wszystko przyszło nowe:  
sprzęty i ludzie. Otóż,  
uważcie, tak było i u nas. Był dom swój zdawien dawna i  
swoich ludzi pełen. Pan  
nowy, ale porządki stare cierpiał do czasu, aż przyszedł czas  
sposobny do zmian  
i zniszczenia. I niszczo. Jakby wichur przeszedł po nas;  
gdyśmy się ocknęli,  
nie zostało nic prawie z kilkowiekowej pracy. Ot, tyle co dziś  
widzicie.  
Co lepsze, poszło wtedy precz z kraju, daleko.... Wiecie, gdzie  
poszli. Myśleli,  
że wrócą za rok, za dwa. I u nas myślało tak wielu, czekało z  
każdą wiosną. Ale  
wiosna szła po wiosnie — wiosna oczekiwana, wyglądana,  
wiosna ziszczenia nadziei  
— ta nie przychodziła i... nie przyszła.  
— Przyjdzie jeszcze — zawołał mój brat, wielki gorączka,  
który trzął się już  
wtedy, żeby swój czerwony kołnierz studencki zmienić na  
powstańczą burkę.  
— Czy przyjdzie? nie wiem... daj Boże! Wtedy nie przyszła.  
A u nas działo się  
coraz gorzej. Ci zagłuszali myśl i serce bałagulską hulanką; bo  
to tylko

jedno było wolno, tamci załamywali ręce i wyglądali  
zbawienia z zewnątrz. A do  
pracy nie było nikogo. Być narzędziem w ręku obcego  
despotyzmu, pomagać w

wynarodowianiu i ucisku, płaszczyć się i podlić przed tyranami, któżby do tego się zniżył?

— I dobrze, że się nie zniżali — zawołał mój brat.

— A widzisz, że źle, bo dzięki temu włązili wszędzie obcy, a każdy wkoło siebie

szerzył gangrenę. Przypomnijcie sobie tylko Pieręłosowa, Zatrieskina, Sobaczenkę

i innych waszych przewodników kijowskich, od których uciekliście do Warszawy.

— Oj, pamiętamy dobrze!

— A tacy sami są wszędzie: w sądzie, w powiecie, gdzie kijem rzucisz. Ojców

spytajcie. Otóż nas było kilku, cośmy wyszli z Wilna, patrzyliśmy na to, co się

dzieje, a potem spytaliśmy się nawzajem: co zrobimy ?

Namawiano nas : idźcie z

innymi w świat, daleko od domu niewoli. Ale nam przyszło na myśl: a cóż będzie z

tymi, co zostaną? Kto dla nich będzie pracował, kto ich osłoni krwią i łzą i

znojem swoim ? Kto im po cichu, szeptem, spojrzeniem, uściskiem ciepłym powie:

Bratem twym jestem, tylko ty o matce nie zapomnij! I zostaliśmy.

— Kochany, dobry panie sowietniku, rozumiemy cię teraz.

Niech pan nam wybaczy, z

całego serca prosimy, całym życiem będziemy się starali panu wynagrodzić.

Chłopcy cisnęli się do rąk jego ze łzami. On ich pogładził i odsunął od siebie.

— Otóż taka historia mego munduru. Nie był mi on lekki, o nie ! Ile trzeba było w sobie zamknąć, ile znieść, ile razy zęby zacisnąć , aby nie wyrwało się to, czem pierś była pełna... Bóg to wie, On zliczył wszystko. Przetrwało się. Zniosło się upokorzenie, niesprawiedliwość, zniewagę z góry, zniosło się napaści , szyderstwa ztamtąd podszczuwanej, zdziczałej młodzieży. A kiedy było zbyt ciężko, mówiło się po cichu: „Zniosę, przecierpię, a miejsca swego nie dam, munduru nie pozwolę zwlec. Pion ze mnie, pion w garstce swoich, mały, ale tam, gdzie stoję, nie dam się szerzyć zgniliznie obcej. Pod moim mundurem bije polskie serce. Mnie nie stanie, przyjdzie wróg i gdzie ja ratowałem, on będzie niszczył. Niedoczekanie!" Stary cały stał w ogniu, oczy mu świeciły jak gwiazdy. — I tak przeżyłem dwadzieścia lat, najgorsze lata. Zaczynało być trochę lepiej, gdy sił zabrakło. Miejsce moje zajął swój, Witkowski; mogłem ustąpić ze spokojnem sumieniem. A munduru nie zdjąłem. On mi przypomina, com zniósł, com przecierpiał, lata długie pracy cichej, a nie bez owocu, ziarna rzucane pokryjomu w młode głowy i serca. To wszystko, gdy na swój mundur spojrzę, staje mi przed oczyma, jak żywe. Więc go nie zdjąłem i nie zdejmę.



Do nas wszystkich przywiązany był pan sowietnik  
niezmiernie. O własnych krewnych  
nie wspominał nigdy. Czy wymarli, czy ich znać nie chciał,  
czy nie miał bliższej  
rodziny, nikt nie wiedział. Dość, że tylko w domu moich  
rodziców czuł się u  
siebie, uwa-

żał się za członka rodziny i dbał bardzo, aby go za takiego  
uważano i w każdej  
ważniejszej sprawie zasięgano jego zdania. Czyniono to  
oczywiście dla formy  
tylko i w ten sposób, aby dobrodusznego staruszka  
naprowadzić na takie zdanie,  
jakie mieli pytający.

— Wszak prawda, kochany sowietniku, że jesteś,  
zwolennikiem tego projektu...

— Wszak prawda, że to zawsze było twoją myślą...

— Oczywiście, oczywiście — odpowiadał stary w najlepszej  
wierze — dodając tylko  
czasem z całą naiwnością, że dziwi się istotnie, jak to zdania  
się zmieniają, bo  
dawniej o tem myślał inaczej, a teraz, uważasz, jest sumiennie  
tego przekonania,  
że...

Potem opowiadał swoim „konfidentom”, jak poufalszych z  
sobą nazywał, że tu nic  
bez jego głosu nie dzieje się.

— Bo to widzisz, pan deputat przyczacny mąż, ani słowa, no i  
praktykę ma... ale

młody jeszcze, bardzo miody (mój ojciec miał już dorosłych synów). Więc gdybym mu nie doradził, oka nie miał — oho! Poszłoby wszystko na nic.

— Ależ pan ...ski uchodzi za gospodarza zawołanego.

— No, tak, nie przeczę, ale bo to widzisz, ja ojcem mógłbym mu być, i praktyk jestem, i stary wyga ze mnie, więc przy mnie, to znowu co innego.

— To pan sówietnik i gospodarstwem w S...ce kieruje?

— Po cichu, po trochę, rozumiesz, aby zawiści ludzkiej nie drażnić, rządcy nie gniewać, bo to mąż, rozumiejący o sobie wiele, wreszcie i własnej ambicyi

nie dotkać u młodego człowieka, jak to zwyczajnie u młodego.

— U jakiego młodego człowieka?

— A no, u pana deputata, oczywiście.

Chodził więc stary po folwarkach, gumnach, oborach, głową kiwał, palec

uroczyście w górę podnosił, ramionami ruszał i rad swych z należyłą attenacją i

delikatnością, komu należy, udzielał. Rządca z niego przekpiwał, ekonomowie

mruczeli i półgłosem posyłali starego oryginała do tysiąca dyabłów, młodzi

oficyaliści bawili się setnie jego kosztem, przychodząc do niego z

najniemożliwszemi wiadomościami gospodarskimi i z najkomiczniejszymi pytaniami

i projektami, z których śmiano się potem w całym powiecie. Staruszek dawał się łapać figlarzom na najgrubsze i najniezgrabniej zastawione wędki i występował potem podczas obiadu, najczęściej, gdy było więcej gości i liczne audytoryum, za którem przepadał, z przygotowanym szczegółowo i starannie umotywowanym planem zasiewania pięćsetmorgowych łąnów bobem lub pietruszką, zastępowania w gospodarstwie wołów — słońiami i wielbłądami, wysyłania czumaków ze zbożem i jarzynami wprost do Paryża i Madrytu, zamiast do Odessy, albo wreszcie sztucznego polewania pól podczas suszy za pomocą balonów. Projekta zyskiwały wprawdzie rozgłos, ale nie wprowadzano ich w życie, co dawało asumpt sowietnikowi, ile razy zdarzało się jedno ze zwykłych w gospodarstwie niepowodzeń, do wymownych skarg na to, że rad jego nie posłuchano i projektów nie wykonano.

Pan sowietnik zajmował w oficynie dwa pokoiki z przedpokojem i osobnem wejściem, koło którego był mały ogródek, przeznaczony wyłącznie do jego użytku i oddzielony żywopłotem od reszty parku. Raniutko, chłopak obsługujący go, przynosił

śniadanie staremu, zdając równocześnie sprawę ze stanu  
zdrowia koników i z  
najświeższych wiadomości meteorologicznych i domowych  
Następnie, ubrany w letni,  
płócienny surdut, z różańcem w ręku, sowietnik wychodził na  
lustrację  
gospodarstwa, którą wykonywał nader sumiennie i z  
przeświadczeniem, że  
wynikłyby niepowetowane szkody, gdyby gdzie nie zaszedł, w  
coś nie wejrzał.  
— Bo to, mości dobrodzieju, pańskie oko konia tuczy, a z  
tymi młodymi, to pozał  
się Boże, — (odnosiło się to do mego ojca) — jednego nie  
dojrzy, drugiego  
zapomni i szkoda gotowa. Więc ja już, choć stary, ale  
doglądać muszę, Nie chcę  
przecie chleba jeść daremnie  
W chorobie bywał z tem kłopot nie mały. Niepodobna było  
utrzymać go w pokoju.  
Biadał i lamentował, że jego beczynność przyprawi moich  
rodziców o ruinę.  
Na obiad zjawiał się uroczyście przystrojony w swą białą  
chustkę, mocno  
wykrochmaloną, z uszami schowanymi w sztywne kołnierzyki  
i wycalowałwszy ręce  
wszystkim paniom obecnym, czuł się w obowiązku każdej  
powiedzieć sążnisty,  
staroświecki komplement. Uprzejmy i grzeczny dla  
wszystkich, dla płci pięknej  
nie miał granic w grzeczności. Nie widziano go siadającego,  
póki najmłodsza  
panienka nie

zajęła miejsca; mimo wieku pierwszy podbiegł zawsze, żeby podnieść chustkę upuszczoną, podać książkę lub nuty, zanieść szale i okrycia za paniami. I z tego się śmiano i przekrzywiano, nadużywano jego delikatności, prześladowano afektami do starszych panien, płatano mniej lub więcej dowcipne i przyzwoite figle. Było jednak bardzo wiele deliktatności i uczucia w tych jego manierach, śmiesznych nieraz i jakby trącających piżmem, a przecież nacechowanych rycerską obyczajnością dawnych lat — i dziś, kiedy go sobie przypominam, jak przez mgłę dalekich wspomnień, mam to wrażenie, że pan sowietnik był wart raczej szacunku niż uśmiechu z tą swoją galanterią, będącą naprawdę tylko wyrazem wielkiej i szczerzej czci dla kobiety, a wypływającą z bardzo czystego i uczciwego serca. Wówczas jednak mało kto się na tem rozumiał i oceniał całą delikatność staruszka, który sto razy zwodzony wymyślonymi wzywaniem i poleceniami ze strony różnych pań i panien, nigdy przecie nie zawahał się je spełniać.

— Ależ znów pana sowietnika zwodzą. Nie idź pan, nie rób pan tego — ostrzegali litościwsi.

— Mój mości dobrodzieju, być może, że zwodzą, tem gorzej dla nich. Ale niechże

przypadkiem naprawdę przysłała mi ta pani polecenie, co wtedy? Jakżebyś śmiał narażać damę na zawód, a siebie na możliwość uchybienia jej? Uchybienia damie?!  
Prześladowano go różnymi pannami, najczęściej jednak i najniełitościwiej panną Kryspiną.  
Była to sześćdziesięcioletnia osoba, bawiąca od niepamiętnych czasów u starszej siostry mojej matki,

typowa stara panna, bardzo praktyczna i nawet nie głupia, ale wiecznie podwiązana żółtą chusteczką od bólu zębów, skrzywiona, gderająca, obraźliwa bez granic i zła straszliwie.  
Każdy jej pobyt u nas, a zdarzało się to często, bo zwykle towarzyszyła ciotce mojej w podróży, stawał się dla biednego sowietnika źródłem niezliczonych udręczeń. Nim przyjechała jeszcze, prześladowano staruszkę, że wzdycha, że się rumieni, mówiąc o niej, że wpatruje się w księżyc, podrzucano na jego stolik dagerotyp panny Kryspiny i tryumfalnie konstatowano jego obecność. Zdarzyło się raz, że ktoś z młodych ułożył sentymentalny hymn na cześć starej panny, napisany jakoby przez sowietnika. Wmawiano w niego autorstwo tak długo i tak wytrwale, że

mało brakowało, by uwierzył. Odcinał się zresztą, bronił, ale tak był przytem zawsze zażenowany, tak przerażony myślą o szkodzie, jaką tego rodzaju gadania mogą wyrządzić reputacyi sześćdziesięcioletniej paany, że najpoważniejszych świadków pusty śmiech brał i odbiegała ochota wstrzymania żartów ze staruszka.

Najgorzej jednak bywało, kiedy już nadjechała panna Kryspina. Wtedy figlom nie było końca, a co najbardziej pobudzało do nich młodzież, to oburzenie obraźliwej panny. Na nieszczęście oburzenie to zwracało się najczęściej w niewłaściwą całkiem stronę, przeciw najniewinniejszemu sowietnikowi. Zdarzyło się na przykład, że do ustronnej alei, po której panna Kryspina lubiła się przechadzać wieczorami, odmawiając pacierze, zaprowadzono zdradą starego, a za chwilę rzucono się na niego z zarzu-

tami, że petajemnie rendez vous sobie daje ze staruszką. Sowietnik bywało, żegna się tylko i rękami zasłania swoim zwyczajem.

— Bójcie się Boga! — woła płaczliwym głosem — ja, jak ja; rzucajcie już na moje siwe włosy oszczerstwa, nie zważając na kilkadziesiąt lat nieskazitelnej służby.

Ale dama! Uważajcie tylko, honor damy! Jak śmiecie lekce go ważyć!

Na to panna Kryspina, dosłyszawszy, czy domyśliwszy się o  
co idzie, wpadała jak  
furya, skacząc staremu pazurami do oczu.  
— Będziesz mi pan tu bronił mego honoru! Widzisz go, jaki  
adwokat! Zmawia się z  
rozpustnymi młokosami, żeby mnie dawać na śmiech ludzki i  
języki, a potem udaje  
świętoszka i niewiniątko, zbereźnik stary! Siwe włosy, a  
roзумu nie ma. I nie  
wstyd to panu? Tfu!  
Panna Kryspina znikwała, trzaskając z całej siły drzwiami.  
Sowiećnik stał, jak  
kamienny posąg z przerażenia, z rękami opuszczonemi i  
szklannym wzrokiem, a  
słuchacze, ci oczywiście umierali ze świechu.  
Ale nadchodziły czasy, w których śmiechu miało się słyszeć  
coraz mniej.  
Kto z nas starszych ich nie pamięta? Komu z nas w nocach  
bezsennych nie stają  
przed oczyma te dni gorączki, dni nadziei szalonych, ofiar i  
bohaterstw  
daremnych — daremnych, bezdennych bólów? Komuż nie  
drży w uszach echo  
powstańczej pobudki, hymnów

żałobnych, ryku rozwścieklonego chłopstwa, jęku  
mordowanych ofiar? Kto tego nie  
przeżył, ten nie wie, co strach i co boleść, co sen przerywany  
przez gorączkowe  
widziadła i rzeczywistość podobna do straszego snu.



Przed panem sowietnikiem ukrywano przygotowania do  
wybuchu. Nie chciano  
staruszka martwić i straszyć, obawiano się, aby jego naiwność  
nie stała się  
przyczyną niedyskrecyi. Obawa płonna zresztą, bo władze o  
najdrobniejszych  
szczegółach uprzedzone były od dawna. Staruszek dowiedział  
się o wszystkim  
odrazu, kiedy już dawno wiedzieli inni. Matka moja chciała,  
aby synów,  
wyjeżdżających do obozu, pobłogosławił.  
Przyjął wiadomość z niespodziewanym spokojem.  
— Wiedziałem, że do tego przyjdzie — rzekł powoli. —  
Domyślałem się, w powietrzu  
się to czuło. Ha! niema co. Kto sieje wiatr, zbiera burze. Ale,  
czy z tej burzy  
będzie nam lepiej? Pamiętam dni listopadowe, o! pamiętam  
dobrze. Co z nich  
wynikło? A przecież wtedy było inaczej, inaczej! Nie z gołemi  
rękami szło się,  
były armaty, wojsko, a jednak...  
— Nie odbierajże chłopcom otuchy — szepnęła przez łyzy  
matka.  
— Boże broń! Tylko niech się nie łudzą, i niech się modlą,  
niech Boga proszą.  
Bogu ufać więcej niż ludzkim siłom i obrachowaniom! On  
mocny, On potrafi słabe  
wesprzeć, a nędzne podźwignąć. Ale tylko On, nie my, nie  
my...

— Więc siłom narodu, jego męstwu i energii pan nie  
dowierzasz ? — spytał z urazą  
starszy brat mój — poryw dwudziestu milionów, to u pana  
nic?

— Gdzie one? — jęknął stary — jak je skupić w jedno,  
uzbroić, poprowadzić! Czy  
pójdą za wami? A gdyby poszły, co one znaczą wobec tego  
morzaludzi! Rozdepcą,  
zgniotą..... Ale idźcie, skoro takawola Boża. Tylko życie Bogu  
oddajcie w  
ofierze, wtedy choć przegracie, krew wasza nie będzie  
daremna.

— Ale któż widział mówić o przegranej — przerwał mój  
ojciec, śmiejąc się z  
przymusem. — Nie krakajże pan jak puszczyk, daj chłopakom  
krzyżyk i kwita.

— A daję, daję, proszęż nie myśleć, żebym chciał m serca  
odbierać, tylko widzi  
pan deputat, tylu ich wychodziło w moich oczach , i w  
trzydziestym, i za  
Konarskiego, i w czterdziestym ósmym, i nie wrócili... Ale, ot,  
nie słuchajcie  
starego... plecie, bo mu już rozum przytępiał i serce kraje się.  
Wróćcie,  
wróćcie, byle tutaj.... A tymczasem Bóg miłosierny niech was  
browadzi, niech  
strzeże, niech powraca!  
Żegnał i błogosławił stary, i płakał.  
Bracia moi wyruszyli, odprowadzani krzyżem i łzami, a za  
nimi ojciec musiał  
niedługo opuścić dom, ażeby rozpocząć szereg wędrówek,  
których kresem miał być w

parę lat później Irkuck. Matka towarzyszyła mu wraz ze mną,  
potem znalazła u  
krewnych przytułek. Z bliższych, oficjalistów i domowników,  
jedni poszli za mymi  
braćmi, innych rozrzuciła odrazu zaczynająca się zawierucha.

Nie było nikomu zwierzyć domu, prócz staruszka i kilku  
zaufanych służących. A  
tymczasem ojciec mój wiedział to dobrze, że wyjeżdża na  
długo, może na zawsze.

Już zewsząd dochodziły wieści o rozbitych partyach, o  
znęcaniach się włościan  
nad powstańcami. Wrzało — i już to było jasnym, że nie  
ratunek czeka nas, ale  
zguba.

— Panie Józefie, — rzekł mój ojciec, żegnając starego —  
tobie oddaję wszystko.

Nie mam nikogo ani w domu, ani w rodzinie, ani w  
sąsiedztwie, ktoby mnie mógł  
zastąpić. Wszystko w rozbiciu, w rozsypce, każdy siebie  
ratuje. Ty jeden  
zostałeś nam, zostańże tu. Chroń, rządź, trzymaj wszystko, co  
możesz uratuj.

Maksym i Ołeksia będą ci pomagali, im zaufaj; zresztą  
nikomu. Bóg jeden wie, co  
się stanie, kto tu przyjdzie, co zechce zrobić z tym biednym  
domem... Ty bądź w  
złej godzinie tem, czem byłeś zawsze: przyjacielem naszym,  
stróżem rodzinnego  
gniazda, w które biją wichry i burze!

— Bądź pan spokojny — rzekł sowietnik uroczyście. —  
Zostanę i nie ustąpię  
nikomu, aż wrócicie.  
Ojciec machnął ręką.  
— Wątpię — szepnął. — W daleką przyjdzie iść drogę, z niej  
powrót niełatwy. Ale  
ot, choć dla dzieci uratuj okruchy z rozbicia. I w sercu nas  
zachowaj, bo może  
już nie przyjdzie nam widzieć się w tem życiu.  
— Zobaczmy się jeszcze — rzekł stary stanowczo —  
zobaczmy się tu. Wrócicie do  
waszego domu, ja wam to mówię... i ja nie ruszę się stąd, żeby  
nie wiem co było.

Działo się to wszystko w czasie wiosennych posiewów. Nim  
zeszły, zmieniło się  
bardzo , bardzo wiele.  
Ojciec mój z jednym z braci był w kijowskiej fortecy, drugi  
brat internowany na  
prowincyi, matka uwięziona w mieszkaniu swem w Kijowie.  
— W domu naszym mieszkał  
urzędnik administrujący z ramienia rządu majątkiem, który,  
czekając na  
konfiskatę, wzięto tymczasowo pod sekwestr. Na folwarku  
zaczerniło się od żydów.  
Meliton Nikiforowicz Zatrieszczenko rozpoczął swoje rządy  
od zwołania gromady i  
miał do niej z ganku przemowę. Zakomunikował chłopom  
wieść radosną, tak radosną,  
że do niej powinny były uderzyć ich prawosławne rosyjskie  
serca, wieść o

uwięzieniu i spodziewanej zsyłce całej rodziny polskich  
buntowników, pod których  
jarzmem już ich ojcowie jęczeli, o przejściu wsi i jej  
mieszkańców pod  
dobroczynną władzę i ojcowską opiekę wysokiego,  
jednowiernego rządu. Gratulował  
wymownie tego tak szczęśliwego zdarzenia zebrany,  
wyrażał życzenia, aby w jak  
najprędszym czasie w całej okolicy ogniska polskiej i  
łacińskiej zgnilizny,  
jakiemi są dwory panów, zniknęły za wspólną pracą władz i  
prawosławnego ludu,  
aby ziemia, krwią i łzami tego ludu użyźniona, stała się cała  
jego własnością.  
Po tych słodkich i pełnych obietnic wyrazach, Meliton  
Nikiforowicz ściągnął  
brwi, jak olimpijski Zeus i z innego już tonu, krótko i  
donośnie zapowiedział,  
że teraz on tu panem, że ma być posłuch i karność, jak w  
wojsku, bo to nie z  
jakimbądź panem polacyszczą sprawa, ale z nim, eme-

rytowanym sztabskapitanem jewo wieliczestwa, a u niego tak:  
słuchasz — toś brat  
mój, nie — to różgi.  
Gromada przyjęła mowę sztabskapitana z rezerwą. Starosta,  
wypchnięty naprzód  
przez najbliższych, wystąpił bardzo niechętnie z kilkoma  
niewyraźnemi życzeniami  
szczęścia i powodzenia, mnąc czapkę baranią w rękę i wraz z  
innymi chłopami

kłaniając się przy każdym słowie bardzo nisko nowemu panu.

Następnie Meliton

Nikiforowicz zasiadł ze stanowym przystawem i z batuszką do przygotowanego

śniadania, przy stole, na którym stało dwanaście butelek nalewek różnych i

zwykłej oczyszczonej, a drugich dwanaście flasz wina;

chłopom dano dwie beczki

wódki i w parę godzin zarówno biesiadnicy w dziedzińcu, jak przy śniadaniowym

stole, leżeli, chrapiąc lub bełkocąc niewyraźnie, gdzie który padł, pijani bez

pamięci.

Pan sowiecik tymczasem siedział w swoich dwóch pokojach w oficynie, nie

pokazując się nikomu. Siedział i modlił się. Ostatnich parę miesięcy było w

życiu jego czemś bardzo nowem i dziwnem. On, co dotąd wymyślać sobie musiał

obowiązek i udawać zajęcie, żeby tylko życie zapełnić, znalazł się wobec zadania

zbyt skomplikowanego i trudnego nawet dla człowieka w pełni sił. Trzeba było

załatwiać i to w najbardziej uciążliwych warunkach, tysiąc interesów, ukrywać

sprzęty rzeczy, bydło, nawet resztki zapasów w spichrzach pomiędzy sąsiadami,

którzy z łatwo zrozumiałych powodów od tej usługi

wymawiali się jak mogli, —

sprzedawać, co się nie dało ukryć, żydom, nie chcącym

kupować również z bojaźni

przed rządem, jednym słowem

trzeba było robić rzeczy prawie niemożliwe do zrobienia.  
Jakim cudem on je  
robił? Robił jednak. On, ten człowiek tak niepraktyczny i  
łatwowierny, że tą  
praktyczną naiwnością w całej okolicy bawiono się tak często,  
on znajdował i  
spryt i energię i oględność dla zrobienia rzeczy, pachnących  
wprost kryminałem i  
Sybirem. Pomagali mu wprawdzie i kierowali nim potrosze  
Ołeksa i Maksym, sprytni  
i zręczni, jak chłop nasz być potrafi, ale ostatecznie  
decydować musiał on sam.  
I tak mu się to udawało, że w chwili objęcia sekwestru przez  
moskali, z rzeczy,  
mających jakąś wartość, nie zostało poprostu nic. Trochę  
sprzętów starych z  
oficyn, garderoby i gościnnych pokojów, parę zdychających  
szkap, kupa żelaziwa i  
pustych worków — oto wszystko, co zastał Meliton  
Nikiforowicz, gdy wytrzeźwiwszy  
się po śniadaniu, zaczął robić lustrację.  
Sztabskapitan oburzył się bardzo i dowiedziawszy się o  
obecności sowietnika,  
kazał go do siebie wołać.  
Stary zjawił się w mundurze, z orderami, uprzejmy i pełen  
grzeczności, jak  
zawsze. Ale urzędnik był w złym humorze.  
— Dajno pan pokój głupstwu i gadaj zaraz, gdzie meble?  
Gdzie remanent?  
Wszystko, jednym słowem? Przecie tak tego nie zostawił....ski  
wyjeżdżając.

Stary rękami tylko rozwiódł.

— Mam dwadzieścia lat służby, znaki łaski carskiej, rangę  
sowieтника, jak to pan  
kapitan łaskawie widzieć raczysz.

— Widzę, widzę, ale cóż z tego?

— Mieszkam w moich dwóch pokoikach, nie wiedząc o  
Bożym świecie, modląc się za  
„naczalstwo”, chroniąc starą głowę od złych ludzi...

— I cóż, i cóż?

— I nic nie wiem, co się też działo i dzieje. Nie wiem i  
wiedzieć nie chcę Znat'  
nie znaju, wiedat' nie wiedaju.

Sztabskapitan zaczął kłąć.

— Co len staruch myśli, że mnie okpi! Ja ci pokażę, ja cię  
nauczę! Sowietnik! Co  
mnie sowietnik? Napluć na to i basta. Znam ja was  
polaczyszki! Carski mundur, a  
polska dusza! Z buntownikami w spółce rząd grabić chcecie.  
Ja tu zaraz!...

Staruszek wytrzymał tę napaść z zupełnie zimną krwią. Kiedy  
jednak Meliton

Nikiforowicz coraz bardziej się gorączkował i rękami  
rozmachiwał, przytrzymał go

bardzo delikatnie za rękaw i rzekł z naj większym spokojem:

— Widziałem na oczy, jak w ten sam sposób mój dobry  
znajomy, major Fiodor

Afanasjewicz Kostiuszkin irytował się, machał rękami,  
krzycza łoś lajał przez

kwandrans, a potem\_\_\_\_\_

I trzepnął palcami.



— Potem? — powtórzył kapitan, zastanowiwszy się.  
— Caput! — dokończył sowietnik. — Zdrowiuteński człowiek.  
Cóż pan chcesz?  
Irytować się i jeszcze po obiedzie? Apopleksya! A u pana  
kapitana, nie ujmując  
jego godności, kark krótki i gruby.  
Meliton Nikiforowicz ogromnie bał się śmierci; przytem, jak  
mnóstwo Rosyan, do  
śmieszności był przesądny.

Uspokoił się odrazu i podejrzliwie, z ukrytą bojaźnią, wpatrzył  
się w staruszkę.  
— Żeby mnie tylko nie urzekł — pomyślał — te djabyły Polaki  
czarują jeden w  
drugiego.  
Ponieważ jednak był przekonany, że stary skorzystał z dobrej  
sposobności, aby na  
własną korzyść ukryć brakujące rzeczy, zaczął znów, ale z  
innej beczki.  
— No, no, nie gniewajcie się i wy na mnie, jak otczestwo?  
aha, Józefie  
Wincentowiczu. U mnie widzicie obyczaj żołnierski, prędko,  
ale w sercu złości  
tyle, co u baranka. Zresztą po co nam się kłócić? Nie lepiej to  
zgodnie,  
przyjaźnie, po bratersku, tak, wiecie, ręka rękę myje. Ot, wy  
mieliście korzyść,  
niech ja coś mam, po połowie, co, zgoda?  
Panu sowietnikowi przyszło nader trudno przekonać Melitona  
Nikiforowicza, że nic

nie ma, więc i nic dać nie może. Na wszystkie jego zapewnienia, sztabkapitan potrzasał głową, uśmiechał się pobłaźliwie i klepał go po ramieniu, powtarzając, że zna się na takich sztuczkach i że nie takiego lisa, jak on, można wyprowadzić w pole. Po jakimś czasie zaczął spoglądać na staruszkę z widocznym interesem, a nawet szacunkiem. Miał go za niezmiernie przebiegłego, a imponowało mu szczególnie, że kryje grę swą tak wybornie pod maską dobroduszej naiwności. Nie mogąc jednak dojść z nim do końca, zaczynał znów wpadać w furię, chciał już kochanego swego Józefa Wincetowicza aresztować i wieść do powiatu, kiedy mu naraz przyszło na myśl zwierzyć się popowi.

Dotąd nie czynił tego, rzecz prosta, nie chcąc się dzielić. Batuszka go wyśmiał.

— To nowonarodzone dziecię, ten stary. Tyle w nim chytrności, co w kurczęciu.

Sztabkapitan spadł z obłoków.

— Po cóż mnie łudził i udawał mądrego? — wrzeszczał wściekły.

— Ależ on nic nie udawał. Mówił prawdę świętą. Siedzi w swej stancyi, a jak

wyjdzie na świat, udaje tylko, że coś zobaczył,

Wzięto się teraz do chłopów, ale ci trzymali się dzielnie.

Gdzieindziej gromady

wiejskie więziły i wydawały swych panów; u nas, Bogu  
dzięki, wieśniacy, jak  
jeden człowiek milczeli, o ile który z nich wiedział lub  
domyślał się, a takich  
rzeczywiście było wielu — i tajemnica rzeczy, ukrytych przez  
sowieтника z

Maksymem i Ołeksą, pozostała niedocieczoną.  
Bito prawda kilku chłopów w stajni raz po raz, aby im języki  
rozwiązać, ale czy  
na niedoświadczonych, czy na przywiązanych do dworu  
trafili, dość że nie wydało  
się nic

Sowieтник ocalał, moja matka dostała trochę pieniędzy, bardzo  
jej przydatnych w  
ówczesnem ogołoceniu ze wszystkich zasobów, ale teraz  
nastąpiły nowe trudności.

Meliton Nikiforowicz przez jakiś czas, zdawało się, zapomniał  
o starym lokatorze  
w oficynach. Nie dziw. Zajmowało go co innego. Po prostu  
używał. Przez całe  
życie bez grosza w kieszeni, bez własnego kołka i płota,  
hulaka cudzym kosztem,  
patrzący tylko

na prawo i na lewo, gdzieby się dało parę rubelków złapać i  
parę butelek  
„szampitra” wysączyć, sztabskapitan znalazł się naraz w  
położeniu istotnie  
godnem zazdrości. Dostawał na czas nieograniczony w  
administrację, a właściwie

we władanie majątek, piękny i nietknięty ani wekslem, ani  
siekiarą — i mógł z  
nim robić, co mu się tylko podobało, nietylko korzystać z tego  
wszystkiego, co  
wieś dać mogła, ale kieszenie napełniać i zapasy robić na  
przyszłość, rąbiąc,  
niszcząc, sprzedając wszystko, co było na ziemi, prócz samej  
tylko ziemi.

Kontroli nie miał żadnej, o rachunkach nie było mowy. Od  
góry do dołu na  
wszystkich szczeblach urzędniczej drabiny zapanował  
wszechwładnie potężny i  
przedtem, ale nie tak wyłącznie, system wzajemnej tolerancji  
i cichego  
wspierania się w tem wszystkim, co przynieść mogło  
korzyść.

— Chwała niech będzie i wdzięczność Nawyższemu — mówił  
pobożnie Meliton

Nikiforowicz, zegnając się po trzykroć i schylając głowę. —

Pocieszył nas on,

biedne dziateczki swoje, w nieprzebranej swej

szczodrobliwości! Oj, czekaliśmy,

czekali na tę chwilę; myśleli już: nie doczekamy się! Bywało,  
patrzymy na panów

Polaków: jeżdżą, piją, polują, w karty idą im setki, tysiączki!

Ech! tak

człowieka i żal i złość zbiera! czemuż to nie naszemu bratu

tak! I myślimy

sobie: ot, jakby Bóg dał ruchawkę, tobyśmy i my tego dobra  
zażyli. Byle dorwać

się, jużby człowiek nie puścił. No i przyszło do tego, i dorwali  
się. Sławaż

wam, panowie powstańcy, sława!

Używał więc sobie Meliton Nikiforowicz, używał aż cieszyło  
się jego szerokie  
rosyjskie serce, aż piszczeli sk... wieccy chłopci. Rysaki  
parskały na stajni,  
przed którą spacerował z powagą niemożliwie gruby  
jemszczyk. W kuchni smażyło  
się i piekło nieustannie, nieustannie latali posłańcy do Hajsyna i  
Humania, a w  
jadalnej sali słychać było ciągle brzęk szklanek i kieliszków,  
wrzaski: „Czort  
pobieri” i ochryple śpiewki „W doł po matuszkie, po Wołgie”  
i inne gorsze. Na  
dziedzińcu i po wsi kręcili się dieńszczycy oficerów i  
czynowników, których całe  
kupy nawiedzały sztabskapitana, czerwieniały jak maki  
koszule kacapów, których  
parę tuzinów dla robót i gospodarstwa sprowadzono. Żydów  
także uwijało się sporo  
i w okolicach kancelaryi, i na folwarkach i gumnach.  
Chłopi na to patrzali nieufnie, ale wyczekująco. Niedługo  
jednak zaczęto ich do  
roboty zaprzęgać, jak nigdy nie bywało za pańszczyzny. Cała  
„semja” pójdzie  
bywało na różne szarwarki, jednych pędzą do ogrodu, drugich  
do kuchni, trzecich  
na posyłki, pieniędzy ani grosza, chleba ani kawałka, czasem  
wódki popłynię całe  
strumień, częściej batogów zwali się kopa, a tymczasem  
pszenica w polu osypuje

się i porasta, dzieciaki same w chałupie zostawione płaczą i karki kręcą, bieda,  
nieszczęście — i nie waż się słowa powiedzieć, bo bat, a nie dosyć, to i turma.  
Oj, zaczęli biedacy jęczeć i płakać, ale po cichu, bo nawet i „hołosić” babom  
nie dawano. Pan sztabskapitan dotrzymywał słowa: rygor u niego był wojskowy.  
O siewnika obijały się te skargi i żale; słyhać też było w oficynie  
codziennie ryk pijanych biesiadni-

ków we dworze. Po obiedzie sztabskapitan wraz ze swymi gośćmi urządzał sobie dla  
strawności rozrywkę łechcącą nerwy: kazał zbierać na dziedziniec całe gromady  
chłopów, którzy coś zbroili, albo też i nic nie zawinili i rozciągnawszy  
obnażonych, sam ich ćwiczył nahajkami, albo też przypatrywał się, jak im różgami  
mięso odbijano od kości i krwią ich bluzgano całą trawę gazonu. Stary słyhać  
nie mógł wrzasku katowanych, chował się w kąt, głowę nakrywał poduszką i modlił  
się, jęcząc za nieszczęsnymi.  
— Miałem wtedy — opowiadał później — silną pokusę rzucić wszystko i uciec, ale  
nie godziło się. Słowo dałem, że zostanę. Zostałem więc. Został, ale tak był zastraszonej i zboleł tem wszystkim, co się działo, że się

z oficynki krokiem nie ruszał i siedział tak cicho, aby o nim zapomniano. Nawet do swego ogródka wychodził tylko ukradkiem bardzo rano, albo po zachodzie słońca, żeby dojrzeć kwiatków, którymi zaczął się zajmować od chwili ustania dawniejszych zajęć i spacerów, W niedzielę chyłkiem wmykał się boczną ulicą do chaty Maksyma, u którego stały i przez cały tydzień robiły jego koniki, do kościoła tylko panu swemu potrzebne. Aż razu jednego zdarzyło się, że Meliton Nikiforowicz wstał lewą nogą z łóżka, potem zachłysnął się wódką przy porannym kieliszku, potem dostał od swego przyjaciela sprawnika poufną wiadomość, o jakiejś skardze, wniesionej na niego do gubernatora (głupstwo oczywiście taka skarga, nie będą przecie wiary dawali jakiemuś głupiemu Polaczkowi przeciw niemu, sztabskapitanowi, ale zawsze nieprzyjemna

historia, bo poco to mają niepotrzebnie gadać o człowieku?); wreszcie na domiar złego parobek, którego kazał sobie przyprowadzić, ażeby go w obecności swej oćwiczyć różgami, umknął i przepadł bez wieści. Wobec tylu nieprzyjemności, nie dziw, że pan sztabskapitan był w fatalnym

humorze i szukał tylko kogoś, aby na niego gniew spędzić.  
Trzebaż nieszczęścia,  
że mu właśnie w tej chwili na myśl nawinął się sowietnik.  
— Co ten stary czort myśli sobie, że jeszcze nie wyniósł się  
zład — wrzasnął  
wściekły. — Co on chce tutaj wiekować, czy co ? Wołać mi  
go zaraz i  
Za kwadrans sowietnik zjawił się uśmiechnięty i błyszczący  
guzikami i medalami,  
jak zwykle.  
— Cóż, upatrzyliście sobie gniazdko jakie na nową siedzibę,  
Józefie  
Wincentowiczu ? — zaczął odrazu sztabskapitan, witając się.  
— Na jaką nową siedzibę? — zapytał staruszek ze  
zdziwieniem.  
— No na tę, na którą przeniesiecie się zład.  
— Ja zład nigdzie się nie przeniosę, tylko chyba na cmentarz.  
— Tfu jego, z cmentarzem. Po co wspominać? Więc jakże, to  
pan myślisz zostać tu,  
jak przedtem?  
— A myślę.  
— A masz na to pozwolenie?  
— Na co pozwolenia? Przecie mnie nie wygonią. Meliton  
Nikiforowicz stropił się  
trochę.  
— Zkąd ta pewność? — wybuchnął z gniewem po chwili  
milczenia. — Nadto już pan  
sobie ufasz.

Pokoje w oficynie potrzebne będą, proszę je w ciągu tygodnia  
opróżnić.



— Niby to pan kapitan nie ma i tu i na folwarku pustych pokojów, z którymi niewiadomo co robić.

— Panu do tego nic, co mam i czego nie mam, każdy chce być panem u siebie, i ja też. Więc pan jesteś zbyteczny. A jeśli chcesz, żebym ci powiedział otwarcie, to powiem, że to teraz rosyjski kraj, rosyjski dom i Polaków tu nie trzeba, zwłaszcza przyjaciół \*skiego.

Stary pomyślał chwilę.

— Ano — rzekł — zapewne, zapewne. Ale bo pan kapitan niech uważa, że ja stary, ciężki, świata nie znam po za tą wsią. Gdzie mi się wynosić ztąd?

— A to już wasza rzecz. Pamiętajcie tylko, że za tydzień przychodzą robotnicy, okna i drzwi wyjmą, a jakby co z rzeczy zastali, każę porąbać i w pole rzucić.

— A to każesz, to każesz — odparł staruszek czerwony z gniewu. — Ale pamiętaj pan, Melitonie Nikiforowiczu, że tak samo, jak ty mi chcesz zrobić, wyrzucił raz rzeczy jednemu staruszkowi, (znałem go, był emerytowanym stołonaczalnikiem kancelaryi gubernatora w Kamieńcu), kapitan isprawnik w Winnicy. I wiesz, co się stało? trzy dni jeszcze nie minęło, a z kapitana isprawnika był trup, trup, rozumiesz, Melitonie Nikiforowiczu? Trup. A teraz kłaniam. — Bud' ty proklat, okajannyj — zaklął kapitan za odchodzącym. — A to dopiero bestya!, Tak i jest czarownik, ani słowa. Czarownik i tyle.

Jak to się stało, że ten człowiek dobroduszny i naiwny, nie mający w sobie cienia przebiegłości ani pojęcia o charakterach ludzkich i środkach wpływania na nie, jak się stało, że on właśnie trafił i to odrazu na słabą stronę przesądnego Melitona Nikiforowicza? Z umysłu nie zrobił tego pewnie, ale pewnem było również, że najbardziej przenikliwy i przebiegły znawca ludzi nie umiałby postąpić trafniej. Sztabskapitanowi dwie anegdotki o nagłych śmierciach zajęły głęboko w głowę. Zdawało mu się, że ten stary w swym odwiecznym mundurze ma moc rzucenia na niego okropnego jakiegoś uroku. Patrzył też na sowiecownika z przesądnym strachem i przestał mówić o wyrzuceniu go z oficyny, a kiedy batuszka wspomniał coś o tem przy wódce, rzucił się na niego, żeby milczał.

— Nie chcę znać, widzieć, ani słyszeć o tym starym czorcie  
— zawołał ze złością.

— I zaczepiać go nie będę. On coś wie, przeklęty, a mnie życie miłe. Byle mi się na oczy nie nawijał, niech tam siedzi w swojej dziurze.

Odtąd Meliton Nikiforowicz zostawiał starego w pokoju. Raz tylko, podpiwszy mocno, zapomniał o strachach, krzyknął na swoich kacapów i siej czas, bez

uprzedzenia, rozkazał w stancyach sowietnika wyjąć drzwi i okna, a sprzęty i rzeczy naładować na furę, wywieść precz za wiejski kołowrót i wyrzucić w polu.

Kacapi spełnili rozkaz dokładnie: starego, trzęsącego się z przerażenia i żalu, chłopci zaprowadzili do Maksymowej chaty, rzeczy w polu rozrzucone zaczęto już ładować na wóz, żeby je zawieść do Te-

plika, kiedy naraz nadbiegł dieńszczyk kapitana z rozkazem zanieśienia ich nazad.

Meliton Nikiforowicz wytrzeźwił się, przestraszył, przypomniawszy historię winnickiego sprawnika, kazał drzwi i okna powstawić na nowo i posłał nawet nazajutrz przeproszać sowietnika za „nieporozumienie”. Zdawało się, że będzie spokój. Niedługo trwał on jednak. W kilka tygodni po objęciu rządów przez Melitona Nikiforowicza, zjechała do S.....ki Darya Aleksiejewna, wspaniałym koczem i czterema rasowymi kasztanami, wziętymi prawem kaduka u dawnego marszałka powiatowego, skompromitowanego w ostatnich wypadkach. Darya Aleksiejewna była osobą młodą jeszcze, ale dość już roztyłą, ustrojoną w olbrzymią krynolinę kilku piętrowe koki, bardzo jaskrawe aksamity i strusie pióra. Rozmawiając krzyczała na cały głos, śpiewała fałszywie

kuplety Teresy z paryskiego Alkazaru, nie wypuszczała z rąk papierosa, wódkę piła kielichami od szampańskiego wina, a szampan szklankami. Sztabskapitan prezentował ją jako kuzynkę i w jej obecności stawał się cichy i pokorny, jak baranek. Odtąd donośny głos młodej pani rozbrzmiewał we dworze od rana do nocy i wszyscy zrozumieli, że rządy w jej ręku, a Meliton Nikiforowicz ma tylko dodatkowe znaczenie. Zaraz po przyjeździe, Darya Aleksiejewna zaczęła rozglądać się w swoim nowym państwie w towarzystwie młodego i zuchowatego „prykaszczyka”, którego przywiozła z sobą i mimo nieśmiałej opozycji Melitona Nikiforowicza instalowała niezwłocznie w godności rządcy. Funkcye informatora spełniał w pełnem usza-

nowania oddaleni zginający się co chwila ku ziemi Mordko, totumfacki sztabskapitana. Od niego dowiedziała się kuzynka wraz ze swoim prykaszezykiem o zamieszkującym jeszcze w oficynie sowietniku. Wiadomość ta podziałała na jej nerwy. — Cóż to znaczy, ty astrachańska małpo — zawołała, przyskakując niespodzianie do sztabskapitana, który po obfitym i suto oblanym obiedzie, mocno zaczerwieniony,

popijał dużymi kieliszkami nalewkę, paląc fajkę mego ojca na długim cybuchu. —

Takiż to już niedołęga z ciebie, że nawet i polskich dziadów wykurzyć nie potrafisz?

— Bo to widzisz, najmilsza Dariuszko, są pewne okoliczności — bełkotał

niewyraźnie, uśmiechając się z widocznym zmięszaniem i próbując wiaść ją za rękę.

Darya Aleksiejewna wyrwała mu niecierpliwie rękę i końcami palców, wcale nielekką, trzepnęła go po pulchnym policzku.

— Będiesz mi się wyklamywał, ciemiego z pod ciemnej gwiazdy — krzyknęła. —

Nieszczęsna moja dola z takim bałwanem mieć do czynienia.

Gadaj mi zaraz krótko

a szczerze, co w tem jest, dlaczego starego trzymasz, a pamiętaj, spróbuj tylko

zełgać, to tak po mordzie dostaniesz, jak twój Waśka od ciebie nigdy nie dostał,

ty już mnie znasz!

— Znam, znam, aniele najdroższy — wybąknął sztabskapitan, rejterując ostrożnie

ku drzwiom — wszystko szczerze... jak przed Bogiem... zaraz.

— Prędko będzie?

— Daj duch zebrać... Otóż widzisz z tym starym niełatwa sprawa.

Tu z całą wymową, do jakiej go mogły uczynić zdolnym libacye obiadowe i widok

groźnej amazonki, stojącej mu z pięścią nad karkiem,  
rozpoczął wyłuszczać swe  
obawy, wywołane opowiadaniem sowieckiego.  
Darya Aleksiejewna słuchała przez chwilę i twarz jej coraz  
bardziej zaczęła  
przybierać wyraz pogardy i wstrętu. Wreszcie wybuchnęła:  
— Tfu — zawołała — i to bydlę nazywa się cesarskim  
oficerem!  
Plunęła i wyleciała, trzaskając drzwiami.  
W dziesięć minut potem piękny przykaszczyk, woniejący  
fiołkową pomadą, był u  
sowieckiego.  
Przynosił mu rozkaz natychmiastowego wynoszenia się z  
oficyny i ze wsi i to bez  
żadnych wymówek, ani nadziei na odmianę rozkazu. To już  
nie z Melitonem  
Nikiforowiczem sprawa. Darya Aleksiejewna jest osobą  
delikatną, awantur nie  
lubi, ale, gdy coś powie; apelacji niema. Do jutra pokoje mają  
być wolne.  
Sowiecki zrozumiał, że tym razem trzeba będzie ustąpić.  
— Ale ja temu biedakowi \*skiemu obiecałem, przysiągłem,  
że w domu jego zostanę,  
że będę strzegł.  
Przykaszczyk zaśmiał się donośnie.  
— Aż do jego powrotu, co? Czy zgadłem? No, długo wam  
przyjdzie czekać i daleką  
drogę będzie musiał ....ski odbyć, żeby tu wrócić. Ot,  
komedia z wami. Ale tu  
nie czas bawić się w głupstwa. Z Daryą Aleksiejewna żartów  
niema. Pamiętajcie,  
żeby jutro było wszystko opróżnione.

Stary nie odpowiedział nic. Siedział na swoim krzeselku,  
ręce mu usunęły się i  
głowa opadła na pierś i

— Można więc na was liczyć? dopytywał się prykaszczyk.  
Sowiec ręką tylko skinął. Pilno mu było pozbyć się natręta,  
zostać przez  
chwilę z myślami swemi i bolem. Łudzić się nie mógł. Tym  
razem był to ostateczny  
dekret wygnania z tego kącika, w którym spodziewał się  
umrzeć. Tyle lat żył bez  
własnego kąta, z biedą się borykając, wśród obcych, aż na  
starość wreszcie  
znalazł dom przyjazny, cudzy a przecie jakby swój, i  
powiedział sobie, ciężar z  
serca rzucając: tu już zostanę. I był pewnym, że zostanie. Nie  
było to wiele —  
ale czy staremu potrzeba wiele? Ot, stacyjka ciepła i zaciszna  
w zimie, wiosną  
i latem pachnąca od bzów i jabłoni. Paru dobrych ludzi, aby  
było z kim pogwarzyć  
i nie nudzić się samemu. Parę punktów oparcia i przywiązania  
dla biednego,  
starego serca, które tęskniło za kochaniem, samotne,  
niekochane przez życie  
całe, od ostatnich pieścizot matki. Ze tam ktoś pośmiał się, że  
inny lekceważył,  
zapomniał, nie dogodził, to były małe rzeczy. Pogardzano nim  
przecie dawniej,  
krzywdzono go, wyśmiewano przez długie lata, — i o ileż  
inaczej! Tu czuł się

swoim, zdawało mu się, że jest użytecznym, a z pewnością  
wiedział, że jest  
kochanym, zwłaszcza przez nas młodszych. Kochanym?  
Zapewne nie tak, jak był wart  
i jak może pragnął, zapewne, że trochę raczej, jak część  
...ckiego remanentu —  
ale on tego nie analizował tak dokładnie. Poprostu nie miał  
porównawczej miary.  
Było mu więc dobrze, cicho, spokojnie, tą ciszą i spokojem  
pogodnego wieczoru, w  
których tak lubuje się

starość, choć ich nie rozumie wiek miody. I teraz... teraz to  
miało się skończyć  
— i niepowrotnie.  
Pan sówietnik siedział nieruchomy, z rękami splecionymi  
bezwładnie na kolanach,  
z głową, pochyloną bardzo nisko. Ktoś patrząc na niego z  
boku, mógłby pomyśleć,  
że śpi. Była to istotnie dziwna jakaś, do snu zbliżona apatia i  
martwota. Głowa  
mu tylko trzęsła się trochę, ile razy się ruszył i głośniej  
odetchnął. Tymczasem  
cienie zapadały po kątach izdebki. Przez okna otwarte  
nachylały się do jego  
stolika z drzew najbliższych białe kiście jaśminu i czerwone  
grona kaliny. W  
powietrzu pachniało rezedą, mokrą od ros wieczornych w  
gęstwinie ogromnego  
kasztana, ujmującego starą oficynę w zielone swe gałęzie, jak  
w skrzydła; —



spóźniony słowik zalewał się srebrnym świegotem. Było tak cicho, tak dobrze. Od dworu nawet, którego mieszkańcy wyjechali na spacer poobiedni, nie słychać było zwykłych wrzasków i przekleństw, tylko zdaleka, z po za stawów i sadzawek w głębi ogrodu, po których ślizgał się i igrał tysiącem gzygzaków wschodzący księżyc, ciepły wiatr sierpniowy przynosił stłumione odgłosy wsi usypiającej, ryk bydła, wracającego z pola, tęskny, monotony jęk supiłki na stepie i urywki pieśni parobków, kończących żniwo. Stary patrzył i słuchał, i pełną piersią wciągał w siebie nocne rosy i wonie ogrodu, i teraz dopiero zaczynało mu stawać się jasne to, co dotąd odpędzał od siebie, jak natrętą i przekorną pokusę. Skończyło się — nietylko z nim, mniejsza o niego, jemu i tak jeden krok do grobu, ale skończyło się z tem wszystkim, co go otaczało, w co się wżył, w co włożył

serce. Skończyło się z tem starem szlacheckim gniazdem, w którym i on znalazł przytułek, stary ptak bezdomny. Zdawało mu się dotąd, że to jakaś chwilowa burza, po której znów przyjdzie słońce — teraz widział i rozumiał, że to była pierwsza dopiero, ale nie ostatnia fala, płynąca na ten kąt, tak mu drogi.

Pierwsza przyszła, zniosła to wszystko, co przez wiele lat z  
trudem, z miłością,  
z nadzieją budowało i zostawiło po sobie kilka pokoleń;  
zniosła wszystko, ludzi  
rzuciła na obce, dalekie brzegi, teraz rzuca w dal obcą i  
nieznaną i jego:  
ostatni szczątek zniszczonego domu. Po niej przyjdą inne,  
coraz gwałtowniejsze i  
bardziej potężne. Te zagładzą ostatnie ślady dawnych ludzi,  
dawnych myśli.  
Noc już była, kiedy do oficyny ukradkiem wsunął się Maksym  
z dwoma innymi  
gospodarzami i z chłopakiem Sowietnika.  
Stary ani się poruszył.  
— Co powiecie? — szepnął bezdźwięcznym głosem.  
— A cóż, bieda i nieszczęście — rzekł Maksym pocichu,  
nachylając się do jego  
ręki. — Na koniec nam przyszło biedakom. Ot i panu już  
kącika pozazdrościli.  
— Pozazdrościli — powtórzył sowietnik tym samym głuchym  
głosem.  
— Więc my przyszli zebrać rzeczy, pomaleńku, pocichutku,  
żeby ci czorci nie  
znęcali się i żeby, Boże broń, tak jak tamtego razu nie było.  
Sowietnik ręką machnął.  
— Wszystko już jedno — szepnął.

— A niech Bóg zachowa, nie wszystko jedno. My nie damy  
starych kości waszych  
poniewierać. Nim co, zabierze się wszystko pięknie do mnie,  
złoży się w pustej

obórcę; panu w świetlicy zaścielemy, wyporządziśmy aż miło, i będzie spokój.

Zechcecie potem, to sobie co znajdziecie w Tepliku, czy w Humaniu. Nie, to taki

nie zabraknie u nas ciepłego kąta i stawy.

Stary roztajał trochę, rozrzewnił się.

— Bóg wam zapłać, dobrzy, kochani ludzie — rzeki ze łzami — ale nie bójcie się,

abym wam był ciężarem. Ot, byle graty złożyć tymczasem w jakim kącie i jedną,

dwie nocy samemu przytulić się. Jutro zaraz jadę do Teplika, tam stacyjkę sobie

upatrzę.

Nie pojechał jednak. Wynoszenie się z tych dwóch izdebek, w których myślał

dokołatać życia, zważyło go z nóg. Chłopi się poprzestraszali, chodzili koło

niego na palcach. Sprowadzili worożychę z Krasnosiółki. Za parę dni zwłóknął się

wprawdzie z tapczanu, ale sił mu brakło do jazdy. Posłał w niedzielę Andryjka,

starszego syna Maksyma, aby mu wyszukano stacyjkę w Tepliku. Andryjko wrócił z

pomyślną wiadomością. — Stancya się znalazła i bardzo porządna, w dawnym

klasztorze sióstr, zniesionym przez rząd, a będącym własnością prywatną. Stary

niby zaczął się zbierać co dzień oznaczał termin wyjazdu, gdy przyszedł,

odkładał go pod jakimkolwiek pretekstem — i nie pojechał.

Trzymało go coś w S.... ce, trzymało i nie chciało puścić.

Dnie szły tymczasem za dniami. Jesień snuła już po ścierniskach siwe włókna

babiego lata i złociła liście

spadające. Wozy skrzypiały po czarnych gościńcach, wysoko  
naładowane snopami i w  
obszernych sadach, otaczających chałupy wieśniacze swą  
zielenią, chłopcy trzęśli  
jabłonie na rańtuchy, rozpostarte dokoła po murawie.  
Pan sowietnik siedział zawsze jeszcze w Maksymowej  
światlicy, a raczej na  
przyzbie przed światlicą, zwróconą w stronę dworu. Patrzył na  
wielki płat  
ogrodowej zieleni, zamykający w głębi widnokrąg — i  
zapominał się w myślach  
przez długie godziny. O świcie, kiedy wszyscy spali we  
dworze i nikt go nie mógł  
spotkać, wychodził, oglądając się, powoli na przechadzkę.  
Szedł zawsze w jedną  
stronę. Tylną furtką od gospodarskich zabudowań dostawał się  
do ogrodu, wybierał  
sobie jakieś miejsce ukryte, z którego widzieć można było  
dwór albo oficynę,  
stojącą od jego odejścia pustkami, siedział, nie ruszając się,  
długie godziny.  
Co mu wtedy przechodziło przez myśl, co działo się w sercu?  
Bóg wiedział jeden.  
To pewne, że zwłaszcza, gdy zasiedziało się dłużej i spieszył z  
powrotem, ręce mu  
trzęsły się i oczy były bardzo czerwone.  
— Ot, stary znów sumuje za państwem — szeptały dziewczęta  
w Maksymowej chacie,  
trącąc się łokciami.

Raz zasiedział się dłużej. W przededniu otrzymał list z Kijowa bardzo smutny.

Sprawa mego ojca przybierała znacznie gorszy obrót, niż spodziewano się w początkach, matkę moją uwięziono w mieszkaniu, brat chory był na skorbut w Prozorowskiej baszcie. Liczba mieszkańców fortecy powiększyła się o kilku sąsiadów i krewnych.

Stary wiadomości te wziął do serca, w nocy spać nie mógł, jęczał tylko i wzdychał. Przyszedł do ogrodu później, niż zwykle i w myślach posepnych, nie uważał na biegnące po sobie godziny. Wyjątkowym zbiegiem okoliczności poprzedniego dnia nie było gości we dworze. Darya Aleksiejewna, którą to wprawilo w humor okropny, nie doczekawszy się nikogo do zmroku, kazała wcześniej dawać wieczerzę, i odpowiedziawszy grubiaństwem sztabskapitanowi na jego propozycję tryktraczka w dwie osoby, położyła się spać o dziewiątej. Nazajutrz ranek był śliczny, spać się nie chciało i po raz pierwszy od przybycia do S.....ki, a pewnie i od początku lata, piękna pani wyszła do ogrodu w przedpołudniowej porze. Towarzyszył jej nieodstępny Ardalion Wasiliewicz, piękny, fiolkami pachnący przykaszczyk.

Darya Aleksiejewna szła powoli w swej potwornie wydętej krynolinie, szeleszcząc spódnicami i kołysząc swe okazale i majestatyczne wdzięki. Z tyłu za nią, ale bez uszanowania pełnej rezerwy, jaką się odznaczał we dworze, nachylał się, szepcząc jej coś do ucha, przykaszczyk. Nie musiało to być nic przykrego, bo Darya Aleksiejewna uśmiechała się rozkosznie, odwracając na pół głowę ku młodemu człowiekowi i pokazując mu swoje zdrowe i ładne zęby. W cieniach cichej alei nazywała go pieszczotliwie: „Ardiuszą.” Naraz na skrócie ulicy zatrzymała się i rzuciła się w tył gwałtownie.  
— Co to jest? kto? Jakiem prawem?

Powodem jej przestrawu był poczciwy sowietnik. Nie domyślając się niczego, siedział sobie na ławeczce przy grabowym szpalerze, w ręku miał list wczorajszy i tak był zatopiony w myślach, że ani spostrzegł zbliżającej się pary. Czapka leżała koło niego na ziemi, wiatr podnosił z lekka i rozwiewał siwe, oddawna niestrzyżone włosy a przez szpary gęstwiny przedzierający się promień ранnego słońca rozsypywał na zmęczonej, trzęsącej się głowie brylanty. Ardalion Wasiliewicz chciał rzucić się, aby odpędzić natręta, który miał

śmiałość i nieszczęście ściągnąć niechęć jego nadobnej towarzyszki. Ku niemałemu jednak zdziwieniu prykaszczyka, Darya Aleksiejewna wstrzymała jego rękę.

— Ani kroku i cicho! — szepnęła stojąc nieruchoma z wlepionymi w staruszkę oczyma.

Powabna twarz prykaszczyka zmieniła się w znak zapytania, ale Darya Aleksiejewna nie raczyła na to zwrócić uwagi. Stała wciąż, wpatrując się w sówienika i jej obrzękłą, bezmyślną twarz zaczęła pozbywać się swego wyzywającego wyrazu.

Zdawało się, jakby miękła, łagodniała. W oczach, które oficerowie przy szampanie nazywali oczyma złej kotki, zaczęło drgać i promienieć coś... jakby uczucie.

— Jak mi on przypomina starego — szepnęła. Co się w tej chwili działo w duszy tej kobiety?

Czy jej stanął przed oczyma drewniany dworek nad Wołgą, w ziemię wsiadły, ciasny i pełen robactwa, ale swój, ale punkt wyjścia wszystkich wspomnień dzieciństwa i młodości? Czy przypomniała sobie staruszkę, siedzącego przy drzwiach na zydelku, jak ten

tutaj na ławeczce przy zielonej ścianie, tak samo siwego jak ten, w podobnym

starym mundurze, z fajeczką w ustach i wesołym spojrzeniem  
pocziwych szarych  
oczu? Czy obił się znów o jej uszy głośny płacz tego  
staruszka, gdy wróciwszy z  
cmentarza, gdzie pożegnał towarzyszkę całego życia, ją  
dwunastoletnią wtedy,  
przycisnął do serca, jęcząc: ty mi jedna zostateś na świecie,  
jedna pociecha i  
nadzieja... Bądź że dobra, bądź dobra, jak ona!... Czy może  
posłyszała raz  
jeszcze ten inny krzyk, taki straszny, niezapomniany, ten  
krzyk, co ją lata całe  
budził po nocach ze snu i przerażał wśród hulanki i szampana,  
krzyk starca,  
wyciągającego przeciw niej trzęsącą się rękę i wołającego  
urywanym głosem:  
„Przeklęta, przeklęta... precz odemnie! precz do koszar... ja  
nie mam córki!”  
Któż wie, kto zrozumie serce ludzkie? Sąż przecie takie  
chwile, w których  
spadają łuski z oczu, co nie chcą widzieć, i rozdzierają się  
zasłony z sumień,  
co nie chcą pamiętać...  
Darya Aleksiejewna stała długo milcząc, z twarzą łagodną i  
uszlachetnioną  
smutkiem. Wreszcie wstrząsnęła się, ręką potarła czoło, i  
zwróciła się do  
prykaszczyka.  
— To ten stary z oficyny — szepnęła. Ardalion Wasiliewicz  
skłonił z pośpiechem  
głowę  
— Co się z nim stało?



— Mieszka na wsi, u chłopa, który był tu dawniej gumienym  
Ma wynosić się do  
Teplika, ale słyszałem, że z dnia na dzień wyjazd odkłada i już  
mi to  
doniesiono, że tu rankami i wieczorami zakrada się do ogrodu,  
ale nie miałem  
jeszcze czasu...

Darya Aleksiejewa skinęła ręką niecierpliwie, przerywając i  
szybkim krokiem  
podeszła do sowietnika. Ten przyszedł do siebie i zobaczył ją  
dopiero wtedy,  
kiedy dotknęła jego ramienia.

Zerwał się przestraszony, drżący, rzucając w koło siebie na  
pół nieprzytomnym  
wzrokiem, jak ptak, nakryty niespodzianie siecią myśliwca.  
— Niech mi pani wybaczy... nie wiedziałem... przypadkiem...  
Już nie będę więcej  
zachodzić, przeszkadzać. ..

— Uspokój się pan — rzekła łagodnie i cicho Darya  
Aleksiejewa. — Ja panu nie  
chcę nic złego uczynić.. Owszem, żal mi tego, co się stało.  
Wyrzucono ztąd pana?  
Chciałbyś wrócić do dawnego mieszkania i żyć tu jak dawniej  
?

— Czy chciałbym? — jęknął sowietnik, składając ręce — czy  
chciałbym ?

Ale przyszło mu na myśl, że to żarty z niego stroją, więc  
machnął ręką, czapkę  
podniósł z ziemi, stęknąwszy i zbierał się do odwrotu.  
Darya Aleksiejewa zatrzymała go.

— Ja wcale nie żartuję — rzekła — ja zaraz pošę naszych ludzi po pańskie rzeczy. Tymczasem — dodała, zwracając się do Ardaliona Wasiliewicza — każ pan oczyścić i przewietrzyć pokoje w oficynach. I żeby mi wszystko było w porządku, wygodnie, i żeby nikt mi nie śmiał niepokoić staruszka, rozumiesz ?

Ostatnie słowa wymówione były tym rozkazującym tonem, przed którym wszystko drżało w otoczeniu Daryi Aleksiejewny. Prykaszczyk skłonił się tylko nisko.

— Będzie spełnione — rzekł.

Darya Aleksiejewna zwróciła się znów do sowietnika.

— Cóż, kontent pan jesteś? spytała.

— Być że to może? — szepnął stary. — Nie sąż to żarty? A, byłyby zbyt bolesne! I naprawdę wolno mi będzie wrócić tu, mieszkać, umrzeć?

— Wrócić i mieszkać wolno będzie — zaśmiała się piękna pani — ale umrzeć — nie.

— A, w moim wieku, niedługo już tego, nie długo. Ale i umrzeć lżej tu będzie.

Tylko...

Zatrzymał się, nie śmiejąc skończyć. Zaczynały mu przychodzić podejrzenia, wątpliwości. Zkąd wzięła się ta łaska? Do czego będzie go zobowiązywać? Nie wiedział, jak to wyrazić, jak spytać, wreszcie zebrał się na odwagę.

— Czemuż jednak tę łaskę tak wielką mam przypisać ?

— Czemu? — odpowiedziała powoli Darya Aleksiejewna; —  
Czemu? Szczerze powiem.  
Ojca mi pan przypomniałeś, staruszka. On już dawno w  
grobie... i nawet nie wiem,  
jak, kiedy umarł, gdzie leży... Taki sam był stareńki, siwiutki,  
kiedy z nim się  
rozstałam. Ja w Boga wierzę. Wszyscy my grzeszni ludzie,  
potrzebujący Jego  
miłosierdzia. Tak mnie i przyszło na myśl, że Bóg mi będzie  
miłosierny, jeśli ja  
wam dobrze zrobię. Zamiast ojca starego, który w grobie już  
jest, wam. I nic ja  
od was nie żądam w zamian, nie proszę, tylko ot: przyjdę  
czasem, na wasze białe  
włosy popatrzę, będzie mi się zdawało, że to ojciec przy mnie.  
A wy, wy modlicie  
się dużo, wiem, wy się pomodlicie za mną grzesznicą: Może...  
może pomoże co,

może zagłuszy robaka, co duszę gryzie, może siłę  
przekleństwu odbierze...

Darya Aleksiejewna skończyła cicho, szeptem prawie, potem  
stała przez chwilę  
jeszcze, zamyślona, wreszcie skłoniła się staruszkowi bardzo  
nisko, rosyjskim  
obyczajem „w pas” i odeszła powoli do domu.  
Sowiecik pozostał na miejscu, patrząc na nią, pytając siebie,  
czy to sen i  
ułudą. Przekonał się jednak, że to była rzeczywistość. Kiedy  
nakiwawszy się

głową i naruszawszy ramionami, wrócił wreszcie do Maksymowej chaty, zastał już tam tuzin kacapów i dwie fury, przygotowane na przewiezienie jego niewielu gracików.

Chłopi stali zdaleka, przypatrując się temu i szepcząc między sobą pocichu, bardzo jakoś nieufni. Korzystając z chwili, kiedy nikt na nich nie zwracał uwagi, Maksym wziął starego na stronę. Odradzał mu przenoszenie się. Bał się zmiany humoru, awantur, prześladowań. Gwałtem go przecież z chaty zabrać nikt nie mógł, a gdyby i tak było, to lepiej już wynieść się do Teplika. Kącik cichy, spokojny, nikt tam bruździć mu nie będzie. Ale z tymi ludźmi! Boże chroń biedy! Lepiej z nimi nie zadawać się, zdaleka być. Sowiec na to głową tylko potrząsnął. — Nie może to być — rzekł. — Obiecałem, że póki będę mógł, zostanę — i zostanę. Gwałtem wyrzucili, to już nie moja wina była. Teraz pozwalają wrócić, a jabym się ociągał? Niechże Bóg broni! Grzechby był. A zrobić mi? Co zrobią staremu?

I przeniósł się nazad do oficynki. Tym razem nie zawiodły go dobre przeczucia.

Miał już spokój. Nikt o niego nie troszczył się, ale i nikt mu nie dokuczał.

Darya Aleksiejewna nie przyszła do niego, patrzeć na jego siwe włosy i wspominać dawne dzieje, ale zachowała dla staruszka przez jakiś czas trochę życzliwej pamięci. Posyłała mu owoce, ciasta, wino, zimą kazała dawać opał. Moskiewska służba rozkradała to, ale łaska wszechwładnej pani była znana i zabezpieczała sowietnikowi spokój. Po paru miesiącach zapomniano o nim we dworze zupełnie — i z tem mu było najlepiej.

\*\*\*

Lata przeszły. Mój ojciec i brat oddawna byli w Irkucku, matkę po paroletnim procesie internowano na wsi u krewnych, S.....ka przeszła na własność państwa. Meliton Nikiforowicz i jego piękna „kuzynka” już tu nie mieszkali. „Wyszła nieprzyjemna historia z nimi” — mówił, wzdychając batuszka — wielki sztabskapitana przyjaciel. Zdaje się, że czcigodny Meliton Nikiforowicz pozostałby był bez przeszkód w S....ce i nikomu nie przyszłoby na myśl zadawać mu jakieś niedyskretne pytania, co do lasów które rąbał bez litości i co do rozmaitych spraw gorzelnianych, które go wprowadzały w ścisłe i częste stosunki z hajsyńskimi i humańskimi żydkami. Wszystko byłoby dobrze, wiadomo, jak pomiędzy braćmi: jeden drugiego potrzebuje, a każdy ma coś takiego, w co nie

chce, aby drugi zaglądał. Trzebaż nieszczęścia: baby popsuły wszystko. Za-

chciało się Daryi Aleksiejewnie być w Hajsynie na uroczystym obchodzie jakiegoś jubileuszu prawosławnego zwycięstwa nad polsko-katolicką „kramołą.” Miało być nabożeństwo, wojskowe ćwiczenie, koncert z loteryą i tak dalej. Sprawnikową, jako przewodnicząca komitetu, rozdawała bilety i mimo instancji przyjaciół sztabskapitana i Daryi Aleksiejewny: protojereja, kaznaczeja „mirowego” sędziego, nie chciała dać innego biletu, jak w drugim rzędzie. Darya Aleksiejewna wściekła się, wythukła sztabskapitana na winne jabłko, wystroiła się i obwieszała precyozami, jak wystawa jubilera i czwórka w lic puściła się do miasteczka. Tam w cerkwi, szturchnąwszy sprawnikową niby przypadkiem, ale bardzo boleśnie, wysunęła się przed nią na sam przód przy ikonostasie, później zajęła, z wyzywającą miną, miejsce pierwszorzędne na koncercie. „Wyszedł skandal.” Energiczną damę próbowano daremnie wyprosić, wobec czego uznała za obowiązek usunąć się sprawnikową, a za staraniem tej ostatniej nad administracją S ....ki rozciągnięto tak czujną i skuteczną kontrolę, że po paru miesiącach Meliton

Nikiforowicz znalazł się pod sądem Sprawę wprowadzie przyduszono, ale biedny sztabskapitan nie odzyskał już straconej posady i rozpił się z rozpaczą ostatecznie, a Daryą Aleksiejewną zajął się „mirowy pośrednik” z sąsiedniego powiatu.

S...kę wypuszczono w dzierżawę żydowi, który mieszkał w trzech pokojach we dworze, a resztę domu używał na skład ogrodowizny i gospodarskich rupieci.

Sowietnika nie ruszał z oficyn. — „Na co mi oficyn, kiedy ja i z dworem nie mam co robić?” — mawiał

I naprawdę gniło, próchniało, osypywało się tam wszystko. Sowietnik oficynkę reperował własnym kosztem i parę razy do roku bachurom, których było ośmioro, posyłał przez chłopaka prezenta.

Widywano go już tylko w kaplicy teplickiej, dokąd wolnym truchcikiem przyjeżdżał w lecie, w piękną pogodę, swemi ślepymi i kulawymi szkapami. Sam już mało co widział. Bywało przy wyjściu z kaplicy spotykają go dawni znajomi, witają, pytając o zdrowie, o wiadomości od moich rodziców. Stary ręką oczy przysłania, przypatruje się ze zdziwieniem widocznym, wreszcie poznaje. — A, to pan sędzia dobrodziej! Nie poznałem. Ot, nie poznałem. I nie

spodziewałem się już spotkać. To pan sędzia mieszka jeszcze w Bratujówce? A pan Feliks? Wywieziony, tak! A pan Antoni? Sprzedali mu majątek z publicznego targu, tak! A Ignacy, Seweryn, Witold? Wszyscy posprzedawali ziemię, pobankrutowali, powynosili się. To któż został, prócz pana sędziego? Wymieniano mu dwa, trzy nazwiska. — Tylko ci? Niedobitki! I nikt więcej, nikt? Ależ to cmentarz, ten nasz powiat! Całe obywatelstwo znikło, jakby kto je wymiół. Boże miłosierny! Wzdychał stary i łzy ocierał. Więc go namawiano, żeby paru pozostałych jeszcze sąsiadów S....ki odwiedził, pytano, kiedy pozwoli przysłać po siebie konie. Ale on kłaniał się tylko i trzął głową. — Już mi nie do wizyt — tłómaczył się. — Stary jestem, smutny, nie zabawię was. A przytem, jechać przez wsie, w których bywałem kiedyś, koło

pustych dworów, patrzeć na szczyrby, na próżnię wkoło was, to dla mnie za ciężkie. Wolę siedzieć w mojej norze i myśleć, że wszystko jeszcze po staremu. — Dobrze po staremu, kiedy w S....kim dworze żyd siedzi, a moskale rządzą. — To i cóż? Do czasu to, do czasu. Nie wyrzucili mnie dotąd, to widać potrzebny



jeszcze jestem na coś. I to mnie trzyma. Nie chcę chorować,  
nie chcę umierać, bo  
któżby przyjął ....skiego, kiedy wróci?  
— Ależ kochany sowietniku, jeśli nawet ....ski wróci, co na  
teraz mało jest  
prawdopodobne, to przecie nie wróci do S.....ki. Przecie  
S.....ka jest  
skonfiskowaną, a rząd nie oddaje nigdy tego, co raz pochwyci.  
— Być może, być może, a jednak mówcie sobie państwo, co  
chcecie, ja wierzę  
mocno, że dożyję powrotu ...skich do S.....ki i oddam im  
klucze domu do rąk.  
Uśmiechano się z politowaniem i nie sprzeczano dalej żeby  
nie drażnić staruszka.  
Od chwili powrotu do swej oficyny był on istotnie święcie  
przekonany, że to jest  
objaw zwrotu na lepsze, którego rezultatem musi być  
koniecznie powrót dawnych  
właścicieli S.....ki do ich gniazda.  
Zdarzyło się raz, że jakiś interes zmusił moją matkę do  
stawienia się w  
Hajsynie, naszym dawniej powiatowym miasteczku i do  
zabawienia kilku dni w  
okolicach S....ki. Było to, pamiętam jak dziś, pod czas  
wakacyj po pierwszym  
roku, przebytym przezemnie w szkołach. Zajechaliśmy do  
sąsiadów S.....ki,  
niewidzianych od powstania. Oczekiwano nas i przyjęto ze  
łzami. Ledwie  
usadowiliśmy się przy herbacie

i przekasce, nadjechał swą dryndulką, uprzedzony zawczasu,  
sowiec.

Zobaczywszy moją matkę, rozplakał się.

— Tyle lat — szepnął, całując jej ręce — tyle lat... Czekam,  
wyglądam i  
daremno... I teraz wreszcie spotykam panią, ale samą, bez  
męża, i tutaj, nie w  
domu jeszcze...

Moja matka uśmiechnęła się smutnie.

— Jeszcze? — powtórzyła. — Ej, nie łudźmy się darmo, panie  
Józefie kochany. To  
już minęło i nie wróci. Byłeś pan z mężem, z synami mógł  
mnie zobaczyć razem,  
mniejsza gdzie, byle razem, w kraju, więcej nie pragnę.

— A ja nie tylko pragnę, ja oczekuję więcej i jestem pewny,  
że mnie nie

zawiedzie oczekiwanie — odparł wiec. — Jeżeli mnie  
moskale nie wypędzili i

żydzi nie wygryźli, to już widać, że Bóg mi miejsce dla was  
zachować, gdy

wrócicie. I wróćcie państwo, wróćcie, ja to wam mówię. Do  
tego czasu żyć

pragnę, umierać nie chcę Gdy was na progu przywitam,  
pobłogosławię, wtedy powiem

z głębi serca Panu mojemu: nunc dimittis...

— Daj to Boże — szepnęła moja matka bez przekonania,  
ściskając jednak serdecznie  
jego rękę.

Zmieniono rozmowę, podano wieczerzę, po niej staruszek  
zaczął zbierać się z  
powrotem.

— Pani jutro odjeżdża — spytał.

— Po objedzie.

— W takim razie miałbym prośbę. Niech mi pani da syna.  
Zawiozę go do S.....ki,  
nacieszę się chłopakiem, w oficynie się prześpi, na obiad go  
odwiozę.

Mojej matce zrobiło się przykro.

— Po co? — rzekła ze smutkiem. — Chce pan z nami być,  
przenocuj tutaj. Miejsca i  
serdecznego przyjęcia, wiem, że nie zbraknie. A tam... co po  
nim? Ruiny, żydzi,  
moskale... Na co mu jasne dziecinne wspomnienie tego kąta  
kochanego psuć na  
darmo? Niech S.....ki, jaką jest teraz, nie zna lepiej...

— Owszem — odparł żywo stary — owszem, niech widzi,  
niech pamięta wieś rodzinną  
w zniszczeniu i poniewierce, żeby o niej myślał, żeby za nią  
tęsknił, żeby ją  
szanował i kiedyś z własnej winy, na poniewierkę podobną nie  
puścił.

— Nie przyjdzie do tego, panie drogi — rzekła moja matka —  
gdyby nawet Bóg mu  
kiedy dał mieć kąt własny, nie będzie to ten kochany, nie  
będzie ta  
pradziadowska ziemia, nie... Ale kłócić się z panem nie chcę,  
chciałabym owszem  
wierzyć jak pan, a odmówić nie mogę. Jeśli więc sam on  
chce...

— Chcę, mamó, proszę, bardzo proszę — zawołałem gorąco.  
Moja matka westchnęła.

— Jeśli tak, jedź z Bogiem, dziecko moje — rzekła, kładąc mi  
krzyżyk na głowę

\*\*\*

Noc była księżycowa, bez chmur, ciepła i cicha Wszystko już  
spało we wsi, gdyśmy  
przejeżdżali kołowrót. Gdzieniegdzie tylko przez małe szybki  
chat przyświecało  
zapóźnione łuczywo. Psy zmęczone dniem upalnym,  
poszcze kiwały za nami krótko,  
leniwie i sennie.

W srebrnym świetle nocnym nie widać było szczerb,  
wyrąbanych w ogrodzie, ani  
spustoszeń i zniszczenia budynków. Ogromne, czarne cienie  
klombów i topolowych  
alei siały się nad gościńcem z cichym szelestem. Na tle  
kasztanów i modrzewi  
dziedzińca białe kolumny głównego ganku kąpały się w  
smętnych księżycowych  
blaskach. Zdało mi się, żeśmy wczoraj ztąd wyjechali na dzień  
jeden w sąsiedztwo  
i że w drzwiach uchylonych czeka na nas stary Hryhor, siwy  
jak gołąb, kozak  
mojej babki, z palcem na ustach, szepcząc:  
— Cicho proszę, bo pani marszałkowa już śpi.  
Ach! Wtedy to było lat kilka za ledwie, które ogarniała, o  
których na chwilę  
zapomniała moja pamięć dziecinna — i wtedy to już i babka  
kochana i stary  
ulubiony jej sługa odeszli w ostatnią swą drogę. A dziś... Całe  
życie ludzkie  
leży pomiędzy mną a tą chwilą — i cały łańcuch grobów. Jak  
często myśl zmęczona

nędzą i próżnią dzisiejszej doby lotem cichym dotknie tych  
dni dalekich,  
tylekroć dotyka umarłych, Tyleż bo lat minęło, tyle lat... A  
jednak, nie byłoż  
to wczoraj ?... Ileż razy, budząc się ze snu w cudzych murach  
mego mieszkania,  
pytam się w pierwszej chwili sennego zdziwienia: Co się stało  
ze mną i dlaczego  
tu jestem? Czemu mi przez okna mojej sypialni nie szumią  
smętne modrzewie i nie  
błyszczą białe szyby ogrodowych stawów, i czemu, jak  
niegdyś, nie budzą mnie ze  
snu słowiki?  
Pamiętam jak dziś: tak byłem pod złudzeniem wspomnień  
niedawnych, że mimowiednie  
rzuciłem się

ku furmanowi upomnieć go, że źle jedzie, kiedy zamiast przed  
ganek dworski,  
skręcił na lewo ku oficynie.  
Pan sówietnik mimo krótkiego wzroku zauważył to i  
zrozumiał. Położył! rękę na  
mojem ramieniu i rzekł mi bardzo miękkim, serdecznym  
głosem:  
— Jeszcze nie, dziecko kochane, jeszcze nie, ale to przyjdzie z  
pomocą Bożą,  
bądź spokojny.  
A właśnie w tej chwili konie stanęły przed ganeczkiem oficyn.  
Weszliśmy. Chłopak uprzedzony czekał na nas i pościel mi  
przygotował w pierwszej

izdebce czyściutką. Kwiatów też trochę stało przy łóżku i  
talerz owoców. z  
których S....ka słynęła za moich rodziców.  
Stary schwycił mnie w objęcia.  
— Nie mam ci dać nic lepszego, — szepnął — ale wiem, że ci  
to będzie miłe, z  
ojcowskiej to ziemi kwiaty i owoce. Spróbuj ich.. Matce  
zawieziesz jutro resztę.  
I śpijże spokojnie tymczasem, jak gość w tym domu, w  
rodzicielskim, nim wrócisz  
do niego, jak do odzyskanego gniazda.  
Przeżegnał mnie, ułożył do snu, a sam poszedł do drugiego  
pokoju i zaczął  
odmawiać pacierze.  
Nie mogłem zasnąć. Myśl, że jestem w S.....ce,  
sen odpędzała. Z drugiego pokoju przez drzwi, źle  
przymknięte, przedzierał się  
wąski pasek światła i słychać było głos modlącego się  
staruszka.  
W ciszy nocnej słowa jego rozchodziły się po obu izbach,  
powolne i głuche,  
podnosząc się raz w górę jękiem błagalnym, to znowu  
rozpływając się i milcząc w  
szepcie Zacząłem przysłuchiwać się. Stary nie od-

mawiał modlitw z książki, ani zwykłych, na pamięć umianych  
pacierzy. Te ostatnie  
już zakończył: teraz, pewny, że śpię i że go nikt nie słyszy,  
zwyczajem swoim  
głośno rozmawiał z Bogiem.  
I oto, co z tego słyszałem.

— Zmiłuj się nademną, Panie, wedle wielkości miłosierdzia  
Twego — mówił drżącym,  
starością rozbitym głosem. — Zmiłuj się nad niegodnym sługą  
Twoim. Oto bowiem  
obsypałeś mnie dobrodziejstwami od kolebki aż po sam kres  
grobu. A iżeś mi i  
krzyżów nie skąpił, i za to bądź błogosławiony. Zgiąłeś mi  
kark ku ziemi, nie  
dałeś hardości wstępu do serca, ani przywiązania do marnych  
rozkoszy świata. I  
za to jeszcze niech Ci dzięki będą nieskończone, żeś mi  
pozwoił strzedz tego  
oto ziemi naszej zakątka, aby nie cały poszedł na pohańbienie  
wroga, aby choć w  
tej lichej izdebce nie ustała chwała Twoja.  
A iż dni moje ostatnie samotne są i bez ludzkiej pociechy, i w  
tem niech się  
święci wola Twoja. Albowiem oto jestem, jako liść opadły z  
drzewa i leżący zdala  
od niego przy drodze, i jako ptak, pozostały przy gnieździe,  
gdy inne odlecą.  
Pusto wkoło mnie i smutno jakbym za życia już był na  
cmentarzu. Kędy spojrzę  
oczy moje, wszędzie przed niemi obrazy gniewu Twego i  
pomsty, wszędzie zburzone  
ołtarze, zniszczone ogniska domowe: gruzy i zgliszcza tylko, a  
nad niemi śmiech  
i tryumf wroga. Ależ dopókiż, Panie, dopókiż pomsty Twojej?  
Dopókiż serce  
zamkniesz na wołanie uciśnionych i smutnych?  
Oto z głębi nędzy i żałości, obciążającej moją starość,  
podnoszę głos mój ku  
Tobie, Boże ojców, mo-

ich! Nie za sobą proszę, ale za braćmi w łzach i ucisku, za  
ziemią, co mi życie  
dała. Zbaw ją i ochroń! Wróc chwałę Twą, gdzie zmiłkła,  
zapal światła ofiarne,  
gdzie zgasły, przywróc zniszczone gniazda nasze. Oto i za tym  
domem Panie, dziś,  
jak codzień, przyjm modlitwę moją. Niech on znów stanie się  
Twoim, niech w nim,  
jak dawniej, święte imię Twoje króluje. Przywiedź, przywiedź  
napowrót w jego  
progi wygnańców, a mnie grzesznikowi nad grobem, pozwól  
dożyć tej chwili.  
Albowiem dla zmiłowań Twoich ufała dusza moja w Tobie...

\*\*\*

I znów całe lata przeszły, przeszło ich więcej, zmieniło się  
wiele.  
Mój ojciec powrócił z Sybiru, Nie dość, że po wrócił.  
Wypadkiem wyjątkowym w  
dziejach rosyjskiego prawodawstwa, zwłaszcza na polskich  
kresach, proces z  
rządem o nieprawnie zagarnięty majątek, został wygrany.  
Ciężkiem sercem  
niedawnego buntownika administratorowie skonfiskowanego  
mienia musieli uznać,  
gdy zawiodły tysiączne wykręty i szykany, za jego  
niezaprzeczonego właściciela,  
i pewnego letniego wieczora rodzice moi cudzymi końmi i  
powozem, pożyczonym  
przez krewnych, dojeżdżali do S...ki, aby już w niej pozostać.



Smutny to był powrót, choć radosnym zdawać się był  
powinien. Dwanaście lat  
więzienia i wygnania zjadły, jak rdza, najpiękniejszy wiek  
męski mego ojca.  
Matka moja z progów tych wyszła młoda, piękną kobietą,  
pełną życia i nadziei;  
wracała jak kwiat złamany i zwiędły przed czasem, bezsilna i  
znużona ży-

ciem, z zarodkiem sercowego cierpienia, które w kilka lat  
później miało się  
skończyć na granowskim cmentarzu Po latach troski i bólu  
promień słońca  
przedzierał się na nowo przez chmury, ale... zapóźno.  
Od granicy majątku słynącego niegdyś ładem, jechać było  
trudno przez mostki  
zgniłe, przez groble przerywane i zapadłe. Ze sztachetów,  
otaczających ogród i  
dziedzińce, z parkanów dokoła gospodarczych zabudowań, tu  
i ówdzie tylko  
sterczał pojedynczy, zapomniany kołek. Gorzelnia, podpalona  
niedawno przez  
propinatora dla ukrycia nadużyć, sterczała w górę ogromnym,  
okopconym kominem.  
Na folwarku rudery były bez drzwi, bez dachu. Z gumna  
wygon tylko został stepowy  
chwastem zarosły. Ogród, w części wycięty, zarósł młodym  
gąszczem i zmienił się  
w las nieprzebyty, dokoła stawów okrytych pleśnią i gęstem  
sitowiem.

Dom na pół bez dachu, bez okien, z walącymi się kolumnami,  
z zielenią krzewiącą  
się bujnie po nad attyką i gzemsami, był jedną ruiną tylko.  
Ojciec mój głową kiwał smutnie, nic nie mówiąc; matka twarz  
ukryła w dłonie,  
przez które zwolna sączyły się łzy.  
Wjechaliśmy w dziedziniec, w którym na resztkach żywoplotu  
i na pościnanych  
pniach świerków suszyły się żydowskie łachmany. Przed  
bocznym gankiem dworu,  
prowadzącym do paru jako tako zachowanych i zajętych przez  
dzierżawcę pokoi,  
stała gromadka żydów, przypatrujących się nam ciekawie, jak  
przed zajezdnym  
domem w miasteczku.  
Stangret zmieszany wstrzymał konie, nie wiedząc gdzie  
zajechać. Ale w tejże  
chwili od oficyny zaczęto

mu dawać znaki i kilku wieśniaków rzuciło się do powozu.  
Nikt o przybyciu naszym nie uprzedzał — czekano nas jednak.  
Maksym, Ołeksza, paru  
innych gospodarzy i sług dworskich zebrało się, aby  
wracających przywitać. We  
drzwiach oficyny drżący cały, płacząc cicho, stał sowietnik. W  
rękach trzęsących  
się trzymał chleb i sól.  
— Doczekałem, doczekałem was nareszcie — szeptał.  
Trzeba go było podtrzymać, bo słaniał się i z nóg padał.  
Wczoraj jeszcze zdrów

był i krzepki — wiadomość o powrocie moich rodziców,  
spełniająca tyloletnie  
oczekiwania i nadzieje, zbytniem szczęściem stała się dla  
staruszka szkodliwą.

Posadzono go w krzesło, obok niego, rękę jego trzymając w  
dłoniach, siadła moja  
matka.

Staruszek wyniósł się ze swych ulubionych izdebek do małej,  
gratami staremi  
zawalonej komórki z drugiej strony korytarza. W swoim  
mieszkańiu urządził  
siedzibę dla moich rodziców. I trzeba ją było widzieć. Z  
młodzieńczą energią  
wyszukiwał po kątach, po składach i spiżarniach resztki  
dawnych sprzętów; z  
pomocą Ołeksy, rozumiejącego się trochę na stolarce, kleił,  
sztukował,  
polerował, z Teplika, co brakowało, dokupił — i dwa pokoiki  
przybrały schludną i  
wygodną postać. Mój ojciec, który myślał wstąpić tu tylko i na  
noc jechać do  
sąsiadów, znalazł przygotowane wszystko.  
— Już was nie puszczę — mówił sowietnik — Naczekałem  
się dosyć. Musicie już  
zostać.

— Ale czyż się godziło tyle trudów i kosztów podejmować,  
panie Józefie drogi —  
wymawiała mu moja matka. — Z sił pan wybiłeś się przez to.  
I w dodatku ustępować

się ze swego pokoju... Tak być nie może. Jutro, pojutrze,  
musimy przenieść się  
do dworu.

Sowiec rękami rozwiódł, protestując.

— Niechże Bóg broni — rzekł — abyście państwo mieli z  
żydami mieszkać pod jednym  
dachem. Tam zresztą ruina. Nie; dom się przerobić musi, żyda  
na folwark wyprawić  
i wtedy dopiero wykadziwszy po moskiewskich łajdactwach i  
żydowskich brudach,  
poświęcić i przenieść się. Wcześniej nie można. A na to  
miesiące potrzeba, może  
lat. Mnie już tego nie doczekać. I lepiej, będę was mieć bliżej  
siebie aż do  
końca.

— Ale któż o końcu mówi! — rzekł mój ojciec, — Byłeś pan  
zdrów, kiedy tak źle  
się wiodło, tembardziej teraz trzymać się trzeba. Tylko to  
najgorzej, że my ci  
rzeczywiście z tem mieszkaniem robimy różnicę.

Stary uśmiechnął się i milczał chwilę, potem zaczął powoli.:

— Gdybym mógł wam serce otworzyć i pokazać jak jestem z  
tego szczęśliwy! Tak

długo czekałem was, tęskniłem, traciłem chwilami mimowoli  
nadzieję, której nikt

prócz mnie nie miał. I Bóg wreszcie wysłuchał, dał dożyć...

Pomyślcież, jak mi

jest, gdy

na was patrzę, gdy słyszę was, gdy mogę żyć waszem  
życiem! I wy mówicie, że

ustępując wam tych izdebek, mam niewygodę? Ale to

szczęście całe: jestem przy

was. Gdzież mnie staremu do was wlec się do dworu, jak przed laty?

— My będziemy przychodzili do pana sowietnika —  
wmieszałem się?

— Ze dworu? Wątpię. Za daleka już meta dla mnie.

— Ale cóż znowu? Czyś się pan uwziął, panie Józefie, psuć  
nam tę piękną chwilę  
pierwszego spotkania?

Stary znów się uśmiechnął.

— A cóż w tem smutnego czy złego — odparł łagodnie. —  
Czyż to źle umierać?

Samotnemu, z tą myślą, że nikogo bliskiego, przyjaznego nie  
ma się przy sobie,

że nikt księdza nie wezwie, gromnicy nie zapali, oczu nie  
zamknie. że po śmierci

przyjdzie tu moskal, albo żyd, — a, to ciężko i straszno,  
okropnie! Ale wśród

swoich, przy ich modlitwie, z myślą, że się u nich zostawi  
pamięć, serce, łzę za

zmarłym, to nie śmierć, to sen cichy i jasny, to powrót do  
ojca...

Liście nie miały czasu z drzew opadnąć tego roku, kiedy już  
dla pana sowietnika  
chwila ta nadeszła.

Od powrotu moich rodziców nie podnosił się już z fotelu.  
Zdawało się

rzeczywiście, że wraz ze spełnieniem najdroższych jego  
nadziei przerwały się

naraz wszystkie nici, łączące go z życiem. Był spokojny,  
uśmiechnięty,

promienny, jak pogodny wieczór w jesieni, mówił mało. ale przysłuchiwał się rozmowie z zaciekawieniem i przyjemnością widoczną. Od rana wtaczano jego fotel do izdebki, w której matka moja urządziła rodzaj bawialni i ktoś z nas musiał być przy nim, nie żeby go bawić, bo nie lubił sobą zaj-

mować, ale żeby staruszek widział i czuł nas przy sobie. Było coś wzruszającego do głębi, patrzeć na niego, jak oczyma za nami wodził. W tych starych, zagasłych oczach bez blasku świeciło się wtedy. Tak przeszło parę miesięcy, jednostajnie, prawie bez zmiany. Koło domu pracowano, zwłaszcza od skończenia żniw, bardzo wiele. Dach już był pokryty, mury odnowione od fundamentów — okna i drzwi robiły się. Ojciec mój za ciepła chciał się wprowadzić. Staruszek próbował z początku namawiać, aby to odłożono do wiosny. — Ależ w tych izdebkach nie podobna zimować ani nam, ani panu — mówił mój ojciec. — O, mnie! — przerwał sowietnik, machając ręką — Co o mnie myśleć. Ale państwu wilgoć zaszkodzi. — Ani nam, ani panu, boć i pana przeniesiemy z nami. Proszę być spokojnym.

Sowiec tylko się uśmiechnął i nic już nie mówił. Raz jednak posłyszałem rozmowę jego z murarzem, którego do siebie kazał przywołać. Tłumaczył mu, że nie powinien namawiać mego ojca do przenoszenia się przed zimą i dawał wskazówki, w jaki sposób należało przerobić jego pokój i korytarz, ażeby w nich mogli moi rodzice jako tako przemieszkać do wiosny.  
— A gdzie pan się podzieje? — pytał zdziwiony rzemieślnik.  
— Ja? O mnie bądź spokojny. Będę już miał moje mieszkanie  
— odparł stary.

Zaintrygowało mnie, gdzie sobie wynalazł mieszkanie, bo we wszystkich dworskich budynkach nie było jednego mieszkalnego kąta, prócz pokoi, zajmowanych przez żyda. Za chwilę jednak zapomniałem o tem. Sowiec zaś po staremu siadywał między nami. uśmiechnięty, spokojny, z oczami wpatrzonemi w swoich gości kochanych, jak nas nazywał. Chwilami tylko, zdawało się, jakby się robił bardziej niż w początkach milczący i jakby mu silniej trzęsła się głowa.  
Moja matka zwróciła raz na to uwagę, ojciec ramionami ruszył.  
— Zachciałaś — rzekł. — Ośmdziesiąt lat...  
— Ale przed naszym przyjazdem trzymał się, chodził, kształł, a teraz zdaje się, jakby w oczach niknął

— Tego znów ja nie widzę, żeby od naszego przyjazdu  
zmiana zaszła. A że przed  
przyjazdem trzymał się lepiej, to prawda, ale w tem dziwnego  
nic. Pomyśl tylko:  
on żył myślą, że dla nas ojczystego kąta strzeże. Czuł się  
potrzebny,  
posłannictwo miał do spełnienia. To go trzymało. Teraz cel  
życia osiągnięty — i  
zarazem usunięta jego dźwignia. Poczciwy stary został ze  
swoją ośmdziesiątką i z  
nami, ale my możemy mu dać pociechę w dniach ostatnich,  
życia i sił dać nie  
potrafimy.  
Moja matka uznała słuszność słów tych, ale niezwłocznie  
posłała po lekarza. Ten  
pogawędził ze swym pacjentem, pożartował, za rękę  
potrzymał, kazał mu pić stare  
wino węgierskie, a wobec rodziców, pytających go  
niespokojnie, ramionami ruszył  
— Starość — rzekł. — Na to nie wynaleziono jeszcze  
lekarstwa.

Sowiec, przed którym wizytę lekarską tłumaczono różnymi  
pretekstami, śmiał  
się i palcem groził.  
— Potrzebne to? — pytał. I co mi to pomoże? Mnie już  
niczego nie trzeba, ja was  
doczekałem... Jednego tylko chyba — dodał ciszej.  
W parę dni potem zawołał mnie do siebie.  
— Słuchajno — rzekł mi, biorąc mnie za rękę, jak lubił to  
czynić. — Mam ja jeden



interesik do Granowa, a nie chciałbym ojcu twemu o tem mówić. Ty mi to przecie sam załatwisz, prawda? Kawaler już z ciebie. Pochlebilo mi to bardzo, że do mnie się zwraca. Zapewniłem, że polecenie jego jak najlepiej wykonam.

— Otóż widzisz, potrzeba mi posłańca pchnąć tam z listem. Ludzi u was mało, koni też, moje szkapięta pozdychały, a za parę groszy człowiek znajdzie się łatwo, gdy w polu roboty mniej. Wysłałem posłańca z listem, który staruszek nakreślił z mozołem, powoli i zapieczętował herbowym sygnetem. Wieczorem posłaniec był z powrotem z odpowiedzią, którą staruszek przeczytał z uwagą, złożył i schował do pugilaresu.

Po wieczerzy poprosił moją matkę, żeby się zbliżyła do niego.

— Bo to widzi pani moja droga (od powrotu moich rodziców nie używał żadnych tytułów w rozmowie z nimi) — pojutrze święto Matki Boskiej, a że to ja stary sodalis i zawsze miałem zwyczaj w dzień ten jeździć do spowiedzi, więc w przededniu... obiecał mi ksiądz proboszcz, że będzie tu jutro z Panem Jezusem.

Ksiądz przyjechał rzeczywiście. W pokoiku sowietnika urządzono ołtarzyk, pachnący jesiennymi kwiatami. Staruszek siedział w fotelu swym, skupiony,

zamodlony, z rękami złożonemi, jak posąg z żółtego marmuru.  
Po komunii szepnął księdzu:

— Teraz oleje święte.

Ojciec mój obruszył się mimowoli.

— Ale po cóż to? Spowiedź, Komunia, co innego. To dla nabożeństwa. Ale oleje

święte? Przecież pan nie jesteś chory?

Sowietnik ręką tylko skinął, żeby nie przeszkadzać, a ksiądz już rozpoczynał

modlitwy, poprzedzające Ostatnie namaszczenie.

Po ceremonii staruszek ożywił się na chwilę.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję — rzekł, ściskając rękę proboszcza — Takąś mi

łaskę wyrządził. Takim spokojny teraz i szczęśliwy, szczęśliwy...

Istotnie, zdawało się, jakby jasność szła od niego.

Przy obiedzie żartował trochę, uśmiechał się ciągle. Wypił swój kieliszek

starego wina za zdrowie swych kochanych lokatorów. Po obiedzie, który się

spóźnił trochę, ojciec mój wyszedł z księdzem do ogrodu, matka miała także

jakieś gospodarskie zajęcia, staruszka, korzystając z ciepłego dnia, wyniesiono

na świeże powietrze.

Był początek września. Na drzewach mieniły się wszystkie barwy tęczy — tu i

ówdzie tylko sosny i świerki przerywały złocistą i purpurową falę barw ciemnymi

płatami jednostajnej, niezmiennej zieleni. Słońce zniżało się już ku zachodowi.

Przez powyci-

nane i napół tylko gąszczem zarosłe szczyby klombów i szpalerów i przez gałęzie poprzerzedzane z liści, płynęły szerokie smugi złotego światła. Od głównego stawu, którego tylko niezarosła część błyszczała w słońcu, słychać było krzyki i śmiechy kąpiących się chłopaków. Od dworu dochodziły uderzenia młotów i okrzykiwania się rzemieślników. Tylko w ogrodzie zarosłym, zniszczonym i zdziczałym było bardzo cicho i świeżo. Staruszek siedział w fotelu bez ruchu, z oczami wpatrzonymi przed siebie, w przestrzeń. Usta poruszały mu się lekko: widocznie się modlił. Zbliżyłem się do niego. — Siądź przy mnie — rzekł mi, przytrzymując mnie ręką — i nie odchodź odemnie. Zmęczony jestem i senny trochę, a tak mi dobrze mieć cię przy sobie. Usiadłem i próbowałem bawić go rozmową, na jaką mnie było stać. Opowiadałem mu o szkołach, o kolegach i sąsiadach, o zamiarach na przyszłość — ot, o czym mówi się, mając lat szesnaście. Sowiec słuchał w milczeniu ale widocznie myśl jego była gdzieindziej. Za rękę mnie tylko trzymał wciąż i przyciskał ją czasem, jakby chciał się o mojej obecności upewnić. Mnie to milczenie trochę mieszało, więc dla dodania sobie rezonu puściłem się na opowiadanie o moich sukcesach

szkolnych i towarzyskich, nie żałując barw jaskrawych i podkreślając z naciskiem, że już mnie wszędzie uważano i traktowano jako dorastającego młodzieńca. Naraz staruszek mi przerwał:

— Powiedz mi — rzekł — czy ty się codzień modlisz, czy się spowiadasz?

Pytanie to, wyznam szczerze, tak mnie zbiło z tropu, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Modlitwa, spowiedź — mój Boże — to były rzeczy, o których się wiedziało, że je zrobić można, może wypada, może nawet (nie często oczywiście) trzeba, ale żeby o tym myśleć, mówić.. Nie mieściło mi się to poprostu w głowie.

Stary musiał odgadnąć myśli moje, bo uśmiechnął się lekko.

— Nie dziw się memu pytaniu — rzekł cicho — prawda, rzecz to księdza i sumienia, ale właśnie, o sumienie twoje mi idzie. Widzisz, dziecko moje, tak mało ludzi

jest szczęśliwych, i tak mało ludzi pożytecznych, a wiesz czemu ? Bo sekretem

szczęścia własnego i pożytku dla drugich to sumienie, a wartość sumienia zależy

od modlitwy, od modlitwy ust i serca, i od modlitwy czynu...

Urwał i oddychał ciężko przez chwilę. Mówić mu widocznie było bardzo trudno.

— U nas, widzisz, straszą mnie nietyle ciosy i niedole, spadające z zewnątrz, od

wrogów, ile to złe, któremu my sami jesteśmy winni. A tego złego źródłem: serca nasze, nienauczone obowiązku, zaparcia się siebie i walki, dlatego, bo nienauczone modlitwy i oparcia o Boga. Bez modlitwy, bez Boga, obowiązku nie potrafisz spełnić. Spytaj, wielu z naszych zostało wkoło nas w powiecie? Garstka. A z tych, których z ojcowizny wyzuto, czy myślisz, że wielu wyzuła z mienia obca przemoc? Częstkę małą. Większość,

znaczna większość, poszła precz i ziemię dała na marne, bo nie miała rozumu ani serca, a rozumu i serca jej brakło, bo jej brakło Boga. Znów się zatrzymał i dłużej niż przedtem odpoczywał — potem kończył prawie szeptem, urywanemi słowy: — A mnie strach zbiera i o was, i o ten kąt kochany, odzyskany cudem. Tyle z tem łączy się obowiązków, nadziei... Ziemia, toć przecie przyszłość. Ale przyszłość, to i ty także. Możesz zachować, możesz zmarnować.. Pamiętajże: z Bogiem idź, Boga nad siebie czcij, a w Bogu kochaj ziemię. I wtedy może ci ją wydrzeć wróg, albo los przeciwny, ty sam jej nie zmarnujesz. I dlatego mówię ci: módl się! Modlitwy nam trzeba, wiele, wiele modlitwy. Więc módl się, módl...

Milczenie nastąpiło długie. Nie śmiałem go przerywać. Pan  
sowiec siedział wciąż  
spokojny i nieruchomy, patrząc przed siebie szeroko  
rozwartymi oczyma, w których  
zdawało się, odbijały się dogasające światła wieczora. Niebo  
zaczynało różowieć  
od zachodu i na siwą głowę staruszka słońce czerwone rzuciło  
łunę krwawą, w  
której blaskach świeciła się, jak święte obrazki.  
Blade, drżące usta, otworzyły się raz jeszcze i słów kilka  
posłyszeć mogłem,  
przytłumionych, niewyraźnych;  
— Módl się dziecko... Z Bogiem... tylko z Bogiem! ..  
Ucichło. Nic już więcej nie przerwało milczenia. Staruszek  
siedział, jak  
przedtem, cichy, uśmiechnięty

zlekka, promienny. Tylko ręka mu się otwarła i wypuściła  
dłoń moją z uścisku i  
powoli siwa głowa zaczęła się osuwać, aż oparła się  
bezwładnie na piersiach.  
Myślałem, że zasnął i bałem się go budzić. Byłem zresztą  
podniecony i rozmarzony  
tem. co mi mówił. Słowa starca takie proste, nieledwie  
katechizmowe brzmiały mi  
wciąż w uszach dziwną harmonią i pięknnością. Miałem takie  
wrażenie, jakby od  
nich świat jakiś nowy odsłonił się przedemną. A jednak,  
wiedziałem to dobrze,  
nie było w nich nic nowego.

Jedne za drugimi płynęły długie, ciche, senne kwadransy i godziny. Siedziałem bez ruchu, kołysany myślami. A tymczasem mrok zapadał coraz ciemniejszy, noc zalegała ziemię, na niebie księżyc wschodził i zaczynały iskrzyć się gwiazdy. Krzyk nagły mnie obudził. Ludzie stali wkoło mnie i matka moja, klęcząc przy fotelu, trzymała w rękach swoich bezwładne dłonie pana siewnika. Staruszek już nie żył. A była to właśnie wigilia święta Matki Bożej, której za lat młodych był sodalisem, a przez życie całe czcicielem i sługą.

Śniatynka—Lwów, sierpień .

KONIEC.

**KRA! KRA! KRA!**

Pani Waleryi z Tarnowskich Huntly-Gordon.

Nie było nikogo w Rionney-sur-'Yll, ktoby umiał wymówić nazwisko księdza

Chrześciaka, ale też nie było nikogo, ktoby mu nie był  
życzliwy. Wszystkie  
kapelusze i kaszkiety uchylały się przed nim, ile razy  
przechodził główną ulicą  
wioski, pomiędzy kościołem a ochroną, w swoim  
wystrzępionym i zrudziałym  
kapeluszu, z sutanną wytartą i niemożliwie wysoko zakasaną.  
Uśmiechano się do  
niego przyjaźnie, czasami, gdy przeszedł, ruszano z lekka  
ramionami. Mężczyźni  
wyjmowali fajki z ust, rzucając mu dobrodusznie:  
— Eh, boa jour, l'abbé; ça va bien toujours?  
Kobiety przerywały najożywieńszą rozmowę przy studni, żeby  
go zapytać:  
— Eh bien, comment vont vos marmots, pere Ladislas?  
Dawniej, przed laty, kiedy tu przybył, nazywano go: l'abbé  
polonais. Potem  
został dla wszystkich: pere Ladislas. Tak go nazywano w  
Rionney, tak w okolicy,  
aż do stolicy arrondissement, La Bregue, ba nawet aż do  
siedliska prefekta i  
biskupa.  
Jeżeli jednak opuszczano przy chrzestnym imieniu nazwisko,  
to za to nie  
szczędzono przymiotników. Kiedy się słyszało: „Ce brave  
père, cette bonne âme de

cure", z pewnością nie odnosiło się to do sztywnego nieco i  
wielce eleganckiego  
proboszcza, abbé Dupertuis, ani do żadnego z wikarych, tylko  
do księdza



Chrześciaka.

Nawet nauczyciel, posadzany na probostwie o  
wolnomularstwo i zażarty wróg kleru,  
od czasu, jak proboszcz próbował sprowadzić na jego miejsce  
braci szkolnych,  
miał respekt dla polskiego księdza.

— Nie cierpię sutaniarzy — mówił — jest to rak, toczący  
wielkie dzieło  
rewolucyi, ale ksiądz Władysław, to co innego. Czapka na  
dół! Takich więcej! To  
mi człowiek!

A Mr. Saindoux, opasły, wspaniały i napuszony mer z  
Rionney-sur I' Yll

przestawał ważyć rodzinę i zawijać w papier krajaną  
kielbasę, gdy była o nim  
mowa,

— Nieśmiertelne zasady roku, — mówił powoli i z  
namaszczeniem (nazywano go  
„merem nieśmiertelnych zasad”, bo od nich zaczynał każde  
przemówienie) —

nieśmiertelne zasady roku nauczyły wszystkich ludzi uważać  
za braci, czcić

cnotę a współczucie mieć dla niedoli. Ale księdza Władysława  
nie dlatego cenię,

że należy do bratniego, nieszczęśliwego narodu, — a cette  
Pologne héroïque et

martyre — i nie dlatego, że czczę w nim cnotę, zasługę,  
niedolę, i nie dlatego

jeszcze, że mi osobiście jest życzliwy, ale... (tu pan mer  
zatrzymał się i z

hałasem nosa ucierał) ale... bo jest un brave homme, quoi!

Być może, wyruszając przed laty, jako młodzieńki ochotnik, z  
Zabiełą w głąb

Litwy, Władysław Chrzą-

ściak marzył o innym uznaniu, niż to, jakim go obdarzali  
teraz poczciwi  
wieśniacy z Rionney; być może w snach młodzieńczych  
przyszłość rysowała mu się  
inaczej. I zaprawdę, czyż mógł przewidzieć, jak daleko los  
rzuci nim od  
rodzinnego Niemna, nim, którego świat zamykał się na ciasnej  
przestrzeni między  
Sejnami, Maryampolem i Wołkowyszkami, a w czasach gdy  
na studenckim fleciku  
wygrywał Filona w ogródku pod oknami kuzynki Anusi, czyż  
nie wzięłby za żart  
niemądry choć wesoły, gdyby mu ktoś wskazał w przyszłości  
jego obraz w sutannie  
francuskiego abbé, otoczonego rojem dzieciaków z ochrony.  
W pradziadowskim  
dworze, wśród odwiecznych lip i modrzewi, życie słało się  
przed nim gładkie i  
jasne, bardzo proste a tak bardzo, tak bardzo odmienne. Życie  
spleciona z  
szeregu obowiązków powszednich i szarych, jak lniania  
przędza, zwijana przy  
łuczywie w zimowe wieczornice na Litwie. Ale w tej szarej  
przędzy była nieć  
złocista, była gorąca miłość ziemi i ludzi, była młodzieńcza,  
zuchwała i naiwna  
wiara w siebie, w swoje marzenia i nadzieje dla tego ludu i dla  
tej ziemi. I coś

innego jeszcze... jasna, kochana główka z habrowemi oczyma,  
świecącemi jak dwie  
gwiazdki, gdy Władek się zbliżał...  
I wszystko to przeszło, minęło, rozwiało się prawie bez śladu.  
Piorun uderzył w  
szlacheckie gniazdo, zalały je fale obce, płynące z daleka. Ci  
co żegnali  
niegdyś młodzieńca, z pieśnią wesołą i zbyt śmiałą nadzieją  
biegnącego w bój  
nierówny, oni już dawno ułożyli się do snu na cudzych  
cmentarzach, zdała od  
ojcowskich grobów. Habrowe oczy przyćmiły

się i zagasty pod czarną zasłoną i tylko z poza żelaznej kraty  
kowieńskich  
Benedyktynek płynęła jeszcze przez lat kilka cicha modlitwa  
za oddalonym, za  
zapomnianym przez wszystkich. Wreszcie ucichła i ona.  
Władysław Chrześciak pozostał zdała od ojczyzny.. sam  
jeden.  
Ale była to natura Litwina, twarda i hartowna, a zamknięta w  
sobie i głęboka jak  
litewskie bory. Inni wkoło niego szarpali się w konwulsjach  
rozpaczy lub łamali  
w walce z przeciwnym losem, tworzyli sobie sztuczne cele i  
sztuczną treść życia,  
łudząc się i upajając gorączkowym szałem i biorąc za  
rzeczywistość widziadła  
swej gorączki. On widział prościej i jaśniej od innych. I  
podczas gdy towarzysze

wygnania chwilę powrotu obliczali na miesiące i tygodnie, on zrozumiał, że czekać na nią trzeba będzie lata, długie lata, jeśli w ogóle chwila ta nadejdzie. I wówczas stworzył sobie cel życia i treść życia, wśród obcych i dla nich, rozumiejąc, że prawda i miłość obejmują wszystkie języki i narody. Władysław Chrząściak został księdzem, a niedługo potem przybył mu jeszcze nowy cel życia — sieroty. Był w Rionney od kilku miesięcy dopiero, kiedy mu raz wypadło wracać po zachodzie słońca od chorego wieśniaka z dość oddalonej fermi. Wieczór był dżdżysty, zimny jak zwykle w końcu listopada. Na długiej błotnistej ulicy, prowadzącej do wsi wśród karłowatych, pokrzywionych oliwek, nie było nikogo. Ksiądz Władysław szedł prędko, chroniąc się od wody pod swoim ogromnym parasolem z błękitnej bawełny.

Obejrzał się. W ciemnościach chmurnej nocy jesiennej cień jakiś przemknął mu szybko przed oczyma, tuż obok niego. — Kto to — zawołał. Nie było odpowiedzi, tylko szelest słyszany przed chwilą powtórzył się dalej trochę, śmielszy już. Bose, małe nogi biegły zwinnie, cicho po mokrym żwirze, tu

i ówdzie chlupocząc w kałuży. Ksiądz Chrześciak stał przez minutę, nasłuchując, i chciał ruszać dalej, gdy naraz z daleka dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, pisk, łoskot szamotania się i szereg przekleństw.

— Ha, mam cię wreszcie, kanaljo, urwiszu, złodzieju, sacré nom..

Mimo oddalenia ks. Władysław poznał odrazu gruby głos strażnika polnego z

Rionney. Z jego przekleństwami mieszał się, głuszając je chwilami, krzyk płaczącego dziecka.

Księdza tknęła litość. Szybkim krokiem pośpieszył w stronę strażnika.

— Cóż tam znowu, ojcie Remy, zawołał podchodząc. Kogoż tam złapaliście i dusicie?

— Życzę dobrego wieczora księdzu wikaremu, — odpowiedział urywanym głosem strażnik, i zaraz ma foi, muszę prosić o przysługę. Złapałem oto... tego draba, złodzieja.. i utrzymać nie mogę... Małe to a złe lichy. Wiję się, kasa, kopie...

A ty hultaju! A będziesz gryzł, a będziesz?

Głośny odgłos kilkurazowego klaskania i głośniejszy wrzask delinkwenta był dowodem, że ojciec Remigiusz wymierzył sobie doraźną sprawiedliwość.

— Gdyby ksiądz był łaskaw... na chwilę... przytrzymać tego ptaszka, aż ja

latarkę zapalę. Związać go trzeba.. miałem gdzieś sznur w kapocie i jak raz  
wypadł mi właśnie i zginął, gdym przyłapał tego wisielca.  
Mówiąc to, Remy zapalał latarkę, przy której niepewnym, czerwonym światełku  
ksiądz Władysław mógł przypatrzeć się „wisielcowi” Był to chłopaczek bardzo  
mały, wyglądający najwyżej na ośm lub dziewięć lat, gdyby temu nie przeczyły  
rysy twarzy nie tylko starszej ale i całkiem starej, zwiędłej, bardzo wyrazistej  
i chytrej. Włosy powichrzone, mokre od deszczu, sterczały kosmykami żółtymi  
dokoła chudych, piegowatych policzków o wystających kościach twarzowych. Z pod  
brwi nasuniętych, krzaczystych wyzierały oczy bardzo małe, ponure, niespokojne,  
biegające jak u dzikiego zwierza. Był to istotnie typowy okaz małego urwisza,  
którego karyera po wielu etapach więziennych skończyć się musiała fatalnie  
galerami lub szubienicą.  
Ksiądz Władysław myślał o tem, patrząc na młodziutkiego grzesznika, i zrobiło mu  
się smutno na sercu. Instyktownie czuł wstręt do tego brudnego i odrażającego  
dzieciaka, który wyglądał jak uosobienie zbydlęcenia i występku. Przewycięzył  
się jednak i chciał rękę położyć mu na głowie.  
Chłopak rzucił głową w bok i wykrzywiając chudą twarzyczkę, wyszczerzył na  
księdza zęby, jak rozzłoszczony psiak.

— A widzi pan, jaka to zła bestya — rzekł ojciec Remy. —  
Proszę tylko uważać,  
żeby nie ugryzł.

Ksiądz nie zwrócił uwagi na opór chłopca i ostrzeżenie  
strażnika i zlekka,  
łagodnie przesunął ręką po zwichrzonych włosach.

— Cóż on zrobił, ten mały — rzekł wreszcie — za cóż go  
zatrzymujecie ?

— Aha, za co! Ja na niego od tygodnia czatuję. Przywlokło się  
to zeszłego

miesiąca do nas niewiadomo skąd. i odtąd ani w naszej  
gminie, ani w Villiers,

ani w Grraves, ani nawet w Saint Troil nikt od niego nie ma  
spokoju. Żaden

kurnik, żadna spiżarnia, żaden chlew, żaden ogród nie jest  
bezpieczny. Wszędzie

wśliźnie się, wkręci, szkody narobi, nałamię, nakradnie i już  
go niema. I co

narobili na niego zasadzek, co namęczyli się, żeby go złapać.

Nie i nie. Zobaczą

go, wiedzą, że on zrobił szkodę, ale schwycić nie sposób. I  
jegomość nic o tem

nie wiedział?

— Nic.

— Dziwne. Prawda zresztą, że panowie to tylko w kościele i  
w książkach

siedzicie. Ale taki biedny gospodarz, proszę sobie pomyśleć,  
jak mu przepadną

najpiękniejsze kury i indyki, wino i sery, oliwki i morele — i  
ani złodzieja

schwytać. Wściec się można. Więc do mnie. Wiadomo, jak  
ojciec Remy nie złapie  
złodzieja, to nikt go nie złapie. Ksiądz wikary słyszał przecie,  
jak schwytałem  
tego sławnego Mouffetard, który zbiegł z Kajenny?  
— Słyszałem o jego pojmaniu — odparł ksiądz uśmiechając  
się — ale mi się  
zdawało, że go złapali żandarmi.  
— Tak, zapewne, żandarmi, — rzekł z pogardą strażnik — ci  
mu włożyli kajdanki,  
gdy go oddałem

w ich ręce, ale pojmać go? Oni by też potrafili, pewnie! Do  
końca świata  
uganiali by za nim, gdyby nie ja. Otóż wiedzą to wszyscy,  
więc też do mnie w  
prośby. Sam pan mer powiada: Ojcze Remy, nieśmiertelne  
zasady każą karać  
przestępstwo i ochraniać spokój obywateli. Ty jesteś ochroną  
obywateli i wy  
kooawcą prawa. Znajdź mi i przyprowadź tego złodzieja.  
Otóż, widzi ksiądz  
wikary, że musiałem go znaleźć. I znalazłem, ale com się  
namęczył, a ten hultaj,  
jak on mi się wymykał!  
Ojciec Remy skończył wiązanie chłopaka i czerwoną kraciastą  
chustą otarł pot z  
czoła. Potem znów zaczął szarpać swego więźnia.  
— Dajże mu pokój! — wmieszał się ksiądz — nie męcz go.  
— Muszę go przecież zrewidować — mruknął strażnik —  
jegomość to by tylko za



każdym złodziejem i łajdakiem się wstawiał. Ale bo to u niego cały skład. I

wszystko kradzione.

Mówiąc to wyciągnął z kieszonek ubrania i zawiniątek różne przedmioty.

— O, chustka, sakiewka... a to co? Różaniec? To ty różańce nosisz nicponiu?

Takiś to pobożny? Ale ba! On to razem z sakiewką i z chustką do nosa wyciągnął komuś z kieszeni.

Ksiądz pochylił się i mimo woli ręką za wymówione przedmioty sięgnął.

— A, rozumiem, to pewno księdza rzeczy. Tak? Ksiądz Władysław położył różaniec i sakiewkę zmieszany.

— Nie, to jest właściwie... — bąknął z zakłopotaniem.

— Wiem, wiem już — rzekł protekcyjonalnie strażnik, klepiąc go po ramieniu. —

Ksiądz nie chcesz tego nędznika obciążać. Ale nie pomoże mu przecie nic I tak

wiem, jak to się stało. Oto przed chwilą ten szubienicznik wyciągnął to księdzu

z kieszeni. Widziałem go przecie z mojej zasadzki, jak skradał się do pana a potem umykał.

Ksiądz Władysław nic nie odpowiedział, ale patrząc na swoją sakiewkę, różaniec i

chustkę do nosa, nie mógł odmówić słuszności ojcu Remigiuszowi. Pomyślał sobie

jednak, że gdyby te rzeczy nie były się znalazły, byłoby mu lżej i milej.

Poszli razem ku wiosce. Strażnik prowadził swego więźnia, ksiądz miał głowę schyloną i brwi zasunięte.

— Jak się nazywasz? — spytał naraz chłopaka Odpowiedzi nie było.

Ojciec Remy szturchnął mocno w bok zapytanego, aż ten wrzasnął.

— Cóż milczysz, gdy cię pytają? Aż tak dobywać z ciebie trzeba głosu?

Ksiądz wdał się i stanął między strażnikiem a włóczęgą.

— Proszę go nie bić — rzekł stanowczo. — Bić nie wolno. Ja go biorę na moją

odpowiedzialność i będę mu towarzyszył do aresztu.

Strażnik spojrział na młodego księdza zdziwiony, chcąc protestować. Ale w

spokojnej twarzy Litwina był wyraz takiej energii i woli, że stary spuścił oczy i cofnął się.

— Jak się podoba — mruknął, ruszając ramionami. —

Właściwie to przeciw

przepisom, ale księdzu ustąpię. Mniejsza z tem, byle pan mer się nie gniewał.

— To będzie moja wina — odparł ksiądz.

W tej chwili w ciszy nocnej rozległ się głos dziecka

— Nazywam się Jacquot.

— Masz rodziców ?

— Nie.

— Kogo z krewnych?

— Nie.

— Miałeś dawniej ?

— Dawniej była Margot, która mi dawała kartofle, ale to już bardzo dawno

— Jakto? i nikt się tobą nie zajmował nigdy? Chłopak spojrzał na niego, jakby

zdziwiony pytaniem. Potem podniósł głowę w górę i zdawał się namyślać nad odpowiedzią.

— Był pere Grimaud.

— Cóż on robił dla ciebie ?

— Bił mnie, jak nie przyniosłem soldów wieczorem

— Toś musiał na niego zarabiać? Kiwnął głową

— Jakżeś zarabiał?

Chłopak spojrzał na księdza z uśmiechem ale zaraz oczy spuścił.

— Gdzież jest teraz Margot i pere Grimaud?

— Stary w dziurze a Margot w dole.

Szli przez chwilę w milczeniu. Remy od czasu do czasu rzucał jakieś słowo, żeby

nawiązać rozmowę. Ksiądz nie odpowiadał.

— Czytać umiesz? — spytał wreszcie chłopaka. Jacquot ruszył ramionami, nic nie mówiąc.

— A o Bogu nikt ci nie wspomniał?

Chłopak spojrzał na niego, jakby namyślając się nad odpowiedzią.

— Aha, wiem już, rzekł wreszcie. To ta rzecz, przed którą klękają na ulicy.

Ojciec Grimaud mówił, że to księża wymyślili i...

Urwał patrząc na mokrą sutanę księdza Władysława.  
Rzecz, przed którą klękają i którą księża wymyślili.. księdzu  
Władysławowi

zrobiło się jeszcze smutniej.

Doszli właśnie do merostwa. Strażnik zadzwonił i uchylił  
kaszkietu zwracając się  
do księdza.

— Dobranoc, rzekł.

Ale ksiądz Władysław nie odchodził na probostwo. Stał z  
głową schyloną i  
nasuniętymi brwiami, zamyślony głęboko. Wreszcie podniósł  
głowę.

— Czekajcie chwilę z tym chłopakiem, Remgiuszu — rzekł.

Ja naprzód słówko powiem

panu merowi.

Strażnik poruszył się niechętnie.

— Ale bo to już późno, rzekł — a tu o to tylko chodzi, żeby  
tego wisielca ukazać

panu merowi i wziąć klucze do aresztu gminnego. To minutę  
potrwa. Gdyby to

ksiądz wikary tę jedną minutczkę był łaskaw poczekać...

Potem będziecie mogli

bez przeszkody cały wieczór gawędzić z panem merem przy  
winie i kasztanach.

Ksiądz Władysław był bardzo uprzejmy i chętnie każdemu  
ustępował. Tym razem  
jednak nie ustąpił.

— Mój interes pilniejszy — rzekł. Zresztą załatwię się prędko.

I wszedł do kancelaryi pana Saindoux. Strażnik zaklął pod  
nosem i szturknął w

bok swego więźnia, który zaskowyczał półgłosem.

— Przekłęci sutaniarze. Z nimi tak zawsze. W drogę człowiekowi włożą. I wybrał sobie godzinę na wizytę do mera.

Wizyta trwała. dość długo, niecierpliwość ojca Remy rosła z każdą minutą. Wkońcu drzwi się otwarły.

— Nareszcie — szepnął strażnik.

Mr. Saindoux wyprowadził księdza do sieni.

— Powtarzam więc raz jeszcze — kończył podniesionym jak zwykle głosem — zgadzam się, podziwiam nawet, ale proszę uważać, zastanowić się i pilnować.

— Niech pan mer raczy być spokojnym zupełnie — odparł ksiądz, uśmiechając się i ściskając pulchną rękę pana Saindoux.

— Nieśmiertelne zasady rewolucyi nauczyły nas wprowadzić miłość i współczucie dla cierpienia i nieść pomoc niedoli.. ale w tym wypadku...

— Mnie tego nauczył Chrystus — rzekł ksiądz — a i tego jeszcze, że kiedy chodzi o pomoc bliźniemu, więcej można ufać sercu niż rozumowi. Mer skinął głową, ale zarazem ruszył zlekka ramionami.

— Zapewne, zapewne — rzekł — uważaj jednak na bufet i na zamek w spiżarni, księżo wikary, i pamiętaj, żeby szafy i kufry były pozamykane.

Remy słuchał tych przestróg pana mera z niemałym zdziwieniem.

— Ośmielę się pokornie zaraportować panu merowi — zaczął wyprostowany z należytą subordynacją.

Pan Saindoux poruszył głową.

— Wiem już, wiem — przerwał. — Widzę przecie. Otóż teraz zabierzesz tego hultaja i zaprowadzisz go za księdzem na probostwo.

Strażnik patrzył na swego przełożonego, nie rozumiejąc.

— Ależ tam nie ma gdzie go zamknąć — bąknął — a u nas przecie areszt gminny pusty...

Pan mer machnął niecierpliwie ręką, przerywając.

— Do widzenia więc, księżu wikary — rzekł — do widzenia i daj Boże, żebyście mieli szczęśliwą rękę z tym hultajem.

Mówiąc to, zamykał za nimi drzwi. Byli już na ulicy, gdy jeszcze raz na pół je uchylił.

— A pamiętajcie kluczy dobrze pilnować na probostwie.

Ku niemałemu zdziwieniu ojca Remy i ku zgorszeniu proboszczowskiej gospodyni

Jacquot nie został wcale zamknięty w chlewie przy plebanii, jak przypuszczał

pierwszy, ani wypchnięty coprędzej za ogrodową furkę, jak proponowała ostatnia.

Zainstalowano go w ciasnym mieszkaniu księdza wikarego na piąterku plebanii — a

kiedy Mademoisele Madellon odmówiła

wszelkiej pomocy „takiej waryacyi”, ksiądz Władysław wziął się własnoręcznie do

mycia, czesania i oczyszczania z robactwa swojego małego pupila, który patrzył na niego szeroko rozwartymi źrenicami, nie rozumiejąc, co z nim się dzieje.

Zrozumiał, że dzieje się dobrze, kiedy go ksiądz, przebranego we własną bieliznę

i własny kaftanik, zasadził do talerza zupy i misy dymiących kartofli, mających

stanowić znowuż własną kolację. Jacquot pożerał łapczywie te przysmaki,

błyskając białymi zębami, jak dzikie, zgłodniałe zwierzątko.

Kiedy skończył,

ksiądz go spytał, czy głodny jeszcze.

Poruszył przecząco głową.

— Pomódl się teraz, żeby Panu Bogu podziękować za posiłek i prosić o noc

spokojną.

Chłopak spojrział na niego zdziwionymi oczyma.

Nie zrozumiał tego, co znaczy „modlić się”. W ciągu

kilkunastu lat jego nędznego

życia nikt mu nie mówił nigdy o Ojcu, który jest w niebiesiech.

Tego wieczora próbował to uczynić ksiądz Władysław po raz pierwszy. — Chłopak

słuchał zdziwiony z początku, potem obojętny. Na ustach wąskich i bladych błąkał

się uśmiech — zdawało się, jakby powstrzymywał z trudnością jakiś cyniczny żart.

Żeby go ośmielić i zbliżyć, ksiądz zaczął go rozpytywać o jego dotychczasowe

losy. Jacquot z początku nie chciał odpowiadać i tylko wciąż spoglądał z podełba

na swego gospodarza jak wilk. Powoli ośmielił się i rozgadał.  
Historia jego była  
bardzo zwyczajną. Od kiedy pamiętał, tułał się po ulicach  
Lyonu, przymierając  
głodem, żebrząc i kradnąc. Nie dbał o niego

nikt, czasem ktoś, przechodząc, grosz rzucił — jedna tylko  
stara Margot,  
żebraczka zlitowała się, gdy było zimno i nikt nie chciał  
sięgnąć do sakiewki.  
Złodziejskiego rzemiosła uczył go wprawny mistrz, ojciec  
Grimaud, posługując się  
chłopakiem, zagarniając zarobek całodzienny i bijąc bez  
miłosierdzia, gdy wrócił  
z próżnymi rękami. Potem stary poszedł do więzienia, a  
Jacquot zaczął już na  
własną rękę walczyć o byt. Raz go przyłapano — wymknął się  
policyantowi i uciekł  
z miasta. Odtąd włóczył się po wsiach nad kordonem, aż  
przybłąkał się do  
Rionney.

Wszystko to wychodziło urywanymi frazesami, po kawałku,  
pełne sprzeczności,  
kłamstw i przechwałek cynicznych. Ksiądz pytał go czas jakiś,  
potem prze stał —  
i głowę w dół opuścił.

Zrobiło się bardzo smutno i straszno.

Był jeszcze młody — miasta większego nie poznał, bo w  
Paryżu krótko tylko bawił.

Lud znał, znał biedaków i nędzarzy, o takich jak Jacquot nie  
miał pojęcia, nie



przypuszczał, aby mogli istnieć. Ten mały poganin, bardziej zepsuty od starego wieśniaka, bardziej nieokrzesany i dziki od czerwonoskórnych i czarnych swych rówieśników z Ameryki i Afryki, on go wprost przerażał. Nie porzucił go jednak. Na szczęście proboszczem nie był jeszcze wówczas sztywny i elegancki abbé Dupertuis. Był nim staruszek, dość dziwaczny, chorobliwie rozmiłowany w archeologii, na której nie rozumiał się nic, choć jej poświęcał czas, pieniądze i zdrowie. Większą część

parteru miał zapełnioną starzmi czerepami i apokryficznymi bronzami, które dla jego specjalnego użytku fabrykowali przebiegłi wieśniacy z okolic Rionney Byle mu w tem jego muzeum nie przeszkadzać, pozwalał na wszystko, wiedzieć nie chciał o niczem.

— Trzymaj ich ksiądz choćby dziesięciu, odpowiedział wikaremu, gdy mu ten wspomniał o zamiarze zajęcia się małym włóczęgą. Byle mi do moich urn nie zaglądał i byłem go nie widział.

Wszystkie pretestacye i przedstawienia gospodyni pozostały daremne.

Przez trzy dni ksiądz Władysław próbował zaszczepić w swego pupila zasady

religii katolickiej i europejskiej cywilizacji. Drugiego dnia już  
pupil dobrał  
się do jabłek w lochu proboszczowskim. Trzeciego dnia znikły  
po kolei srebrne  
szczypczyki z jadalni, napastrzek panny Madelon z koralowem  
denkiem i zegarek  
księdza wikarego. Wszystko znaleziono starannie ukryte pod  
stosem śmiecia w  
kącie ogrodu. Ksiądz wyrwał winowajcę z rąk rozwścieklonej  
właścicielki  
naparstka, której zemsta musiała się ograniczyć na jednym  
jedynym policzku, i  
zapowiedział i jej i swemu pupilowi, że tym razem karać go  
nie będzie.

— Ależ to niesłychane, to hańba, grzech, obraza Boża, to  
Sodoma i Gomora!

Protestacye gospodyni nie pomogły. Jacquot nie został  
ukarany, ale — nazajutrz  
go nie stało.

Panna Madelon szukała pół dnia po probostwie i jego  
przyległościach, co mogło  
brakować. Tym razem nie brakowało nic.

— Co to znaczy — mówiła; nie wziął nic, bo na nas  
naprowadzi całą bandę złodziei  
i zbójów i wszystko razem zabiorą.

Odtąd zaryglowywano i zamykano na podwójne zamki  
wszystkie bramy, okna i drzwi  
na probostwie. Niepotrzebnie jednak. Złodzieje nie przyszli.

— Widzą, że się strzeżemy, ale to nas nie minie później,  
mówiła Madelon.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Zima była tego roku  
dość ostra i śnieg padał  
od kilku dni nie topniejąc. Ksiądz Władysław wrócił z długiej  
wycieczki do  
różnych biedaków, którym roznosił zakupione z własnej  
oszczędności lub wyzebrane  
od bogatszych przysmaki świąteczne na kolędę.  
Do wieczerzy u proboszcza było jeszcze dość daleko.  
Zawiesiwszy mokry płaszcz na  
kołku, ksiądz dorzucił kilka drewek do kominka i zasiadł w  
swoim wielkim fotelu,  
patrząc na syczące i wężykami wijące się płomienie.  
O tej porze przed laty w, starym modrzewiowym dworze na  
Litwie jasno było i  
gwarno. Długi stół sianem okryty dźwigał odwieczne  
kandelabry i stosy strucli.  
Rezydenci, oficjaliści, służba, zbierali się zwolna, małemi  
grupami po kątach  
obszernej izby. Poważny, krzepki starzec w stroju narodowym  
i młodsza o wiele,  
piękna jeszcze niewiasta, taka słodka i dobra, zaczynają ich  
obchodzić po kolei,  
z opłatkiem w ręku, z życzeniami na ustach: „Daj Boże, daj  
Boże!”  
Ach, jak on to pamięta, on, ten ksiądz samotny, daleki,  
patrzący przez łyzy na  
gasnące płomienie ko-

minka w swej celce na plebanii, takiej zimnej, pustej i  
smutnej, takiej  
dalekiej...

Gdzie oni wszyscy kochani, zagaśli przed czasem — gdzie  
ziemia, w którą zesli  
tak prędko jedni po drugich? I jakże daleko, na jaką pustkę  
samotną zanosły go  
fale rozhukune i gniewne ?  
Z poza okna dał się słyszeć szelest. Coś uderzyło o szyby i  
rozsypało się raz  
drugi.

Ksiądz Władysław spojrział przez okno. Noc była jasna i cicha.  
Księżyc rzucał na  
śnieżne płaszczyzny blask swój srebrny i smutny, jakby  
zagrobowe widziadło. Za  
sztachetami otaczającymi plebanię cień jakiś migał.  
Ksiądz otworzył okno.

— Jacquot! — zawołał — to ty ?

Mała, zwinna figurka wyskoczyła z poza ogrodzenia i jednym  
skokiem znalazła się  
u wejścia.

— Możesz wejść. Drzwi otwarte.

Jacquot wszedł, zjadł wieczerzę, przeznaczoną dla księdza  
Władysława, wyspał się  
pod jego kołdrą na jedynej księdza poduszce — i został już.  
Nie uciekał więcej.

Niedługo potem dostał kolegę. Stara wyrobница, mieszkająca  
kątem u młynarza,  
zmarła jakoś zaraz po Nowym roku. Zostało kilkoro sierót.  
Dziewczęta rozebrali  
ludzie litościwi. Chłopca nikt wziąć nie chciał.

— Zbyt wielki urwisz z niego — mówiono — niebezpiecznie.  
Ksiądz Władysław wziął go do Jacquota. Przed Wielkanocą  
jeszcze przybył trzeci:  
syn tego nieszczęsnego kłusownika z Ponteuil, tuż obok

Rionney, któremu żona umarła w kwadrans po zabranii go  
przez żandarmów do  
więzienia w Lyonie.  
A potem przyszli jeszcze inni.  
Trudno było oczywiście ich trzymać na plebanii. Nawet na  
archeologiczną  
cierpliwość proboszcza było tego zawiele. Ksiądz Władysław  
wynałazł jakiś kącik  
w najstarszej ruderze w Rionney — sam piłował, ciosał,  
czyścił, murował przez  
tydzień i urządził dla swoich pupilów schronienie.  
Nazajutrz miał ich już piętnastu, a gdy przyszło następne Boże  
Narodzenie, dwa  
razy tyle już świeżych dziecinnych głosów śpiewało dokoła  
małego Jezusa z wosku,  
otoczonego choinką i świeczkami:  
— „Enfant Jésus, Noël Noël!  
Zdarzyło się szczęśliwie w tym właśnie czasie, że resztki  
mienia, ukrytego przed  
konfiskatą, ktoś z przyjaciół na Litwie potrafił przesłać  
tajemnymi drogami  
księdzu Władysławowi. Pieniądze zawsze tak dla niego  
obojętne, przyjęte zostały  
teraz z największą i nieukrywaną radością.  
Panna Madelon gorszyła się tem niepomalu i nazywała odtąd  
ks. wikarego  
obrzydliwym skąpcem, chciwcem i Harpagonem.  
Stawał się nim też istotnie coraz bardziej, ale tylko dla siebie.  
Odmawiał sobie  
wszystkiego. Żył kartoflami, ognia nie zapalał na kominku w  
najtęższe mrozy. Na

widok złotego ludwika oczy mu się śmiały. Nie dziw.  
Potrzebował pieniędzy dla  
swoich dzieci — a mimo znacznych funduszków poświęconych  
na ich utrzymanie,  
pieniędzy brakło zawsze. Trzydzieści, sześćdziesiąt, sto  
dziecinnych ust było  
otchłanią bez dna,

beczką Danaid pochłaniającą bez śladu wszystko, co biedny  
wikary miał i w  
otchłań rzucał.  
Z dawnych czasów i wspomnień pozostały mu jedno  
przyzwyczajenie i jeden wstręt.  
Lubił jeno sobie wszystko zawdzięczać, nienawidził, wstydził  
się o cokolwiek  
prosić. Dzięki pieniądzom otrzymanym z Litwy, ochrona  
powiększyła się i  
przyjmowała potrójną liczbę sierót przez czas jakiś — ale  
pieniądze wyczerpały  
się, a ks. Władysław ani oszczędzać, ani kapitalizować nie  
umiał.  
I przyszło tak, że jednego pięknego dnia po sprzedaniu  
dziadowskiego zegarka i  
srebrnego relikwiarza, którym go na odjeździe błogosławiła  
matka, znalazł się  
wobec strasznego pytania:  
— „Co jutro będzie?”  
Na jutro nie było chleba. A jeśli jutro miał być post, to  
pojutrze rozwiązanie  
ochrony.

Niedziw, że ks. Władysław chodził posepny jak noc, a  
roztargniony i zamyślony  
jak nigdy przedtem.  
Tego dnia — działo się to już za cesarstwa, w dziesiątek lat po  
spotkaniu z  
Jacquofem — ten ostatni zjawił się przed księdzem.  
Był to dwudziestopięcioletni młodzieniec, najlepszy ślusarz w  
okolicy,  
wykształcony kosztem księdza u znakomitego majstra w La  
Bregue, potem w samym  
Lyonie, a tak porządny, że mu majątny wieśniak z Saint-Troil  
obiecał córkę swą  
za żonę. Chłop też z niego zrobił się barczysty i dzielny,  
prosto i wesoło  
patrzący w świat Boży. Dawnego złodzieja kur i sakiewek  
niktby się w nim nie  
domyślił.

Jeszcze pracował jako główny czeladnik w Graves, ale zaraz  
po weselu miał  
warsztat założyć w Saint-Troil.  
Ks. Władysławowi rozchmurzyła się twarz na widok  
najstarszego wychowanka, do  
którego czuł zawsze słabość. Zapomniał na chwilę o swych  
kłopotach.  
— Cóż słyhać z tobą, Jakóbie — rzekł, uśmiechając się i  
ściskając chłopca za  
rękę. — Czy Berta zdrowa i kiedyż wesele?  
— Na wesele jeszcze czas — odparł chłopiec — ale coś z  
naszą ochroną źle  
słyhać. Pieniądzy brak. Czy to prawda?

Ksiądz westchnął i ręką machnął.

— Czy to pierwszy raz — rzekł, próbując się uśmiechnąć. —

Sam wiesz, przypomnij

jeno. Ile to razy chleba brakło, i kasztanów, i kartofli, i

mieliście pół porcy

na obiad, a na wieczeczę Bóg dał zawsze. I teraz tak będzie.

Ufam mocno.

— Ale czy ojciec pomyślał ze swej strony o tem, jak złemu

zaradzić, bo to mówią

przecież: sam sobie dopomagaj, to i Bóg ci dopomoże!

Ksiądz głowę spuścił i nic nie odpowiedział. Chłopak

popatrzył na niego i

pokiwał głową.

— Tak, tak, rozumiem — mruknął. — Jak zwykle. —

Opatrzność... — szepnął ksiądz.

— Oczywiście — odparł Jacquot, kiwając głową — trzeba

tylko, żeby ktoś postarał

się być jej narzędziem.

W kwadrans potem ks, Władysław odprowadził, rozmawiając,

swego wychowanka do

drzwi ochrony. Wróciwszy do swego pokoiku, zobaczył na

stole rulonik, zawinięty

w papier.

Było w nim dwieście franków.

Łzy mu w oczach stanęły.

I to był ten dziki ulicznik, niewiedzący nic o Bogu, żyjący

kradzieżą — i to on

mu dał swój cały zapracowany ciężko, zaoszczędzony na

wesele grosz.



— Ależ to niepodobna! Jabym to miał od niego przyjąć,  
obdzierać go... nigdy!  
Schował rulonik do kieszeni i puścił się szukać ślusarza. Ale  
tego już w Rionney  
nie było. Posłał jednego ze swych chłopaków do Saint-Troil  
— nie było go i tam.  
— To nic. Pieniądze przechowam i oddam mu z  
podziękowaniem, gdy przyjdzie.  
Obiecał się w niedzielę.  
Ale do niedzieli brakowało pięciu dni, a na wieczór nie było  
ani mąki ani  
kartofli. Wziąwszy trochę na kredyt, nazajutrz z bolem serca  
ks. Władysław  
zdecydował się rozmienić jednego napoleona.  
— Robię podle — szepnął, wzdychając — krwawica tego  
biednego chłopaka. Toć to  
jak z ołtarza.  
Ba! Ale bo na nieszczęście miał on przy sobie ośmdziesięciu  
innych chłopaków, a  
gdy ci byli głodni, nakarmiłby ich własną krwią — tylko, że ta  
szczególna  
potrawa nie zaspokoiłaby ich apetytów.  
Poszedł więc do kramarza jeden napoleon, poszedł i drugi.  
W niedzielę zjawił się Jacquot, ale nie sam. Kilkunastu jego  
rówieśników,  
dawnych uczniów ochrony, dziś rzemieślników lub parobków  
w fermach okolicznych,  
przyszło z nitu razem. Cała gromadka.

— Ty niepocziwy chłopcze — szeptał ściskając Jacquota  
ksiądz. — Coś mi narobił?

Pierwszy raz w życiu sam siebie muszę się wstydić.  
Jacquot roześmiał się donośnie.  
— Jest czego — zawołał ruszając ramionami. —  
To przecie nie dar, to pożyczka. I oto właśnie przychodzę z kolegami, ażeby ojcu  
podać pewien projekt. Jeśli ojciec się zgodzi, to i ja dostanę niedługo moje  
pieniądze nazad i smarkaczom w ochronie nie będzie już brakowało chleba.  
Projekt Jacquota zasadzał się na tem, że ochrona zmienić się miała w szkołę  
rzemiosł i gospodarstwa, której kierownictwo bezpłatne wieczorami i w świąteczne  
popołudnia obejmowali zebrani, rozdzielając pomiędzy siebie dni i godziny. Do  
najdrobniejszych szczegółów Jacquot ułożył i przewidział wszystko.  
Ksiądz, wysłuchawszy go, milczał przez długą chwilę, wpatrując się zamglonemi  
oczyma w tych chłopaków, których przywykł nazywać swemi dziećmi — potem wstał i  
prędko wyszedł z pokoju.  
Nie chciał, aby widzieli, jak płacze.  
Byt ochrony został istotnie zapewniony.  
Z dniem też każdym przybywało uznania, pomocy i przyjaciół i zakładowi i  
skromnemu księdzu, który go założył. Już po rewolucyi lutowej, kiedy w Rionney  
na wielkim placu przed kościołem zasadzono drzewo wolności, mer „nieśmiertelnych  
zasad" przyszedł przepasany szarfą trójkolorową do ks. Władysława z prośbą, aby  
ten symbol republiki poświęcił.

— Ale jest proboszcz — wymawiał się ksiądz z zakłopotaniem.

— Nieśmiertelneza sady roku, których zwycięstwo święcić będziemy, wygnawszy krwiożerczego tyrana (tyranem tym był, nawiasem mówiąc, poczciwy Ludwik Filip ze swym mieszczańskim cylindrem i parasolem), zasady nieśmiertelne roku nie znają różnic społecznych, a więc tem mniej różnicy wśród ministrów pokoju, a ogarniając równem uczuciem braterstwa wszystkie narody, każą nam składać hołd cnocie bez względu na stanowisko a pierwszeństwo osobistej oddawać zasłudze. I dlatego to, czcigodny mężu, godny ministrze Boga ołtarzy... Ksiądz Władysław miał ochotę spytać pana mera, jakiego innego Boga zna poza „Bogiem ołtarzy”, ale przewyciężył w sobie ten poryw równie gorszący, jak przeciwny czci należnej pierwszemu dostojnikowi republiki w Rionney i poświęci! drzewko. Tem łatwiej się to stało, że proboszcz należał do gorących zwolenników Henryka V i potępiał po cichu politykę „Univers” i zwrot na rzecz republiki, inicjowany wśród katolików przez Veuillota. Poświęcenia odmówić nie mógł, bał się — ale kontent był, że go zastąpi kto inny. Po poświęceniu miała się odbyć przemowa księdza, jako zakończenie pierwszej,

kościelnej części uroczystości, po której otwierało się w  
świeckiej połowie  
obchodu ogromne pole dla elokwencji wymownego pana  
mera, zwolennika roku i  
niesmiertelnych zasad , nauczyciela przyznającego się  
otwarcie do czci dla  
roku , dla „Góry”. Marata i Robespiera, niemniej jak i dla obu  
adjunktów  
mera i dla właściciela oberży, którzy z gorących wielbicieli  
mieszczan-

skiej monarchii w ogóle, a ministeryum Guizota w szczególe  
przerzucili się teraz

gwoli panującemu prądowi, w stronę wręcz przeciwną i  
zmienili w radykalnych  
republikanów.

Ksiądz Władysław należał do tego pokolenia, które kochało  
wolność tem bardziej,  
im większe dla niej poniosło ofiary i uważało ją za największe  
z dóbr świata,

nie wiedząc, nie doświadczywszy nadużycia i hipokryzyi pod  
tem podniosłem

hasłem. Mając więc mówić o dwóch rzeczach po Bogu  
najdroższych dla siebie w

życiu, o wolności i miłości ojczyzny, nie dziw. że choć  
pomimo tylu lat we

Francji spędzonych. Francuz i mowca ladajaki, mówił  
pięknie, gorąco, chwytając

wszystkich za serca. Tylko nie mówił długo

Kiedy, nakreśliwszy kilkoma rysami powód i doniosłość  
uroczystości, zaczął

rozwijać myśl swą o znaczeniu wolności, wiążąc ją ze „świętą miłością kochanej ojczyzny”, głosu zabrakło mu naraz. Od tych bogatych równin nad Rodanem, okolonych liliowymi szczytami niższych Alp, myśl jego lotem ptaka przeniosła go ku rodzinnym pagórkom dalekiej, kochanej Litwy, do łąnów „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem”, do ludzi cichych, schylonych ku ziemi nędzą i postrachem, nieznających co drzewo wolności, co spokój, co godność człowieka i szczęścia — i słowa zaczęły mu się rwać i zamierać na ustach. — Wy tu szczęśliwi, wam wolno rzucać ziarna dobre w ziemię ojczystą i patrzeć, jak wschodzą bujnem wolności drzewem... Ale są inni, biedniejsi od was... Oto staje przed oczyma memi ojczyzna moja daleka, najdroższa, tam milczy wszystko, cisza wię-

zienia i grobu. Tylko łzy płyną... krew płynie... Ach, za tę biedną, wy szczęśliwsi módlcie się, myślcie o niej. Łzy mu przerwały i nie dały skończyć. Ale kiedy schodził, wszyscy słuchacze na obszernym placu mieli oczy wilgotne. Księdza ściskano, dziękowano mu głośno i ze wzruszeniem — mało co młodzież nie poniosła go w tryumfie do domu.

Przy bankiecie mer „w imię nieśmiertelnych zasad roku”  
zapropował składkę  
na ochronę a nauczyciel rzucił pierwszy pięciofrankówkę do  
jego cylindra,

wołając z zapalem:

— Vive le pere Ladislas!

Dla uspokojenia jednak republikańskiego sumienia dodał, ale  
już ciszej:

— Cependant: a bas les calotins! Proponowano też uroczyście,  
aby na pamiątkę

i tej pięknej chwili i zacnego założyciela ochrony, tę ostatnią  
nazwać jego

imieniem.

Ksiądz Władysław uśmiechnął się tylko na tę propozycję.

— W takim razie pozostałaby bezimienną, bo nikt przecie  
mego nazwiska nie

potrafi wymówić.

Wówczas podniesiono myśl, aby ją nazwać „asyle du pere  
Ladislas”, ale on

sprzeciwił się i temu.

— Dajcie pokój, przyjaciele moi, — rzekł zmięszany. — Nie  
dla siebie przecie,

nie dla głupiej chwały i rozgłosu to robiłem. I na prawdę, nie  
ja robiłem, nie

ja... ot, zrobiło się jakoś samo. Bóg najwięcej, potem dobrzy  
ludzie... Co tam

gadać o takich drobiazgach.

Ale naraz myśl jakaś strzeliła mu do głowy i twarz rozjaśniła  
się od niej.

— Ot, wiecie co, drodzy moi, jeśli naprawdę chcecie mi zrobić przyjemność...

— Chcemy, chcemy wszyscy — zawołano chórem. — Któżby nie chciał zrobić

przyjemności poczciwemu ojcu Władysławowi?

— Otóż w takim razie nazwijcie zakład mój ochroną Matki Bożej z Ostrej Bramy.

Nazwa nietrudna, każdy wymówi, a miejsce to dla ziomków moich, więc i dla mnie

bardzo drogie, święte. Myśl o Maryi, patronce mojej ojczystej Litwy, świeciła mi

tu, podtrzymywała, przynosiła ulgę na wygnaniu. Niechże ona świeci wam i waszym

dzieciom nad waszym Rodanem, niech imię jej i obraz nad ochroną będzie węzłem

braterskim pomiędzy waszą ojczyzną a moją.

Przykłaśnięto z zapalem, ze łzami i odtąd wielki obraz

Ostrobramskiej

Bogarodzicy jaśniał nad bramą zakładu, zwanego „Asyle de Notre-Dame d' Ostra

Brama”.

Za cesarstwa ks. Władysław w początkach był traktowany z nieufną oziębłością.

Podejrzowano go o republikanizm. Później jednak, kiedy prefekt baron Maucler

zwidził raz ochronę przy bytności w Rionney, akcje księdza poszły w górę.

Najniespodziewaniej dostał czerwoną wstążeczkę legii honorowej, a kiedy się

zdarzyło, że po wojnie włoskiej liberalni zaczęli głośno się krzątać około

wyborów w okolicach Lyonu, prefekt kazał zapytać polskiego księdza, czyby nie

chciał być podany na oficjalnego kandydata w zagrożonym okręgu.

Ksiądz się przeżegnał ze zdumienia a potem zaśmiał się, kiwając głową i ruszając ramionami.

Nie do tego mu było wtedy właśnie.

Trzydzieści lat mijało od chwili, gdy opuścił ziemię ojczystą — a choć jedne za drugimi zerwały się wszystkie nici, jakie go z Polską łączyły, jedna została,

nić pamięci i kochania. Im lat przybywało i życie bardziej schylało ku ziemi,

tem coraz częściej przesuwały mu się przed oczyma szare chaty o słomianych

strzechach, żółte piaski, umajone zielenią sosen i lip, sady pachnące miodem i

siwe świty wieśniaków, idących do kościoła.

I zdawało mu się coraz częściej, jakby mu w duszy zaczynały promienieć po raz

drugi światła wiosenne — i tym szczególnym obłędem powtarzającym się tak często

na rozdrożu dojrzałego wieku i starości, ten siwy ksiądz pytał siebie, budząc

się ze snu, dlaczego nie jest w rodzinnych swych Dukszkiejciach.

Po chwili dopiero przypomniał sobie... i sam nie wiedząc, skąd i jak, uczuwał

płynące po policzkach łzy.

Przyszła wreszcie chwila w której mógł powrócić.



Nie do dziecinnego gniazda, co prawda — Duksz kiejcie  
oddawna były w obcych  
rękach — ale do lasów i łąk litewskich, za którymi mu było  
tak tęskno. Teraz  
mógł słuchać smętną pieśń wracających z pola kosarzy, mógł  
się pokłonić na  
grobach ukochanych i wśród tysiąca obcych twarzy szukać,  
czy w której nie  
odnajdzie znanych dawniej rysów.  
Ale tych spotkał niewiele — a ileż razy się zdarzyło, że  
poznawszy twarz, nie  
poznał, nie zrozumiał ich duszy.  
Ludzie byli inni, zupełnie inni — innymi całkiem warunki  
życia.

I zdarzyło mu się, że niedługo już po spełnieniu tyloletniego  
marzenia o  
powrocie, zaczynał żałować, czemu nie został wśród sierót  
swych, wśród oliwnych  
gajów i platanów nad dalekim Rodanem.  
Ale tymczasem padł znów grom — i powikłał niespodzianie  
pasma jego losów.  
Przyszło mu na nowo związać podróżny węzełek i, wzięwszy  
kij pielgrzymi do ręki,  
pójść w drogę daleką, bardzo daleką, w stronę przeciwną tej, z  
której przybywał.  
I znów przeszły lata.  
W Wierchniepokrowsku ksiądz Władysław miał sposobność  
zużytkować swoją znajomość  
rzemiosł, nabytą w fachowej szkole przy ochronie w Rionney.

Wierchniepokrowsk jest znaczną wsią, zamieszkałą w  
większej połowie przez  
Wotiaków, w mniejszej przez rosyjskich wieśniaków.  
Otacza ją pierścień niedostępnych prawie lasów, tundr i  
moczarów, przez które w  
niektórych tylko miejscach można urządzać regularną  
komunikację. Kiedy  
komunikacja jest w ogóle możliwa, poczta przychodzi raz na  
miesiąc, czasem dwa;  
w jesieni, na wiosnę i podczas letnich roztopów nie  
przychodzi wcale.  
Towarzyszów miał ksiądz Władysław dwóch — starego  
rzemieślnika, który z żalu i  
biedy wpadł niedługo w stan łagodnego obłąkania, i młodego  
chłopca, wyrwanego ze  
szkół. Pierwszy nie odzywał się dniami całymi i nie  
odpowiadał na pytania,  
siedział tylko na słońcu, trzęsąc się i naprzemian śmiał się  
idiotycznie

lub jęczał i płakał. Drugi przylgnął z początku do księdza —  
spędzał z nim  
długie godziny.  
Ksiądz Władysław miał czas jakiś nadzieję, że sobie zapęni  
pustkę życia a jemu  
przyniesie pomoc, kształcąc go i uzupełniając szkolną naukę,  
choć bez książek  
nie szło tak łatwo. Ale pan Karol zniechęcił się prędko do  
„klechy”. Awdotja  
Charłampjewna, córka młynarza, u którego mieszkał, zdała  
mu się daleko

odpowiedniejszą na nauczycielkę, i ksiądz Władysław w rok  
po przybyciu do  
Wierchniepokrowska znalazł się zupełnie osamotnionym.  
Przeszły lata. Staruszek spoczął na rogu cmentarza w kątku,  
pokropionym wodą  
święconą przez towarzysza wygnania. Pan Karol zmienił  
mowę i obyczaj, i ksiądz  
nie miał nikogo, do któregoby mógł przemówić słowo.  
Próbował zbliżyć się do  
dzieci — te uciekały od niego, starsi trzymali się zdaleka, do  
czego pan Karol  
po swem ożenieniu niemało się przyczyniał. Spróbował  
rzemiosła i lekarki. Szył,  
strugał, piłował — dawało mu to zarobek a zwłaszcza zabijało  
czas. Lecząc  
chorych domowymi środkami, miał pociechę i jakiś cel życia.  
Niedługo jednak  
zakazano mu i tego. W Wierchniepokrowsku zamieszkał  
felczer. Zostały więc tylko  
młotki, igły i piły, długie spacerunki po bagnistych lasach — i  
dłuższe od nich  
modlitwy.  
Dzienników nie widywał — nie miał za co płacić za swoje a  
obcych nie umiał  
czytać i nie obchodziły go. Listów też nie odbierał prawie  
żadnych. Od kogożby?  
W kraju nie miał nikogo. We Francji...  
Z Francją zaszła rzecz dziwna. Tak jest. Tam były serca,  
uderzające do niego  
szczerze i gorąco.

Tyle łez płynęło, gdy się żegnał, tyle twardych ale drżących ze  
wzruszenia rąk  
ściskało dłoń przy rozstaniu. Potem, przez tych parę lat, które  
spędził na  
Litwie, przychodziły do niego nieraz listy na grubym, źle  
złożonym papierze,  
niewprawną ręką pisane, ale bardzo pocziwe. Z każdym  
wpadał mu promyk jasny do  
duszy. Pisali mu dawni wychowańcy, pisali chłopcy z ochrony  
do swego ojca,  
donoszono mu o wszystkich zmianach i wypadkach  
najdrobniejszych. Zwyczajnie jak  
ojcu.  
Potem zaczęło to się zmieniać. Listy stawały się rzadsze.  
Dawni wychowańcy — to  
było jeszcze mniej dziwne: po całodziennej ręcznej pracy nie  
do pióra im było.  
Ale ci pisali przecie — nie pisali chłopcy z ochrony. A im  
jednak musiało być  
łatwiej. Ksiądz się dziwił i martwił. Pisał kilkakrotnie i do  
nich i do księdza  
Garreaud, swego następcy i do Jacquota i innych jego  
kolegów. Z zakładu  
odpowiedzi nie było. Ks. Garreaud zawiadomił tylko, że już  
nie jest kierownikiem  
ochrony, ale kto go zastąpił, nie doniósł, i mimo kilkakrotnych  
zapytań swego  
poprzednika, odpisywał mu zawsze ogólnikowo, wymijając  
odpowiedź na pytanie. To  
samo czynili dawni wychowankowie, tak że ks. Władysław  
nie wiedział, co myśleć.  
Przypuszczał czasami, że ochronę spotkało jakieś nieszczęście  
lub że ją

zamknięto. Odpędzał jednak od siebie prędko tę straszną myśl.  
Cóż dziwnego? Listy muszą ginać.  
I rzeczywiście ginęło ich tyle. A dopieroż z zagranicy!

Ale tymczasem brakło mu ostatniej pociechy. Był sam,  
zupełnie sam, wśród leśnej  
puszczy, która go otaczała.  
Był to jednak człowiek hartowanej duszy i wiary gorącej. Ta go  
wstrzymała od  
rozpaczy, wola silna uchroniła od fizycznego upadku. Złamać  
się nie dał  
samotności i niedoli, tylko stał się tak cichy jak las odwieczny,  
jedyne świadek  
i towarzysz jego pustelniczego życia.  
I tak mu przeszło lat blisko dwadzieścia.  
Pewnego dnia wreszcie wołostny starszyna zawezwał go do  
siebie.  
Wśród tych ludzi, oddzielonych od niego całą przepaścią  
odmiennych pojęć i  
uczuc, ksiądz Władysław był szanowany. Nie można  
powiedzieć, aby go lubiono.  
Zbyt był odmienny, zamało zrozumiwały. „Czudak” — dziwak  
— w tem określeniu  
wyrażała się całość wrażeń, jakie ksiądz polski wywoływał  
wśród ludności  
Wierchniepokrowska. Przed tym dziwakiem jednak, prawie  
mimo wiedzy i woli,  
zdejmowali czapki i kłaniali mu się w pas wszyscy  
mieszkańcy wsi bez wyjątku.  
I starszyna, zobaczywszy go wchodzącego do izby, powstał i  
podszedł do niego z

pokłonem i wyciągniętą dłonią.  
— Pozdrawiam was z najwyższą łaską, ojczy — rzekł —  
ledwie dostałem, pchnąłem do  
was chłopca, aby wam to oddać; ciężkoście się już u nas  
zateśknili za swoimi, ot  
i poraduje się teraz serce wasze.  
Mówiąc to, podawał księdzu urzędowe pismo z wielką  
pieczęcią.

Ksiądz Władysław złożył ręce i oczy podniósłszy w górę,  
przez chwilę rozmawiał z  
Bogiem w ciszy swego serca. Potem ręką drżącą wyciągnął po  
papiery.

— Prawdaż to? — zaczął po chwili starszyna tonem  
ubolewania, podczas gdy ksiądz  
z trudnością starał się odgadnąć znaczenie pisma w niedość  
mu znanym języku —  
prawdaż to, że wam tylko przejazdem wolno zatrzymać się u  
swoich „na rodzinie”,  
a potem już musicie z granic państwa się wynieść?

— Prawda — rzekł ksiądz.

— O, biedniście, biedni, w takim razie — ubolewał wójt — to  
tylko pół łaski dla  
was. I tu i tam, wśród obcych. Oj, bolećże to będzie duszę  
waszą!

Ksiądz spojrział na niego z łagodnym uśmiechem.

— Mam ja tam dzieci moje — szepnął — do nich pójde.  
Wójt zdziwił się mocno i opowiedział bezzwłocznie pisarzowi  
i żonie, że polski  
ksiądz nie taki jak inni polscy księża, że jest żonaty i że ma  
dzieci po za

granicami naszej świętej i wielkiej „Rassiei”.

Trzy miesiące minęło.

Po załatwieniu formalności i odbyciu długiej i uciążliwej podróży, ks. Władysław

przywłókł się znów do swoich grobów na Litwę, ale tym razem nie spotkał już

znajomych twarzy i serc życzliwych. Zbyt dawno odszedł, aby zostało coś dawnych

więzów, zbyt krótko przebył w kraju po powrocie, aby nowe węzły zawiązać. Czuł

się obcy, a to, co widział, napełniało go smutkiem bez miary.

Pomonym nie mógł

być nikomu, pomodlił się więc tylko, zapłakał, garść ojczystej ziemi do trumny

schował na piersiach i ruszył na Zachód.

Jechał nie zatrzymując się prawie, zamknięty i obojętny na pozór zupełnie. Z

okien wagonu i z kolejowych dworców witał go jakby świat nowy, nieskończenie

wspanialszy od tego, który znał, świat postępu, wynalazków, komfortu i zbytku.

Patrzył nań szklannemi oczyma, nie widząc go. Co go dziś obchodzić mogły te

blaski i wykwinty. Ale wewnątrz duszy jego jasno było i ciepło. Coś mu

napełniało serce po brzegi i zdawało się, że je rozsadzi. Tyle lat spędził

samotny, nie mając z kim myśli podzielić, ani znaleźć oddźwięk, poczucie,

zrozumienie dla tego, co się działo w jego biednym sercu,  
stęsknionem i  
sierocem. A do przywiązania, do przyjaźni, wdzięczności,  
zaufania — on do tego  
wszystkiego tak był przywykł. Kapitał miłości i ofiary  
włożony przezeń w ochronę  
w Rionney, on mu się z czasem wrócił stokrotnie. Te roje  
jasnych główek,  
otaczających go na każdej rekreacji — on był dla nich  
wszystkich bardzo drogim,  
często najdroższym na świecie — i on o tem wiedział. I potem  
to wszystko ustało,  
urwało się — i tak długo nie było nikogo, ktoby go kochał i  
miłość, choćby tylko  
życzliwość mu okazał. On nie skarżył się, znosił cierpliwie i z  
poddaniem ale  
cierpiał bardzo. Człowiekiem był. I teraz odzywał się w nim  
człowiek całą potęgą  
tajonego i krępowanego tak długo uczucia, całą potrzebą  
kochania, która u  
schyłku życia staje się tak wielką i trudną do zgłuszenia.  
Odzywał się i wołał  
mu wciąż — a głos ten szedł mu do głowy, jak stare wino.  
— Oto cię tam czekają — oto cię czekają ci, którym jesteś  
drogi, ci, co cię  
znali i ci, co tylko słyszeli o tobie. I wybiegną przeciw tobie  
wszyscy,

wszyscy, i wyciągną ku tobie dłonie i serca kochające i  
przygarną do siebie, i



nagrodzą te długie lata bez słońca. Wśród dzieci twoich  
dawnych i nowych złożysz  
zmęczoną głowę, spocznie przy nich znużona dusza twoja.  
Przejechał przez Szwajcaryę. Pomiedzy Lozanną a Genewą  
jechał z nim razem ksiądz  
miejscowy, który, dowiedziawszy się o kierunku jego  
podróży, zwrócił uwagę na  
jego strój duchowny.

— Czy nie byłoby lepiej przebrać się po świecku albo  
przynajmniej wziąć długi  
surdut zamiast sutanny? We Francyi tak teraz wzmogły się  
wpływy wolnych mularzy!  
Znieważanie księży na ulicach i na kolei jest na porządku  
dziennym.

Ksiądz Władysław uśmiechnął się tylko.

— Nie boję się — rzekł. — Jadę do moich dzieci. Znam je i  
oni mnie znają.

— Jesteś ksiądz pewien, że tam w ciągu tylu lat nie zaszły  
jakie zmiany... na  
gorsze, zwłaszcza w tych ostatnich złych czasach ?

Ksiądz pomilczał chwilę.

— Komuż miałbym ufać, jeśli nie im — rzekł wreszcie. —

Widzisz ksiądz: zmienić  
się mogą rządy, stronnictwa, prądy polityki — ale mnie do  
nich nic. Niech dbają  
o to ci, co do ziemskich spraw się mieszają, ale ja od tego  
byłem zdaleka, i ja,  
i prace moje, i moje dzieci, które są pracy tej owocem. Ja  
budowałem na sercu i  
ufam, że serce dzieci moich mnie nie zawiedzie.

— Ale to nie są ci, których ksiądz zostawiłeś?

— Pewnie że nie. Ale przecież jest jakaś tradycja zakładu,  
jakiś węzeł z  
przeszłością, i choć ich nie znam, to niemniej są memi  
dziećmi.

W Genewie wypadło czekać godzinę na dworcu. Chodząc po  
peronie, ks. Władysław  
posłyszał koło siebie kilkakrotnie sykanie. Odwrócił się i  
zobaczył paru  
wyrostków w bluzach, pokazujących go palcami i  
śpiewających jakieś kuplety,  
których treści nie dosłyszał czy nie zrozumiał.

Spojrzał na swoją starą, polskim krojem robioną sutannę i  
dobrodusznie  
uśmiechnął się.

— Śmieją się z jej kroju, — rzekł do siebie. — Nie przywykli,  
cóż dziwnego ?

Na granicy francuskiej, w Bellegarde, siadło do wagonu  
trzeciej klasy, którą  
ksiądz dla oszczędności podróżował, kilku jegomościów  
zdających się zajmować  
pośrednie miejsce pomiędzy warstwą rzemieślniczą a  
inteligencją.

Ci zaledwie zobaczyli księdza, przywitali go jednogłośnie  
„Ohé, le corbeau!" i

rozpoczęli między sobą rozmowę, splecioną z cynicznych  
dykteryjek i

sprośniejszych kupletów antyklerykalnych. Ksiądz Władysław  
słuchał cierpliwie,

patrząc w brewiarz — kiedy jednak koncepta stawały się coraz  
bardziej cyniczne,

uchylił grzecznie kapelusza i zapytał, czy może przyłączyć się  
do rozmowy.

— Kazanie, co? spytał jeden z tych panów, przytykając prawie swoje dwususowe cygaro księdzu do nosa.

— O nie: trochę biografii. Ale przedtem niech mi wolno będzie zapytać: Panowie jesteście republikanie?

— Zapewne. Czy wyglądamy na kanalje jezuickie i klerykalne?

— Zdaje mi się, że można być jednym i drugim oczywiście bez dołączonego przez pana przymiotnika.

— Ja pierwszy — jestem księdzem katolickim i republikaninem.

Roześmiali się.

— Znamy się, znamy na tej komedyi. Wasz stary lis w Watykanie poluje nowymi sposobami na republikańskie kury. Ale nie ma głupich.

— Ale bo jestem republikaninem nie od dziś, ani od wczoraj. Byłem nim całe życie, a mam lat siedmdziesiąt.

— Dobrze, dobrze, rozumiemy się.

— Bytem na wojnie, mam jej ślady — wskazał bliznę na policzku — wojna była... o

to. Potem pracowałem przez dwadzieścia lat wśród ludu wiejskiego i dla młodzieży

ubogiej, którą wychowywałem na rzemieślników. Trzystu ich wyszło z pod mojej

ręki, znają ich i w Lyonie. Teraz jest ich pewnie drugie tyle.

Czy nie

stwierdziłem tem w praktyce moich demokratycznych zasad?

— Ładna demokracja u sutaniarza!

— Mniejsza u kogo, byle szczerza. Moja nią była. A teraz słuszniej panowie

rzucacie rai obelgi, których nie godzi się rzucać

przeciwnikowi nawet, i

rzucacie je demokracji i republikaninowi?

— Sofisteryja jezuicka — mruknął jeden, najbardziej zażarty.

Inni jednak

przycichli i uspokoili się. Za chwilę sąsiad księdza zapytał:

— A gdzież to była owa demokratyczna ochrona?

— W Rionney sur l'Ill, niedaleko stąd.

— W Rionney? — powtórzył, namyślając się. — Aha, już wiem. Jest, jest tam

ochrona, duży zakład, imienia obywatela Anacharsisa Locque.

— Mylisz się pan. Ochrona jest pod wezwaniem Matki Bożej Ostrobramskiej, na

pamiętkę głównego narodowego sanktuarium Litwy.

Anacharsisa Locque znałem. Był

on nauczycielem szkółki w Rionney za moich czasów, przed trzydziestu laty, potem

go rząd spensjonował.

— A tak, tak. Za szczerze repulikańskie zasady. Intryga klerykalna. Może i pan,

ze swą demokratyczną pobożnością, brał w niej udział. Ale naprawiła to

rzeczpospolita. Obywatel Locque jest merem Rionney i

ochrona szczyci się nazwą

tego prawego republikanina.

Księdzu zrobiło się przykro bardzo. Usiłował wmówić w siebie, że jego towarzysze

podróży byli błędnie poinformowani, na chwilę nawet nasunęła mu się myśl — odrzucił ją zresztą od siebie zaraz z oburzeniem — że może umyślnie zwieść go chcieli, byle księdzu dokuczyć. Potem jednak wracało mu uparcie do głowy:  
— Anuż to prawda? A jeżeli tak...  
— Czy panowie jesteście zupełnie pewni tego, co mówicie? Jeden z tych panów odpowiedział:  
— Jestem zupełnie pewien. Pracuję w oliwkach na rzecz wielkiej firmy Clouébasque i Gireauton w Grenoble i co kilka lat bywałem dla interesów w okolicach La Brègue. Ochronę widziałem, jak pana widzę.

Mówiono mi też o niej. Dawniej było dzieci o wiele więcej, teraz, vous savez, system oszczędnościowy... — Zresztą ochrona wzniosła na placu przed merostwem pomnik Gambetty z własnych funduszków.

— Z funduszków sierocych?

— Zapewne. Un grand homme, quoi! Miałem też zaszczyt poznać obywatela Locque.

Bogacz ! ale prawy i szczerzy syn republiki. I teraz przypominam sobie,

wspominano mi coś, że jakiś ksiądz, kiedyś trochę się przyczynił do tej ochrony.

„Trochę!”

— Ale to było bardzo dawno, et vous savez, wówczas księża do wszystkiego nos

wtykali. Teraz zato inaczej, a zwłaszcza w Rionney, pod rządami Anacharsisa Locque.

Ksiądz nie zabrał już więcej głosu. W parę godzin pociąg stanął w La Bregue.

Stąd drogą znaną sobie tak dobrze przed laty, wśród drzew oliwnych i morwowych,

pospieszył ks. Władysław do Rionney.

Pilno mu było. Rzeczy zostawił na dworcu kolejowym, brudnym i nędznym, jak

wszędzie we Francji, i podkasawszy sutannę dawnym zwyczajem, szedł prędko jak

młody. Serce ścisnęło mu się niepokojem nieokreślonym, wywołanym rozmową w

wagonie — zarazem jednak uderzało radośnie ku temu domowi, w którym spędził

część życia, któremu zawdzięczał tak wiele. Zastępował mu przecie przez lat tyle

rodzinę, ognisko domowe, ojczyznę nawet.

Teraz zobaczyć raz jeszcze te kochane mury, jego myślą i pracą wzniesione, teraz

przycisnąć do serca i przeżegnać te głowki nieznane, a bardzo drogie, po-

słyszeć z ust tych dzieci nazwę „ojca”, za którą na wygnaniu i obczyźnie tak się

stęskniło jego stare serce, a potem choćby zaraz umrzeć. Dziej się wola Boża.

Oto już w kurzu gościńca zaczynają się pokazywać pierwsze domy wioski.

Najbliższych nie pamięta — nowe są, wieś rozrosła się i powiększyła. Ale tamte dalsze on już poznaje i wita je jak starych, dobrych znajomych.

Oto domek ojca Matthieu, tylko z nowo pomalowanemu na czerwono okiennicami; to ogród starej Gerwazowej. Czy żyje jeszcze staruszka? Pewnie nie — inaczej zobaczyłby ją w oknie z nieodstępnym kołowrotkiem; tutaj stał posąg Bogarodzicy nad studnią. Niema go już — jakaś goła dziewczka zajęła jej miejsce.

Ksiądz westchnął i odwrócił głowę. Ale otóż i kościół — na tym znać ostatnich lat dwadzieścia. Postarzał się, poczerniał, tynk poodpadał, okna powybijane świecą czarnymi dziurami. Na drzwiach czerwony plakat: Własność narodowa.

Ksiądz westchnął znowu, nie spojrzął na pomnik marmurowy w pretensjonalnym stylu i manierowanej pozie — poszedł dalej i znalazł się pod ochroną.

Ta się nie zmieniła. Obszerny biały budynek stał wśród zieleniącego ogrodu, wesoły i schludny.

Ksiądz przyspieszył jeszcze kroku, wyciągnął drżące ręce, potem oczy wilgocią zaszle przetarł i stanął.

Z ust zbielałych, trzęsących się wyrwało mu się głośnie pytanie:

— Co to jest?

Nad wejściem, tam gdzie w niszy ubieranej w lecie codzien  
świeżymi kwiatami  
jaśniał dawniej obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, stał  
obnażony bezwstydnie  
biust kobiecy z frygijską czapką na czole. W górze  
skrzyżowane były dwie  
chorągwie, jedna trójkolorowa francuska, na drugą napatrzył  
się dosyć ksiądz  
Chrześcijał na północy. Nad drzwiami wielkimi literami  
złocił się na marmurze w  
zachodzącym słońcu napis:  
„Republikańska i wolnomyślna ochrona dziecinna gminy  
Rionney, imienia obywatela  
Anacharsisa Locque'go.”  
Ale nie to jeszcze zatrzymało uwagę przybysza. Błędny,  
przerażony wzrokiem  
wpatrywał się w drukowane wielkimi literami ostrzeżenie,  
przybite obok drzwi  
wchodowych. Ręką drżącą od słońca się zasłaniał, oczy  
przecierał i szeptał:  
— Boże mój, Boże mój... czy to sen? Czy ja zmysły tracę?  
Czy to tu, tu, w mojej  
ochronie? Boże mój, daj się obudzić! Co to znaczy?  
Na wielkim arkuszu czerwonego papieru czerniało pięć  
wyrazów tylko. Wyrazy te  
były:  
„Psom i księżom wstęp wzbroniony.”  
W tej chwili rozległ się dzwonek. Z budynku wysypała się z  
wrzaskiem i piskiem  
zgraja dzieciaków, w jednostajnych bluzach, odróżniających  
się blaszanymi  
numerami.



Ksiądz stał nieruchomy i nie był w stanie im się przypatrzeć:  
sposstrzegłby  
zapewne różnicę tych twarzy, jedna w drugą  
przypominających Jacquota w dniu

schwywania go przez ojca Remigiusza, od okrągłych, wesołych  
twarzy jego własnych  
wychowanków.

Ale chłopcy go sposstrzegli i w jednej chwili wrzask ich  
zmienił się w ryk i pisk  
straszliwy.

— Patrzcie, patrzcie, sutaniarz, kruk, kalotyn: huźha, dalejże  
na niego! kra,  
kra, kra!

I cały plac zabrzmiał wrzaskiem naśladowującym krakanie  
kruków:

— Kra, kra, kra!

Starsi, śmielsi, przyskakiwali do niego, szarpiąc za poły  
sutanny, szturchając i  
robiąc palcami nosa. Jeden wyciągnął mu z kieszeni  
czerwoną, zabrukaną chustkę i  
powiewał nią, jak sztandarem, drugi wziął tabakierkę i  
otworzywszy traktował nią  
kolegów z małą powagą, a resztę wysypał pod nogi.  
Inny o przedwcześnie starem oku, plunął z daleka na niego.  
Ślina została na  
rękawie sutanny.

Ksiądz stał nieruchomy, jakby zmartwiały.

Na schodach przy wchodowych otwartych drzwiach stało  
dwóch młodych ludzi,

wybladłych, porozpieranych z nastroszoną czupryną, z  
cygarami w ustach i  
zapachem absyntu, bijącym od nich o dziesięć kroków, którzy  
przypatrywali się  
tej scenie z uśmiechem.

— Co za cymbał — mruknął jeden przez zęby — sam się  
prosi chłopców, aby się z  
nim bawili.

— A potem znów na nas dewotki wrzeszczeć będą, że  
chłopców z ochrony szczujemy  
na księży.

— I to z ochrony, przez popa założonej.

— Pardi!

Zaśmiali się głośno.

— To dopiero nazywam robić interesa rzeczypospolitej! To,  
co popi założyli dla  
szerzenia ciemnoty, obracać na ogniska światła i rozsiewniki  
zasad postępu.

— Cette farce! Nie bądźże głupi i nie naśladowuj tego starego  
osła Saindoux,  
pamiętasz go? co to zawsze mówił o nieśmiertelnych zasadach  
roku, póki go z  
merostwa nie zrzucili. Kto z nas dba o te głupstwa? Poprostu  
wygodniej nam tak,  
niż z klerykalną obrozą. Gdyby nie to... je me ficheraï bien de  
cette canaille  
de république!

Wygłosiwszy w ten sposób swoje polityczne credo, młody  
mówca wraz ze swym kolegą

patrzyli dalej z filozoficznym spokojem na to, co się działo na placu.

Tam działo się to samo. Tylko że ksiądz nieruchomy, niebroniący się, przestał za chwilę bawić. Chłopcy zaczęli się jeden za drugim rozbiegać, bić się i targać za włosy, kamieniami rzucać na przechodniów. Kilku, nabrawszy kamyków do kieszeni, wymknęło się chyłkiem w stronę kościoła.

Od czasu do czasu jeden z łobuzów odwracał się i ziemią lub kamykiem rzucał w stronę starego księdza. Bez ustanku, to z jednej to z drugiej strony placu,

odzywały się urywki cynicznych kupletów przeciw księżom i okrzyki:

— Ohé, le corbeau noir! ohé, le vieux cafard, ohé, le calotin!

A potem znów wrzask:

— Kra, kra, kra, kra!

A ksiądz nie ruszył się. Kręciło mu się w głowie, w sercu, zdawało się, że

zacieżył wielki lodowaty ka-

mień i gniótł go strasznie, rósł i rósł. Myśli nie był w stanie zebrać, ani

ruszyć się, ani przemówić, tylko przez usta drżące przedzierały się szeptem te same słowa:

— Za co, za co, Boże mój, za co?...

Słońce zachodziło, kładąc światła złociste na jego włosy siwe, z których

kapelusz chłopcy rzucili w błoto uliczne. Z daleka w blaskach zachodu lśniły się srebrem i błękitną tęczą szczyty gór — od łąk i pól wiatr przynosił ostrą woń ziół i kwiatów, świeżość traw skoszonych i ros wieczornych. Na wieży kościelnej dzwon rozbity zaczął dzwonić na Anioł Pański i jękiem głuchym i posepnym płynął dźwięk jego w powietrze. Ksiądz stał ciągle na miejscu, nie słysząc. W duszy jego noc była czarniejsza, smutniejsza niż śmierć. Na placu przed ochroną rozlegało się ciągle nie milknąc: — Kra, kra, kra...

Wołostków, Lipiec .

KONIEC.

OSTATNIA MSZA.

Pani Maryi z Tarnowskich Sarneckiej.

I.

Na N. Pannę szkaplerzną, siostra Domicella wezwała mnie do furty.

— Jakiś pan nieznajomy pragnie widzieć się z matką.

— Nie powiedział, skąd jest ? Jak się nazywa ?

— Nie. Samej matce chce to powiedzieć. Zrobiło mi się trochę przykro. W tych czasach, takich ciężkich, byle drobnostka niepokoi. Ile razy widziałyśmy, jak z tych drobnostek rosło nieszczęście! Odwiedziny jakiegoś nieznajomego? Może prośba, może i pułapka. Kto wie? Poprosiłam siostry Serafiny, aby mi towarzyszyła do kraty. Jest najmłodszą z nas, najwięcej ma przytomności umysłu i odwagi; kierujemy się też zazwyczaj zdaniem jej w ważniejszych sprawach. Choć po niej najmłodszą jestem w naszej klasztornej rodzinie, i dlatego też zrobiono mnie, najniegodniejszą ze wszystkich, przełożoną, po śmierci nieodżałowanej matki Klary, zostało mi drżenie nóg i wielkie osłabienie od czasu ostatniej rewizji przed trzema laty. Było to wtedy, kiedy wskutek donosu, że ułatwiamy „uporczywym” przyjmowanie Sakramentów świętych, chciano klasztor skasować, co Pan Jezus

odwrócił. Otóż, szłyśmy, powoli przez wirydarz, w środku klasztoru. Siostra Serafina podtrzymywała mnie. Wieczór się zbliżał. Po szarych, okopconych murach słońce kładło blaski swe

gorące, złociste. W naszym ogródku wszystko zieleniło się i pachło. Dokoła posągu Matki Bożej róże kwitły gąszczem całym. Pomędzy bluszczem, oplatającym kolumny krużganku, przelatywały gołębie klasztorne i całe stada wróbli.

Wśród murów grubych, omszonych, cicho było i chłodno. Z daleka, przez gotycką arkadę, świat Boży przeglądał, oko ogarniało dolinę całą, łąki zielone, zboże dojrzewające, strzechy słomiane i sady dwóch wiosek, klasztornych niegdyś.

Ludzie kręcili się po polu, daleko, w płótniankach, podobni do białego mrowia.

Czasem, na chwilę, wiatr przyniósł echo pieśni wesołej, nawoływanie parobków, śmiechy dziewcząt. I znowu cichło wszystko.

Zatrzymałyśmy się na jedno Zdrowaś przed posągiem Bogarodzicy. Po chwili podniosłyśmy razem głowy, rzucając okiem na wirydarz i pole.

— Czterdzieści lat — szepnęła siostra Serafina bardzo cicho.

— Czterdzieści lat tylko — odparłam z uśmiechem. — Siostra jest tu tak krótko!

Ja, Bogu dzięki, czterdzieści sześć, a Matka Koleta, wiadomo siostrze przecie,

ni mniej ni więcej tylko sześćdziesiąt i ośm.

Uśmiechnęłyśmy się obie.

— Tak; życie całe, długie, w pracy, modlitwie i ciszy. Wielka łaska Boża!

— A tak już źle z było nami, — wtrąciła siostra. — Pamięta matka, jakieśmy węzełki już pakowały przed trzema laty i nowennę zaczęły do św. Rafała, patrona wędrowców?

— Bóg się zmiłował!

Stałyśmy w milczeniu przez chwilę. Tyle lat, tyle lat!

Wiedziałam, co myśli

siostra Serafina Przed oczyma jej, jak przed moimi, wirydarz taki pusty i

cichy, zaroił się tłumem dziewczątek w szarych sukienkach, uganiających tu o tym

czasie, podczas wieczornych rekreacji. Jakie to były wesołe i poczciwe

twarzązki, jak im dobrze było z nami, a nam ile z niemi Bóg przynosił pociechy

i wesela! I naraz... wichur przyszedł północny, zimowy, zmiotł, zniszczył

wszystko, wszystko... I konwikt, i ochronka, i szpitalik... Nic nie zostało...

Tylko nas kilka starych, opuszczonych, ostatnich.

— Wiele to lat była matka prefektą konwiktu ? — szepnęła siostra Serafina,

odwracając się odemnie i chowając starannie twarz przy różach, które zaczęła

oczyszczać zawzięcie.

— Dwadzieścia lat. Pamięta siostra przecie? Od tego roku, kiedy składałyście ostatnie śluby.

— Prawda. A ja matce pomagałam całych piętnaście lat.

Tylko tych parę lat nie,

co mnie przeznaczono do infirmaryi. A i wtedy z dziećmi byłam. Mój Boże! Co za

życie tu wtedy miałyśmy, ile robiło się dobrego w tych  
czystych, ślicznych  
duszykach..

— I teraz Pan Jezus nam pozwala pracować dla nich i dla  
siebie, modlitwą,  
pokutą.

— Prawda, prawda. Wiem, że grzeszę. Ale żal. A potem  
strach...

— Bóg mocny.

— Gdybyż choć tu głowę złożyć, byle nie patrzeć jak po nas...

Przerwałam jej. Nie dawałam nigdy rozmowie schodzić na te  
tory. W klasztorze

spokój i pogoda ducha jest najpierwszym z obowiązków po  
modlitwie, a jakże

zachować spokój, myśląc i mówiąc o losie tych murów, od  
czterystu lat

poświęconych chwale Bożej, o skarbie najdroższym, o  
kościelach, którego istnienie

związane było z naszym życiem

Najlepiej było myśli z duszy oddalać, słów nie dopuszczać do  
ust.

— Nie każmy tak długo czekać naszemu gościowi, moja  
siostrę.

Gość był nieznany, ale mu jakoś dobrze z oczu patrzyło.

Zalękniony był widocznie

i podrażniony cały. Szpiegowie bywają śmielsi. Gdyśmy  
weszły do parlatorium,

przedzielonego kratą, wstał, i pokłoniwszy się nam, otworzył  
drzwi sąsiedniej

izby, aby się przekonać, że nikt nie podsłuchuje.



— Czy mam zaszczyt mówić z matką przełożoną? — spytał, wracając.

— Tak jest — odrzekłam.

— Z matką Rozalją, w świecie Joanną Błocką?

— Tak jest, — odparłam — od śmierci ostatniej przełożonej, dwanaście lat sprawuję ten urząd.

— A nikt nas słyszeć nie może?

— Niech pan dobrodziej będzie spokojny zupełnie.

— Bo widzi matka, w takich dziś czasach żyjemy. Nikomu ufać nie można, nigdy być pewnym.. A ja z ważnymi sprawami przyjeżdżam. Umyślnie tu przyjeżdżam. Tak, tak, dziesięć mil drogi nałożyłem. A strach!... Ale naprzód przyrzec mi matka musi solennie że nigdy nikomu nie powie o mnie i moich odwiedzinach.

Przyrzekłam mu najuroczyściej i wcale nawet nie uśmiechałam się z niego. Tyle ludzi widziałam, których zgubiło jedno marne, nieostrożne słowo! Trudnoż było brać za złe trochę ostrożności.

— Czy hrabia Mikołaj C. i ksiądz Ignacy N. w A., siostrom są znani?

— Oczywiście, że tak. Hrabia przecie to był, który nas wpływem swoim uratował przed trzema laty. Do B. jeździł za nami wstawiać się i wygrał. A ksiądz Ignacy?

Jakżebyśmy go nie znały! Toż był nasz dobrodziej, opiekun, pośrednik. On nam

zjednywał stosunkami poparcie, on wynajdywał jałmużny,  
którymi żyłyśmy, odkąd  
zabrano nam wszystko.

— Przysłała mnie tu właśnie ksiądz Ignacy w porozumieniu z  
hrabią. Mam tu list od  
niego.

List był treści obojętnej, z wyjątkiem ostatniego frazesu:  
„Resztę dopowie ustnie oddawca, któremu proszę zaufać, jak  
mnie samemu”.

Przeczytawszy, podniosłyśmy oczy na naszego gościa, z  
milczącym, niespokojnym  
pytaniem.

Zrozumiał je i schylił głowę z wyrazem bolesnego  
zakłopotania.

— Tak jest, — zaczął wreszcie — niewesołe wieści  
przynoszę, a niestety pewne.

Przysłano mnie, aby ostrzedz, uprzedzić...

— Boże mój! Klasztor nasz...

— Zniesiony. Tak. Ale rzecz trzymają w sekrecie. Za tydzień  
zjeżdża komisya.

— A kościół, kościół? Spuścił głowę jeszcze niżej.

— Zniesiony także — szepnął. — Dziekan ma być wezwany  
przez policję do zabrania

Przenajśw. Sakramentu i aparatów kościelnych.

— I to już ostatecznie, nieodwołalnie, bez ratunku ?

Nie odpowiedział, wzrok schylając ku ziemi Po co było pytać?  
Gdyby był ratunek,  
nie przysłanoby go tutaj.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, martwe. Nie jeden raz  
przeciągały chmury

nad naszym domem zakonnym. Czasem, zdawało się, już, już  
za chwilę padnie

piorun... I mijało jakoś. Bóg łaskaw, ratował. A teraz...

— Za grzechy nasze — szepnęła siostra Serafina.

— Bogu dzięki i chwała za wszystko, — odrzekłam, ale słowa  
więzły mi w gardle.

— Ksiądz Ignacy przysyła mnie głównie dlatego, — rzekł  
nasz gość — abyście

siostry co możecie z kościelnych i klasztornych rzeczy,  
umieściły zawczasu w

bezpiecznym miejscu, a same od razu wybrały wyjazd za  
granicę, jeśli wybór

zostawia.

Mówił jeszcze dalej, dając instrukcje, jak mamy postępować.

Aleśmy nie słyszały

nic prawie. Co nas

to obchodziło, co z nami będzie? Kilka staruszek

niedołężnych, rok wcześniej czy

rok później pójdzie na tamten świat, tuczy gdzieindziej, co na  
tem zależało? Ale

nasz kościół, nasze świętości, nasze groby!

Trzeba było jednak serce krzepić, znaleźć dobre słowo dla  
nieznanego gościa,

który dla nas trudził się i narażał, ugościć go, o ile na to stać  
było nasze

ubóstwo, a wreszcie podzielić się nieszczęściem wspólnym z  
siostrami.

Gdyśmy odeszły od furty, dzwonek się odezwał właśnie,

wzywający do chóru, po

którym następował wieczorny posiłek.

Siostra Serafina uchwyciła mnie za rękę.

— Nie dziś, matko, — szepnęła — nie dziś jeszcze... prawda?  
Skinęłam w milczeniu głową. Niechże jeszcze jedna noc  
spokojnie upłynie pod tym  
dachem dla biednych, starych siostrzyczek...

Ostatnia!

Do chóru schodziła już tylko połowa sióstr. Było nas dość  
wiele, i to dawało  
nadzieję, że klasztoru nie zamkną tak prędko — ale wszystkie  
były takie stare...

I zbiedzone także, i chore. Siostra Eustachia od trzech lat nie  
ruszała się z  
łóżka, siostra Salezya i Ignacya nie mogły nigdy prawie z celi  
wychodzić,  
siostra Koleta i siostra Józefa żadnych funkcji nie spełniały  
dla podeszłego  
wieku, młodsza od nich o kilka lat siostra Agnieszka  
zdziecinniała od jakiegoś  
czasu całkiem. Wciąż bełkotała i śmiała się, lub płakała jak  
dziecko. Inne  
siostry zapadały też nieustannie. Tej oczy dolegały, tamtej  
reumatyzmy, a  
trzeciej nogi puchły —

i tak ciągle. Nic dziwnego. Klasztor był od lat dwudziestu nie  
odnawiany,  
wszystkie dachy zaciekały, wilgoć, zimno, bo palić nie było  
czem, chyba ktoś z  
obywateli sąsiednich przysłał furę chrustu. Ale i oni sami  
nieraz potrzebowali

pomocy. Przytem doktor, apteka.. Poczciwy Krościelski  
leczył, prawda, za darmo,  
a Steiner za lekarstwa nic nie brał, ale wiadomo, w takich  
warunkach trudno  
lekarza i lekarstw nadużywać. Więc tylko w koniecznej  
potrzebie...  
Nazajutrz był właśnie dzień Komunii świętej. Po Mszy  
wezwałem siostry do  
kapitularza.  
Nie schodziłyśmy się tam teraz, bo całe to skrzydło klasztoru  
najbardziej było  
uszkodzone. Okna powybijał grad i wichur, mury zieleniły się  
od pleśnią na  
mozaikowej posadzce stały całe jeziora od ostatniej ulewy.  
Rzeźbione stalle  
przeniesiono w połowie do suchszej części gmachu, aby je od  
zniszczenia  
uchronić. Tylko wielki Chrystus na środkowej ścianie, pysznie  
rzeźbiony przez  
włoskiego mistrza z czasów Odrodzenia, wisiał nietknięty,  
czarny od pyłów i  
pajęczyny, patrząc posepnie na otaczające go zniszczenie.  
Biedne siostrzyczki zaniepokoiły się wezwaniem do  
kapitularza. Zrozumiały, że  
chodziło o rzecz ważną, a dla nas ważna nowina nie mogła  
być dobrą.  
Spieszyły też, drepcąc i wlokąc schorzałymi nogami. Siostrę  
Urszulę,  
rekonwalescentkę, podtrzymywała siostra Serafina. Nawet  
siostra Koleta  
przywlokła się, prowadzona pod rękę.  
W stallach zbutwiałych, poczerniałych, wilgotnych, jedenaście  
nas zajęło

miejsca.

Nie kazałam im czekać długo.

— Pan Jezus krzyż swój na nas wkłada. Za tydzień mamy dom ten opuścić.

Nikt głosu nie podniósł, nie westchnął. Oczy pozostały spuszczone, tylko głowy trzęsące się od starości i wzruszenia, pochyliły się trochę niżej. W sercach czytał Bóg.

I za chwilę krótką z jedenastu ust wyszedł, objając się głuchym szmerem o krzyżowe sklepienie, jeden wyraz:

— Deo gratias!

W krótkich słowach wtajemniczyłam siostry w treść rozmowy z wysłańcem ks.

Ignacego. Wezwałam je do narady. Po godzinie wszystko było już obmyślane i ułożone.

— A teraz pójdźmy do kaplicy, P. Jezusowi podziękować za ten krzyżyk.

W niezwykłej porze dźwięk hymnu pochwalnego, Te Deum, rozległ się po pustym i cichym kościele. Głosy były bardzo drżące. W tym kościele najmłodsza z nas od lat czterdziestu co dzień Boga chwaliła. Tu był nasz skarb, serce nasze, nasze życie...

A teraz...

II.

Jak ten dzień minął? Nie wiedziałyśmy same.  
Na szczęście nasze było tyle zajęcia!  
Od lat dwudziestu kilku, patrząc, co działo się w koło nas,  
nabrałyśmy  
doświadczenia. Zabrano nam wszystko, co było majątkiem  
doczesnym, dającym się  
spieniężyć. Zostały pamiątki, relikwie, które obca ręka

mogła sprofanować. Te trzeba było w pewnym miejscu od  
profanacyi zabezpieczyć.  
Robiły się więc dniami całymi pakunki: stare ornaty, relikwie,  
krucyfiksy,  
kielich dany przez Maryę Ludwikę i pacyfikał z czasów  
pierwszych Jagiellonów,  
rodzinna relikwia jednego z Radziwiłłowskich domów, od  
dwustu lat ozdoba naszego  
skarbcza. Siostra Salomea, zakrystyanka, przynosiła po jednym  
te skarby nasze, —  
z rąk puścić nie chciała, całowała je, płacząc, po kolei.  
— Ten krzyż pamiątka po naszych fundatorach, kniaziach  
Mirskich... Te ampułki  
srebrne, przy celebrze biskupiej używane, ukrywane tak  
starannie przed chciwem  
okiem rewidujących urzędników..... A o to srebrna  
moustrancya, najświeższa, za  
naszej już pamięci sprawiona, ale za lepszych czasów, na  
pamiątkę  
czterechsetnego jubileuszu klasztoru.  
I na to wszystko nie będą się już patrzeć nasze oczy!...  
Po cichu, w nocy, jak złodzieje, dwaj zaufani ludzie wynieśli  
tych kilka

pakunków do przygotowanej kryjówki. Dostaną się stamtąd w pewne ręce i dalej służyć będą chwale Bożej. Teraz wszystko gotowe na przyjęcie obcych gości. Trochę gratów starych w zakrystyi i klasztorze. I my... stare graty, także, gotowe do wyrzucenia na śmietnisko. Ale o to mniejsza. Prócz paru zaufanych, nikt nie został wtajemniczony, nikt o grożącym nieszczęściu nie wiedział. Wszystko w klasztorze szło niezmiennym porządkiem. Jak zwykle odprawiały się nabożeństwa, jak zwykle

w oznaczonych godzinach zbierałyśmy się na pacierze w chórze. Nawet było nas więcej. Nikt nie korzystał z dyspens. Matkę Koletę przyprowadzano, matkę Ignacyę przynoszono na fotelu. Żadna nie chciała opuścić ani jednej godziny w chórze. Były to przecie ostatnie nasze wspólne modlitwy tutaj... Przyszedł wreszcie lipca. W wigilię już spodziewałyśmy się... Parę razy dzwonek odezwał się na gościńcu; wszystko do okien biegło z bijącym sercem. Ale ten dzień minął spokojnie. Dopiero nazajutrz... Kończyłyśmy właśnie pacierze przedpołudniowe w chórze, gdy gwałtowne dzwonięcie dało się słyszeć u bramy. Poczciwa siostra Domicella, jedyna nasza konwerska,



wpadła do chóru, blada jak ściana i drżąca cała, choć przecie od tygodnia

spodziewałyśmy się tego, co przyjść miało.

— Już są, już są!

Skinęłam na siostrę Serafinę i, zostawiając siostry przy ostatnich modlitwach,

pospieszyłam na przyjęcie tych panów.

Było ich czterech: dwóch starszych w mundurach

wojskowych, tamci w ubiorach

niższych urzędników cywilnych. Zdawali się zniecierpliwieni.

— Ależ my do klasztoru wejść chcemy, do środka — zawołał najstarszy, w mundurze

pułkownikowskim, z mnóstwem krzyżów i medalów na piersiach.

— Może nas panie nie zechcą puścić? — zapytał z ironicznym uśmiechem jego

towarzysz, kapitan, naczelnik powiatu. — Tego znałyśmy dobrze, aż nadto.

— Czy panowie żądacie tego stanowczo, aby im bramy otworzyć? — spytałam.

— Żądamy? Jakżebyśmy byli tak niegrzeczni! Prosimy tylko, pokornie prosimy!

— Ustawy nasze zabraniają nam za klauzurę wpuszczać osoby, nie mające do tego

prawa. Ale oporu stawiać nie możemy. Tu są klucze. Jeśli panowie chcecie,

możecie z nich zrobić użytek.

Ci panowie nie robili ceregieli. Za parę minut wielka brama otwarła się z

łoskotem. Posłyszałyśmy na dziedzińcu brzęk pałaszów i ostróg. Na zewnątrz żołnierze z bronią stanęli na warcie. Zebrałyśmy się wszystkie, które mogły chodzić, w refektarzu, czekając. Za chwilę pułkownik zjawił się tam ze świtą.

— Czy panie wszystkie tu jesteście? — spytał, kiwając nam głową na przywitanie.

— Oprócz trzech sióstr, nie mogących zejść dla wieku lub choroby.

— Proszę po nie posłać.

— Panie pułkowniku, nie mogą się ruszyć z łóżka.

— Proszę je przynieść z łózkami, albo poślę moich żołnierzy, żeby je znieśli.

Nie było rady. Zostawiłam pana pułkownika w refektarzu, zapalającego sobie cygaro i poszłam na górę, aby zarządzić sama przeniesienie biednych sióstr.

Siostrze Eustachii oszczędzałyśmy dotąd smutnej wiadomości. Bałam się, że ją to zabije. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, znalazłam ją całkiem spokojną i przygotowaną.

— Niech matka się nie trudzi. Wiem o wszystkim. Klasztor skasowany. Nas wypędzają. Żołnierze w dziedzińcu. W refektarzu oficerowie.

— Któż matce powiedział? Zakazywałam przecie... Uśmiechnęła się.

— Proszę tylko do nikogo nie mieć pretensyi i nie podejrywać niesłusznie. Nikt

ust nie otworzył.

— Skądże więc?...

Uśmiechnęła się znowu, tym dziwnym, trochę zagadkowym uśmiechem, jaki miewają czasem postaci Świętych. Twarz jej żółta, zawiędła, przezroczysta, wyglądała zwykle tak, jak wyglądają umarli. Tym razem blask jakiś dziwny bił od niej.

— Czyż to koniecznie od ludzi można dowiedzieć się o wszystkim?

Mówiła to spokojnie, jakby żartobliwie. Ale serce moje lek wielki przeniknął.

Pan był tutaj, w tej cichej celi, i jego Anioły.

Siostra Eustachia mówiła dalej ze zwykłą swą prostotą i spokojem.

— Ten oficer domaga się, abym zeszła. Prawda? Zejść nie zejść, ale na krzesło to mnie zniosą.

— Pomogłam jej ubrać się; potem siostra Domicella z Maryanną, naszą jedyną posługaczką, podniosły w górę krzeselko, na którym staruszka siedziała spokojna, uśmiechnięta, jasna cała.

— Ostrożnie, na miłość Boga — zawołałam. Skinęła lekko ręką, nie przestając się uśmiechać.

— Nie bój się, mateczko, — rzekła — nie bój się nic. Już niedługo.

Dopiero nazajutrz zrozumiałam te słowa.

Z matką Salezyą przyszło trudniej o wiele. I jej nie mówiono  
nic dotąd o kasacie

klasztoru; teraz wierzyć jej nie chciała, o zejściu na dół nie  
dała sobie mówić.

— Albo wszystko nieprawda i bajka, — powtarzała uparcie —  
a wtedy niema po co na

dół schodzić, albo ci panowie, jeśli są tu, znajdą do mnie  
drogę.

Staruszcze biednej zaczynało powoli w głowie się kręcić, jak  
siostrze Agnieszce.

Nie było rady. Trzeba ją było zostawić.

Zastanawiałam się, schodząc, jak wytłumaczyć to  
pułkownikowi i przeszkodzić

możliwym gwałtom i awanturom. Nie doszło do tego jednak.

Znalazłam pana

pułkownika w zmienionem usposobieniu. Stał zmieszany jakiś  
i niespokojny. Cygaro

rzucił na ziemię, i wciąż patrzył z lękliwem zdumieniem na  
siostrę Eustachię,

którą na środku refektarza postawiono z jej krzeselkiem,  
zawsze uśmiechniętą i

promienną.

Gdym weszła, zwrócił się ku mnie, i przez chwilę widocznie  
słów szukał.

Uspokoiliam go frazesem jakimś. Nie pytał już o resztę sióstr.

Wyjął z zanadrza papier z urzędową pieczęcią i pospiesznie,  
myląc się i

połykając wyrazy, zaczął czytać dekret rozwiązujący  
zgromadzenie i nakazujący

nam bezzwłocznie klasztor opuścić. W szczególnej swej łasce  
władze pozwalały nam

wybrać jedno z dwojga: albo wyjazd za granicę, albo  
internowanie w innym

klasztorze, w którym zakonnice różnych do-

mów i reguł zamknięte są do wymarcia, jak w więzieniu, pod rządową, policyjną strażą.

W imieniu sióstr odpowiedziałam, że wybieramy pierwsze, i zapytałam, kiedy mamy klasztor opuścić.

— Jutro przed południem.

— Czy wolno będzie Mszę św. odprawić? Zawahał się.

— Dobrze — rzekł. — Ale jedną i cichą. Inaczej ksiądz będzie odpowiadał — wasz

ksiądz. I dziekan także, któremu kazałem tu być jutro.

Żadnych śpiewów więc,

żadnych świateł, żadnych dzwonów i demonstracyj.

— Ależ bez światła nie można Mszy odprawiać !

— No, to zapalcie dwie świece, nie więcej.

Zastanowił się przez chwilę. Wreszcie zwrócił się do jednego z cywilnych urzędników.

— Sprowadź mi tu pan kapelana, zaraz. Muszę z nim ułożyć wszystko, żeby jakie

głupstwo nie zdarzyło się. A panie o jedno proszę: — dodał patrząc na mnie —

żadnych demonstracyj, żadnych scen. Bardzo proszę.

Opuściła go całkiem chwilowa nieśmiałość. Oczy błyszczały zimne i twarde jak stal.

— Niech pan pułkownik będzie spokojny, — odrzekłam — my scen nie robimy.

Chciałam jeszcze coś dodać. Przerwał mi głos matki Eustachii.

— Nie bój się, synku, mateczka ma słuszość. My scen nie robimy. Pan Bóg tylko, Pan Bóg, to co innego. On może. My nie. My w jego rękę. W jego rękę życie nasze i śmierć.

Urwała i po chwili dodała ciszej, uśmiechając się wciąż do jakichś nieuchwytnych, unoszących się przed jej duszą obrazów. — Życie i śmierć... Tak, tak, śmierć, połączenie z Panem Jezusem... szczęście... niebo... Do jutra.

### III.

Skąd się wieść o tem rozeszła po okolicy? Bo nie od nas. Dość że od świtu drogi, wiodące na górę klasztorną, pełne były Judzi. Szło tego jak mrowia. Białe i bure sukmany, rogate czapki i kapelusze słomiane, wózki jednokonne i parką zaprzężone, między niemi tu i ówdzie pański ekwipaż, dziewczęta w chustach kolorowych i baby w rańtuehach. A wszystko ciche, bez pieśni, bez rozmów, z pochylonemi głowami. Na pogrzeb weselej idą. I płynęło to, płynęło jak rzeka. Kościół otworzono o szóstej. Już cały dziedziniec pełen był ludzi, choć

żołnierze próbowali byli odpędzać z początku. Od razu tłum  
zapełnił szczelnie  
niewielką przestrzeń. I dziwnie! Zwykle w takich razach na  
odpustach tłok robi  
się po kościołach, słysząc sprzeczki, piski, narzekania,  
rozmowy tłumione. Teraz  
nie. Ścisk był większy daleko niż kiedykolwiek na największe  
święto, bo ludu  
wciąż przybywało i tłum wielki stał przed kościołem, wejść  
nie mogąc. A jednak  
nie cisnął się nikt. Nikt się nie ruszał. Nikt głosu nie podniósł.  
Tylko cichy  
szepc modlitw unosił się w powietrzu, jak brzęczenie  
niewidzialnych owadów.  
Tylko

w ciszy wielkiej tłumione, zduszone zaraz łkanie odzywało się  
na mgnienie oka.  
Ks. dziekan i nasz staruszek kapelan, O. Wincenty, siedzieli w  
konfesyonale od  
nocy. Każdy się cisnął; każdy chciał raz ostatni Ciało i Krew  
Pańską przyjąć w  
tym kościółku, pod którego skrzydłami tuliły się jego  
dziecinne modlitwy,  
modlitwy jego ojców i dziadów. A jednak i tam, przy  
konfesyonałach, nie było  
ścisku. Tylko kiedy dziekan zrywał się i O. Wincentemu znaki  
dawał, że czas ze  
Mszą wychodzić, chwytano go za komżę, za poły sutanny i  
jęk wielki rozlegał się  
dokoła.

— Czekajcie, ojczy drogi, najlepszy; dajcie nam jeszcze wysłuchać się... Toć już ostatni raz.

Ksiądz wysyłał posłańca do pułkownika z prośbą o cierpliwość. Potem siadał i głowę schylał ku penitentom. Łkania cichły, i słycać było tylko szept pacierzy.

Było już blisko południa, kiedy pułkownik z kapitanem i cywilnym urzędnikiem zbliżyli się do konfesyonału dziekana. Sześciu żołnierzy szło naprzód, rozpędzając lud.

Ks. dziekan, bardzo blady, wyskoczył z konfesyonału i podbiegł naprzeciw tym panom.

Pułkownik nerwowym ruchem wyjął zegarek i podsunął mu go pod oczy.

— Msza była naznaczona na dziewiątą — rzekł ostrym głosem. — Czynię pana odpowiedzialnym za spóźnienie. I za zbiegowisko także. A prosiłem pokornie, nie uprzedzać, nie rozgłaszać.

Poczciwy ks. dziekan odwagą nie grzeszył. Stał jak na żarzących węglach.

— Ależ, najłaskawszy panie pułkowniku, jam nic nie winien, nie mówiłem żywej duszy. A że ks. kapelan się spóźnił... Przypominałem mu już.. Ale cóż, ludzi tyle do spowiedzi... Puścić nie chcą...

— Puścić nie chcą? Opór, bunt? Ja tu zaraz moich żołnierzy...



— Ależ nie, gdzie tam, niechże Bóg uchwala, — przerwał ksiądz jeszcze bardziej przerażony — ot nic, tylko wypowiadać się chcą, a księży niema.. Pan pułkownik nie pozwolił, choć prosiłem...  
— Zapewne, zapewne, żeby jeszcze większą demonstrację robić, jeszcze większy skandal! Tego nie dość, co jest! A wszystkiemu pan winieneś. Po co siadać do spowiedzi? Czy ja po to pana sprowadziłem? Inwentarz spisać, co wasze odebrać, kościół zapieczętować; to wasza rzecz, a nie awantury robić. Ale wam demonstracye w głowie. Ho, ho, znam ja was wszystkich! Półkownik gorączkował się coraz bardziej, szarpiąc i rwąc sznurek od monokla. Kapitan uśmiechał się złośliwie i z widocznym zadowoleniem kiwał głową, potakując. Urzędnik stał sztywny i znudzony. Ksiądz dziekan stracił całkiem kontenans.  
— Pobiegnę po ks. kapelana, aby wychodził ze Mszą — rzekł wreszcie, aby wyjść z kłopotliwego położenia.  
— Radzę wam to zrobić bez zwłoki i dopilnować — odparł ostro pułkownik, patrząc na zegarek. —

Jeśli za kwadrans Msza nie zacznie się, każę kościół opróżnić przez żołnierzy i zamknę go, jak jest.  
Jak jest, to znaczyło z Przenajśw. Sakramentem.

Ksiądz dziekan nie dał sobie powtarzać. Przedarł się przez tłum i dopadł drugiego konfesyonału, koło którego ludzie cisnęli się murem. — Ojcze, prędzej ze Mszą wychodźcie, inaczej awantura! zawołał głośno, zadychując się i chwytając powietrze. Staruszek powoli głowę białą, jak mleko, odwrócił od penitenta. — Konieczneż to, tak prędko — szepnął cichym, bezdźwięcznym głosem. — Ci biedacy tak proszą, płaczą oto... Toż ostatni raz!.. — Ależ zlituj się, ojcze! Pułkownik wścieka się. Grozi, że kościół opieczętuje z Przenajświętszym Sakramentem! Tak przecie zrobili w Bujsku i aż w rok wyrobił biskup pozwolenie zabrania Sanctissimum. Staruszek podniósł się szybko i zaczął, trzęsąc się, przeciskać do dziekana przez tłum, zatrzymujący go z płaczem i jękiem. — Mnie jednego jeszcze, ja o mil przyszedłem. — A ja się tu chrzcilem, do Komunii pierwszej przystępowałem. — My tu ślub brali, na tym cmentarzu chcieliśmy kości złożyć... Wszystko płakało Ręce staruszka okrywano pocałunkami i łzami. Inni schylając się, całowali brzeg jego sutanny. On szedł jak senny, ślaniając się, nie widząc. Oczy mu zasłaniały łzy.

Dziekan zbliżył się i podał mu ramię

— Odwagi, ojcze, odwagi — szepnął. — Wola Boża.  
— Uznaję ją i czczę, — jęknął stary — ale ciężko. Wiecie  
przecie... całe życie  
tu zeszło. Pókim był z braćmi, przysyłali mnie tu wciąż, potem  
osiadłem jako  
spowiednik, a gdy nasz klasztor zamknęli, zostałem tu sam  
jeden, i już myślałem,  
że nie dożyję... A wszakż to czterdzieści pięć lat, jak tu  
jestem.  
Wszystko to później sam dziekan nam opowiadał, gdy nas  
odwiedzał na wygnaniu  
naszem. I zdawało nam się, że widzimy przed sobą drogą,  
świętą postać ojca  
Wincentego. Ale on już wówczas odszedł w górę.  
My tymczasem trwałyśmy na modlitwie w chórze przy kracie,  
która wyjątkowo na tę  
ostatnią Mszę nie była zasłonięta. Inwentarz już był oddany od  
rana. Naszych  
parę węzełków leżało, gotowych do drogi, na wózku. A my  
zebrane u stóp  
Zbawiciela, w stalach naszych starych, które miałyśmy na  
zawsze opuścić,  
modliłyśmy się, modliły...  
Byłyśmy wszystkie, od tylu lat, po raz pierwszy — wszystkie  
bez wyjątku. Matka  
Eustachia na fotelu obłożona poduszkami, z głową na tył  
odrzuconą, i zamkniętymi  
oczyma, wyglądała jak umarła. Z twarzy woskowej, zdawało  
się, uciekł ostatni  
promyk życia. Ręce tylko wychudłe, siecią żył sinych okryte,  
poruszały czasem  
ziarna różańca.

W krześle także zniesiono matkę Salezyę z jej sparaliżowanymi nogami. Za to matka Ignacya chciała koniecznie zająć swoją stałą obok matki Kolety, a siostra Agnieszka siedziała także na swoim miejscu,

Całkiem spokojna, nie śmiejąc się, nie bełkocąc; tylko wielkie znaki Krzyża świętego robiła co chwila, bez potrzeby. W zwykłym czasie odmówiliśmy officjum przedpołudniowe, dodając nieszpory, jako przed podróżą, podczas której mogliśmy mieć przeszkodę w odmawianiu pacierzy. Czekałyśmy już tylko na Mszę. Pan pułkownik zabronił organu, śpiewu, dzwonów i świateł z wyjątkiem dwóch świec. Byłyśmy posłuszne. Paliły się więc dwie świece na wielkim ołtarzu od rana. Od górnego chóru i organów kazał sobie oddać klucze pułkownik. Dzwony milczały. I naraz odezwał się jeden przy zakrystyi, cichutki. Drżący, osłabły, pochylony, sunął się, chwiejąc, ku ołtarzowi ojciec Wincenty. Ksiądz dziekan w komży i stule podtrzymywał go. Kościół nasz taki mały: od zakrystyi do ołtarza trzy kroki zaledwo. Zatrzymywał się, ręce wyciągał prze siebie, jakby drogi w ciemnościach szukając, lub oparcia, Na nim stary ornat

złotemi nićmi szyty, wystrzępiony ze starości jak koronka,  
robotą pobożnej  
kniahini Hanny, żony naszego fundatora, kniazia Daniła  
Mirskiego, córki wojewody  
Przemka z Melsztyna. Stara relikwia, którą zostawić było  
trzeba, bo ją do  
inwentarza klasztornego zapisali przy rewizyi urzędnicy, dla  
kilku pereł  
wplecionych w złote pasma ręką hojnej pani. Staremu ciężko  
było w złotogłowie  
zczerniałem. Ugiął się, idąc.  
Przed nimi dwóch starców, siwych, zgarbionych, mało co od  
niego młodszych.  
Jeden, z białą po pas brodą, niósł mszał. To najpoważniejsi i  
najstarsi z  
obywatelstwa, podkomorzy Gostowski i sędzia Raciszewski.

Oni tym razem, przy Mszy ostatniej, służyć będą za  
ministrantów.  
Ci już nie boją się kompromitacyi.  
Po kościele jedno wielkie westchnienie rozległo się naraz, z  
tysiąca piersi  
wydzierające się głucho, ciężko, jak jęk.  
Msza się zaczęła.  
Myśmy oczy spuściły w dół na chwilę. Zastłonami  
przysłoniłyśmy twarze,  
pochyliłyśmy je ku pulpitom, tłumiąc łkanie, kryjąc łzy.  
To była Msza ostatnia.  
Kiedy za chwilę oczy podniosłam, zdało mi się, że śnię.  
Kościół jaśniał światłem cały. Wszystkie pająki we  
wszystkich trzech nawach,

kandelabry, świece u ołtarzów, co tylko było do zapalenia,  
gorzało jak na  
procesyi Bożego Ciała. Jak to się stało? Czy kto o zakazie  
oświetlenia wielkiego  
ołtarza wygadał się? Czy się umówiło kilku odważniej szych?  
Kto pierwszą, świecę  
zapalił? Nikt tego nie dojdzie, bo z pewnością nikt się tem nie  
pochwalił. Dość,  
że w ciągu jednej, minuty kościół cały jaśniał światłami,  
zapalonemi niewiadomo  
przez kogo.

Tylko na wielkim ołtarzu, przy którym stali oficerowie i  
żołnierze, paliły się  
dwie świece, jak przedtem, i pułkownik obrócił się twarzą ku  
kościółowi, zielony  
cały, sapiąc głośno, gryząc wąsy i rwąc w kawałki sznurek od  
monokla.

Nie patrzyłyśmy na niego. Oczy nasze biegły na kościół, na  
kościół nasz kochany,  
taki w tych blaskach złotych cudowny.

Nigdy mi się tak pięknym nie wydał. Dzień był jasny, gorący.  
Słońce wpadało  
błyszczącemi smugami przez górne okna, ślizgało się po  
murach poczerniałych, po  
marmurowych gżemsach, po czerwonym porfirze ołtarzy.  
Złoczone anioły i posągi  
świętych biskupów zdawały się gorzeć jakimś nadziemskim  
ogniem. Wybladłe freski  
na sklepieniu i na ścianach, porysowane w zygzaki, okryte  
plamami od wilgoci, w

światle setek świec i w ciepłej smudze słonecznej wyglądały  
promienne i świeże,  
jakby je wczoraj malował pobożny nasz brat Hilaryon, uczeń  
Lexyckiego przed  
dwustu laty. Żywe barwy ściennych malowideł, złocenia i  
marmury nagrobków i  
ołtarzy, złocisty blask zapalonych świec w kandelabrach i  
pająkach — wszystko  
razem zlewało się w jakiś dziwnie harmonijny obraz,  
przemawiający do oka, jak  
muzyka. Siostry mówiły mi później, że miały także wrażenie,  
jakby się znajdowały  
w niebie, u stóp Bożego Majestatu.  
A na tle tej tęczy, złotem oblanej, tysiąc głów schylonych ku  
ziemi, twarzy  
łzami zalanych, ust wstrzymujących łkanie i jęki, a  
szepczających modlitwy..  
Przy wielkim ołtarzu ojciec Wincenty Mszę św. odprawiał  
tymczasem.

#### IV.

Odprawiał ją bardzo powoli Mylił się widocznie, plątał i na  
nowo zaczynał. Do  
mszału wciąż patrzeć musiał, bo go widocznie zawodziła  
pamięć, ale i czytać  
trudno było, choć oczy drżącą ręką przecierał co chwila.  
Ksiądz dziekan stał  
przy nim, karty mu od-

wracał, drżące dłonie podpierał, słowa liturgii podpowiadał z  
pamięci. Ale

staruszek coraz bardziej ociągał się, coraz wolniej wymawiał święte wyrazy.

Ach myśmy go dobrze rozumiały! Myśmy wiedziały, dlaczego tak trudno Mszę tę ostatnią skończyć, dlaczego mu tak przed końcowem *Ite missa est* straszno!

Oto podniesienie. Siwa głowa kapłana pochyla się nad ołtarzem, dzwonek jęczy cicho. Tłum ściśnięty w kościele porusza się przez chwilę, jak fala wiatrem

kołysana, i ściele się u stóp Pana Zastępców.

Drżące, pomarszczone dłonie starca podnoszą się wysoko. W nich Hostya biała: św.

Ciało Chrystusowe.

I znów z tysiąca piersi jęk się odzywa przeciągły, głuchy: — Jezu, Jezu, Jezu!

Oto jesteś na tym ołtarzu, na który od czterystu lat schodziłeś codziennie, z

którego tak długo, tylu tysiącom niosłeś łaski swe i popiechy, swe światła i

zbawienie. Oto jesteś — i jesteś po raz ostatni!

Chwila jeszcze, i przestaniesz królować tutaj, i odejdiesz wygnany, i już Ci

nie będzie wolno tu wrócić, tak jak i twoim sługom...

Koło mnie siedziała matka Koleta, nieruchoma, zmartwiała w powadze swych

dziewiędziesięciu lat. Naraz blade jej usta poruszyły się, wymawiając słowa

pieśni pobożnej, pieśni śpiewanej przez konfederatów, od jednego z nich może

słyszanej w dzieciństwie przez, staruszkę:

Bo nieprzyjaciel na to się usadził,



Aby twe syny z ojczyzny wygładził...

Ach! ależ to nie synów i córki ojczyzny naszej, nie synów  
Maryi, kraju naszego  
Królowej, nie ich samych tylko chce nieprzyjacieli wygładzić...  
Oto przecie dłoń  
świętokradzką podnosi na Twego Syna, o Maryo! Oto Jego  
wygania z Jego  
przybytków, oto zabrania mu do nich wstępu... I On, Pan  
niebieskich pułków, na  
to pozwala? Pozwala siebie wygnać z kościołów, z serc  
słabych i ułomnych, w  
których gaśnie moc i wiara? I Ty Panno mocna, Tyż nie  
pospieszysz się ku obronie  
?  
Ach, w sercu starego kapłana to samo pytanie musi się  
powtarzać! Słowa modlitwy  
wychodzą z ust jego coraz wolniej, coraz trudniej. Zdaje się,  
jakby czegoś  
czekał... Może cud się stanie? Może pułki aniołów z  
płomiennymi mieczami w  
dłoniach zejda z niebios odpędzą najeźdźców, ocala  
świątynię i ołtarz ..  
Ale oto przychodzi chwila Komunii.  
— Panie! nie jestem godzien...  
Z głuchym łoskotem dłoń starca uderza w pierś wątlą,  
wychudłą. Ach, gdyby Pan  
jego raczej ukarał, gdyby życie jego wziął jako ofiarę  
przebłagalną swego  
gniewu! A w zamian, gdyby ocalił świątynię.

A jeśli nie... to, gdyby teraz, zaraz, Ciało i Krew Pańską  
spożywszy, odejść z  
tego padołu nędzy do Pana... Nie patrzeć...  
Ach! gdyby teraz umrzeć!  
Komunia kapłańska skończona. Ojciec Wincenty odwraca się  
od ołtarza, drżącą ręką  
krzyż kreśli w powietrzu. A potem Hostyę poświęconą  
podnosi wysoko ponad  
korzającym się tłumem.

I znowu, jeszcze wolniej, jak do ołtarza, iść poczyna do kraty.  
Dziekan podtrzymuje go, prowadzi wraz z podkomorzym. Ale  
idą po omacku. Łzy  
zalały oczy im wszystkim.  
W swoich płaszczach białych, powłóczystych, siostry zbliżają  
się powoli, jedne  
za drugimi, do kraty. Jak w największe święta.. Wszak to  
nasza ostatnia Komunia  
w klasztorze.  
Przysuwają fotele chorych matek tuż do otwartego okienka,  
podnoszą je, aby  
kapłan mógł do ust im sięgnąć. Ojciec Wincenty drży cały,  
ręką z  
Przenajświętszym Sakramentem kierować musi dziekan.  
Wreszcie wszystkie przyjęłyśmy Chleb Żywota. Z zasłoną  
spuszczoną na twarz  
siostry pochylają się w niemej adoracji na pulpity swych  
stali. Nad ołtarzem  
pochyla się kapłan.  
Spożywa pozostałe konsekrowane komunikanty.

Skończyło się. Pan Jezus opuścił już świątynię. Tabernaculum puste, stanęło otworem. Ksiądz dziekan schodzi ze stopni ołtarza, drżącą ręką wyjmuje lampkę wiszącą w środku prezbiterium — i gasi w niej światło. Jęk jeden wielki i lament urwany zaraz, rozlega się po kościele. Żegnaj nam, żegnaj, Zbawicielu nasz, Jezu słodki! Skończyło się .. Resztę widzę już jakby przez mgłę... A u rogu ołtarza stoi Ojciec Wincenty, słaniający się, blady jak ściana. Dwóch ludzi podtrzymuje go, dwóch innych zdejmuje z niego ornat i albę, wkłada

komżę i stułę. Jakaś miłosierna pani podaje mu sole trzeźwiące. Staruszek daje ze sobą robić, co chcą, bezwładny, zmartwiały. Ksiądz dziekan zbliża się ku kracie i roztwiera ją na oścież. Powoli, podtrzymując się nawzajem i wlokąc za sobą długie ciężkie płaszcze, z twarzą ukrytą w zasłonie, przechodzimy tę kratę, którą ostatnia z nas przestąpiła przed czterdziestu laty. I teraz już nie jęk urwany i nie tłumione łkanie rozlega się w kościele. Ach, ten lud pocziwy czuje dobrze, że to już oststnia chwila, że koniec już przyszedł świątyni, w której modlił się od wieku, i sługom Bożym, co ją

niegodnie obsługiwały dotąd.

Płacz, krzyk, lament rozdzierający serce wyje dokoła jak burza. Ludzie rzucają się do nas, rozdzierają nasze habity aby je całować, matki podnoszą dzieci aby nas widziały, tysiące głosów woła nam pożegnanie i błogosławieństwa..

— Oj mateczki nasze rodzone, cóż my poczniemy bez was! Oj niedola nasza, kto za nas modlić się będzie, kto poradzi w chorobie i kłopotcie, kto pocieszy w nieszczęściu!

— Oj, sieroty my bez was, sieroty!

— A pamiętajcie tam o nas, a módlcie się za nami.

— A pobłogosławcież choć nam i temu maleństwu.

— Józiek, Maciek, oczy wytrzeszczaj... patrz, jak mateczki wyglądają, abyś dzieciom kiedyś opowiedział.

— Oj, dolaż nasza nieszczęsna! Na toż nam przyszło, że na poniewierkę ołtarzy Pańskich i świętych naszych panienek patrzeć muszą nasze oczy!

Tu i ówdzie zaciskają się pięści, młodszym iskry z oczu lecą. Ale wszystko znów cichnie.

— Spokój, na Boga, spokój — szepną starsi. — Nie pomożemy nic, nieszczęście tylko zgotujemy im i sobie.

Pułkownik zielenieje znowu. Podbiega do księdza dziekana i szarpie go brutalnie

za rękaw od komży.

— Na pana składam odpowiedzialność za wszystko. To pan chciałeś tej Mszy, tej

demonstracyi. Teraz bunt się zaczyna... Ja każę strzelać..

Niech pan powstrzyma,

inaczej ja za nic nie odpowiadam, a pan...

— Pan przespaceruje się w oddalone strony — kończy ze zwykłym swym uśmiechem

kapitan.

Ale dziekan całkiem inny już w tej chwili, niż przed dwiema godzinami.

— Pan mnie spacerem tym nie nastraszysz, kapitanie — odpowiada spokojnie. —

Gdybym się go bał, dawno zrzuciłbym tę suknię. Będzie ze mną, co Bóg da, ja na

wszystko gotów. Ale odpowiedzialności za to co się dzieje i dziać może, ja na

siebie nie biorę. Nie ja nappełniłem goryczą nie do zniesienia serca tych

biednych ludzi; nie ja ich zraniłem w tem, co im najbardziej święte i drogie...

— Uważaj pan na to, co mówisz! Pan ośmielasz się poddawać krytyce rozporządzenia

wysokich władz. Pan twierdzisz, że rząd tych ludzi obraża i krzywdzi...

— Twierdzą tylko jedno: kto sieje wichry, zbiera burze.

— Ja pana zaraz każę aresztować.

Ksiądz dziekan odwrócił się, a szmer tymczasem znów się zwiększał, rósł, huczał

jak ryk burzy.

I naraz wszystko ucichło — ucichło zupełnie.

Słyszeć było syczenie wosku topiącego się w świecach ołtarzowych.

Ojciec Wincenty ręce wyciągnął, głowę podniósł i usta otworzył.

Słuchali wszyscy. On mówić zaczął.

Pułkownik rzucił się ku ołtarzowi, jak wściekły.

— Ja mówić zakazałem, — krzyknął — ja panu każę milczeć!

Ja pana do

odpowiedzialności pociągnę za naruszenie publicznego spokoju...

Ale darmo się rzucał. Ruchoma fala ludzka stężała naraz, zrobiła się nieruchoma

i twarda jak mur Pułkownik i towarzysz jego kapitan ujęci zostali jak w kleszcze

żelazne. Nie ruszano ich, nie popychano — ale nie ustępowano. Zdawało się, że ta

masa ludzi stała się ślepą i głuchą. Pułkownik krzyczał:

„Puszcząć! miejsca dać!

ja tu w imieniu N. Pana...” Nie słyszał go nikt. Był bezwładny.

— Ten stary klecha odpowie mi za to — zgrzytną! zębami, pieniać się.

— Daj pan pokój — odparł dziekan łagodnie. — On już ziemskich sądów nie boi się.

Dziękuj lepiej Bogu panie pułkowniku, że na tem się kończy i nie utrudniaj nam

naszego zadania...

Pułkownik wypatrzył się na księdza.

— Jedno słowo więcej, bodajby nie było iskrą w beczce prochu — kończył ksiądz —

Spójrz pan na twarze tych ludzi.

Pułkownik ogładnął się i naraz księdza za rękę uchwycił.

— Pan odpowiada, ja proszę... ja wszystko zrobię, jak pan chcesz.. ale nie dopuść pan.. istotnie... mogłoby zdarzyć się nieszczęście. Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Nie będzie nieszczęścia, — odparł — nie bój się pan, ja za to ręczę. Ten lud ma wiarę. Tylko do ostateczności nie trzeba go doprowadzać, bo wtedy już nie ręczę za nic.

Ojciec Wincenty mówił do nas tymczasem. Klęczałyśmy na ostatnim stopniu ołtarza, płacząc cicho. Staruszek nie płakał. Oczy mu zapadły gdzieś w głąb, jakby mgłą krwawą zaszyły — ale ogień jakiś palił się w nich dziwny. Mówił z początku cicho, niewyraźnie, urywanym, bezdźwięcznym głosem, potem głośniejszym i śmielej. Aż wreszcie z tych piersi rozbitych głos popłynął falą srebrną, potężny i grzmiący.

Ludzie oddech w piersi zaparli.

On mówił o dawnych, bardzo dawnych dziejach, o ludziach starych, w proch rozsypanych, o rycerzach w zbroje zakutyh i pobożnych białogłowach, śpiących pod kamiennymi nagrobkami i pod zapisanymi płytami posadzki. Mówił o kniaziu Danile i kniahini Hannie, co po śmierci córki jedynej, a pięknej jak wiosna, wiano jej oddali tutaj, na chwałę Bożą i na pożytek dusz. Mówił o czasach, gdy w

tych murach sto dziewic ze starych okolicznych rodów kwitło  
jak sto lilij w  
Jezusowym wirydarzu, o świątobliwej ksieni Dorocie, której  
ciało Kościół  
podniósł na ołtarze, o siostrach zakonnych, zmarłych w woni  
świętości i  
pocałunku pokoju od Pana. Mówił, czem były dla Boga, czem  
dla ziemt, na której  
żyły. Więc o szpitalach dla

starców i chorych, więc o szkołach i ochronach dla dziatwy,  
więc o jałmużnach i  
lekarstwach, więc o rojach biedaków cisnących się do furty,  
gnieźdzących się u  
stóp klasztorowego pagórka, więc o innych rojach, co w  
kościelach i klasztorach  
znajdowały łaskę niebieską i ludzką pomoc lub pociechę; więc  
dalej o domach  
Bożych wznoszonych sumptem klasztoru, i ofiarach,  
składanych czasu wojennej  
potrzeby na ołtarzu Rzeczypospolitej: więc o napaści  
tatarskiej, mężnie po  
dwakroć od murów obronnych odpartej i o szwedzkiej  
łupieży, w której skarby  
klasztorne zginęły i droższe od skarbów żywoty zakonnych  
panienek umęczonych, za  
wiarę i cnotę; więc krwawe inkursye kozackie i ponowny  
mord pięciu zakonnicek,  
zamordowanych przez rozbestwione schyzmatyckie  
pospólstwo; więc zastępy niewiast



chowanych dla Boga i dla ludzi, sierót wyrwanych nędzy,  
chorych wyrwanych  
śmierci, grzeszników powróconych swym Aniołom Stróżom.  
A wreszcie ostatnie  
próby, i walki, i krzyże, i gorycze...  
Wszystkie blaski i chwały zgromadzenia, wszystkie, zasługi  
sióstr lepszych od  
nas i szczęśliwszych, bo spoczęły już tam, skąd niema  
wypnienia; czterysta lat  
naszych dziejów, dziejów Kościoła i narodu... karta za kartą  
zapisywał to  
wszystko biały starzec płomiennemi zgłoskami, na zawsze, w  
myślach i sercach  
słuchaczy. Ach! oni już teraz będą wiedzieć, będą pamiętać,  
czem był ten  
klasztor, oni pamięć o nim przekażą w pokolenia dalekie, gdy  
w murach jego wróg  
obierze siedlisko i Imię Pańskie z nich zetrze!  
A teraz — zwrócił się do nas.  
Niedobry, okrutny ojczy Wincenty! Niedość mia-

ieś męki, jaką przechodziłyśmy dotąd ! Trzebaż ci było rany  
nasze rozkrwawiać i  
niby żelazem gorącym wypalać, trzebaż było zedrzyć z nas  
sztuczną skorupę  
pozornego męstwa i postawić przed Bogiem i tymi wszystkimi  
ludźmi w całej naszej  
nędzy i niemocy, w całym tchórzostwie serca i złamaniu woli,  
w całym rozdarciu  
biednych, zbolełych dusz, naszych!

— Do was teraz ostatnie moje słowo, ostatnie latorośle  
bujnego niegdyś drzewa,  
co tyle kwiatów niebu przyniosło, tyle cienia i owocu tej ziemi  
biednej,  
ukochanej. Do was się zwracam, siostry moje, ciężko  
dotknięte prawicą Bożą,  
zwracam się z pożegnaniem i błogosławieństwem.  
Błogosławię was na gorycze  
tułactwa wśród obcych, na tęsknoty wygnania, na nędze i  
opuszczenie i pogardę  
ludzką, na ofiarę z tego wszystkiego, czego nawet za kratą  
wolno pragnąć, co  
nawet serce Bogu poświęcone może na tej ziemi miłować.  
Błogosławię was za pracę  
całego życia, za jego modlitwy i zasługi, za obecne łzy wasze,  
za gorycz i ból  
tej godziny. Idźcie w pokoju! Oto was żegna dom ten cichy,  
uświęcony cnotami  
tylu zakonnych pokoleń, dom, co młodość waszą przygarnął,  
co był świadkiem Bogu  
oddanego żywota comiał patrzeć na ostatnią żywota tego  
godzinę! Oto was żegna ta  
świątynia, oblubienica wasza, ukochanie serc waszych,  
powiernicaca rozmów  
waszych z Panem... Ach! On także wraz z wami ją opuszcza,  
wygnany jak i wy!  
Żegna was ta ziemia wasza święta, rodzona, w której spocząć  
chciałyście po  
znojach życia. Obce dłonie ziemią cudzą przesypią wasze  
szczątki, i nie zaszumią  
wam zboża pól rodzinnych nad mogiłą, nie zapłacze nad nią  
polska pieśń

żałobna. Ale Ten, co jest Zmartwychwstaniem i Żywotem,  
Pasterz dobry przygarnie  
was jako owce wybrane, najdroższe. Łzy wasze zawiesi jako  
perły w swej koronie,  
mękę waszą, ofiarę waszą rzuci na szale swej  
sprawiedliwości... Może przeważą  
nieprawość braci waszych, może wymodlą z miłowanie...  
Tak mówił do nas ojciec Wincenty, a serca nasze rozpływały  
się w boleści  
nadmiernej, tak straszliwej, że zdawała się graniczyć z dziwną  
jakaś rozkoszą.  
Już i łez oczom naszym zabrakło, już i sił resztką opuściła  
nasze ciała. Jak  
klęczałyśmy przed ołtarzem, tak padłyśmy na twarz na  
kamienne płyty, na których  
przed wielu laty okrywano nas całunem żałobnym przy  
składaniu ślubów. Padłyśmy  
na twarz i leżałyśmy w prochu przed Panem, wołając z głębi  
serc naszych:  
— Panie, nie jako my chcemy, ale jako Ty chcesz Otośmy  
sługi Twoje... czyń z  
nami wedle świętej woli swojej!  
I przez chwilę cisza zaległa kościół — a potem jeden wielki  
jęk się podniósł i  
łkanie z tysiąca piersi, aż mury klasztorne, zdawało się,  
zadrżały w swych  
posadach. Jęk i łkanie i skarga bolesna, wzbijająca się w  
niebiosa.  
Ach! gdybyśmy tak mogły leżeć zawsze u stóp ołtarza, i nie  
podnosić się już  
nigdy, nigdy...

Ale nam czas już był w drogę wyruszać.  
Podniosłam się pierwsza. Za mną kolejno wstawać zaczęły  
siostry.  
Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, gdym stanęła na  
nogach, był przerażony,  
osłupiały wzrok pułkownika, utkwiony w naszą gromadkę.

Koło pułkownika stał dziekan. Ale ten nie patrzył. Rękami  
twarz zakrył i płakał.  
Spojrzałam na siostry. Za mną w fotelu swoim siostra  
Eustachia spoczywała  
nieruchoma, uśmiechnięta łagodnie, z wyrazem niebiańskiego  
wesela, rozlanym na  
alabastrowej twarzy.  
Pułkownik przyskoczył do niej w tej chwili i szarpnął ją za  
rękę.  
Ręka opadła bezwładnie.  
— Co to jest, co to znaczy? — szeptano.  
Zbliżyłam się i przyklękłam przy krześle. Oczy zagasłe  
przysłoniłam powiekami i  
nachyliwszy się, usta przycisnęłam do zimnej dłoni.  
Jedne za drugą siostry uczyniły to samo, potem głośno  
zaczęłyśmy modlitwę za  
umarłych.  
Szczęśliwa siostra Eustachia!  
Już nas nie pędził nikt. Ale godzina była późna. Więc znowu  
jeszcze padłyśmy  
twarzą na ziemię, aby pocałować po raz ostatni prochy  
Pańskiego przybytku. Potem  
powoli, zasłonami zakonnemi okryte, na przyjaznych dłoniach  
wsparte, iść

zaczęliśmy ku drzwiom kościelnym, przy których już  
oddawna czekały nasze  
powózki. Za nami tłoczył się lud płacząc. W opustoszałym  
prezbiterium, sama  
jedna w swym fotelu, pozostała siostra Eustachia.

KONIEC.